



N<sup>o</sup>: 305. i



|| EX LIBRIS ||  
STEFANA DZIEWULSKIEGO

STARE

CAWEDY I OBRAZY.



# STARE GAWĘDY I OBRAZY

NAPISAŁ

RAZIMIĘRZ WŁADYSŁAW WÓJCICKI.

TOM IV.

---

„I oni w grzechach na ziemi tu żyli,  
„Po falach czasu przemknęli po cichu,  
„Wrzały ich głowy chwilę; i po chwili,  
„Glucho, i pusto,— ni śladu, ni słycho.“

\* \* \*

---

*z kuzynkami*



*Marcela Nagelska*

WARSZAWA,

NAKŁADEM GUSTAWA SENNEWALDA KSIĘGARZA,  
PRZY ULICY MIODOWEJ NRO 481.

1840.

821.162 A

GAWĘDY I ORZĄDY



nr 728

Za pozwoleniem Cenzury Rządowej.



I, 474

" 2 "

W Drukarni Maksymiljana Chmielewskiego.

K. 176/46.

BZO8PK/030-16

I.

# ŁOWIEC.

**GAWĘDA z XVI WIEKU.**

Zażył dni rozmaitych, w czoła swego poeic,  
Ale więcej wesołych, przy ojczystym płocie.

*Kacper Miaskowski (Rytmy 1622).*





## I.

**S**zumiał wiatr górą po nad lasem, naginał i łamał wierzchołki kilkowiecznych dębów, olbrzymich modrzewiów. Szumiały liściem klony, cisy i jawory, w tej ciemnej, nieprzejrzanej puszczy, gdzie z dzikim zwierzem przemieszkiwały bandy rozbójników, postrach podróźnych i kupców, krakowskich i sandomiérskich. Słońce wiele gęstwien nie ogrzało jeszcze nigdy ciepłym promieniem, a wieczny chłód rozszerzał zgniliznę. Pleśniały pnie drzew wyniosłych, wybiegając z tych moczarów, aby chociaż wierzchołkiem doj-

rzec słońca. Zdala i rzadko jedne od drugich, wznosiły się liche osady, a pracowita ręka rolnika, obalając toporem starych mieszkańców puszczy, zasiewała na świeżym karczunku pszenicę, żyto, proso, i grykę, które hojnym plonem, wyrastając z dziewiczej roli, nagradzały pracę wieśniaka.

W jednym domku, świeżo z jodły zbudowanym, po nad brzegiem czystej strugi, wpośród małego pola, zawalonego pniami drzew wyciętych, brzmiała pieśń pobożna, nuczona męzkim, grubym i mocnym głosem:

*«Uważając grzechy moje,  
Biję ciężko w piersi swoje:  
Gorzko płaczę, trwożę sobą,  
Upadam Boże! przed Tobą.  
Ty k'woli swój łaskawości,  
Nie trać grzesznej, sprawiedliwy,  
Zbaw duszę, o lutościwy»* (1).

Była to pieśń, którą młody pan tego domu nucił. Syn zamożnego szlacheica w powiecie, gdy doszedł dojrzałego wieku, po skończeniu lat 36, dostał od rodzica kawał

puszczy, cztery woły, cztery konie, krów kilka, starego Grzegorza, co go wypiastował na rękę, trzech parobków, czapkę talarów bitych, narzędzia rolnicze, i błogosławieństwo rodzicielskie. Sam wybudował sobie domostwo, wykarczował las na pole, i teraz strudzony pracą przy blizkim zmroku wieczornym, śpiewał pieśń nabożną, naprawiając saki na ryby.

Stary Grzegorz narąbawszy drzewa, wniósł brzemień na rękę, i na kominie ogień naniecił. Buchnął płomień podsycony jeszcze szyszkami sosniny, i oświecił widnie wielką i obszerną izbę. Świeżo z jedliny zbudowane ściany, świeciły jakby bursztynem od sączącej się po nich wonnej żywicy: ze szpar licznych wyzierał mech zielony. Kilka obrazów zdobiło te proste ściany: nad łożem wizerunek *Boga-Rodzicy*, na przeciw drzeworyt Reja z Nagłowic, w delii, ze złotym łańcuchem, wydarty z dzieł jego, i panującego w on czas Zygmunta III, we Włoszech robiony: dalej wizerunek drzewory-

towy także łowów w *Niepolomickiej* puszczy za Zygmunta I, wystawiający króla Zygmunta, Bonę, i dworzan myśliwych konno, a między temi, słynnego błazna Stańczyka, jak się przewraca z koniem, przed ogromnym litewskim niedźwiedziem. Między oknami, wisiał rząd bogaty na konia, i zbroja gospodarza domu. Swiecił się pancierz, i hełm z przyłbicą, jaśniała koszula, i czepiec z kółek żelaznych: poniżej zawieszony koncerz obosieczny, szabla i skrzydło sępie, snąć ussarkie: po nad oknami na desce, leżał proporzec długi, z długą chorągiewką. Na osobnej ścianie błyszczała tarcza potężna, i młot do rozbijania zbroi nieprzyjacielskiej. Topór, siekiery, piły i inne narzędzia rolnicze przy drzwiach rozwieszono. Wprost komina, stało łoże Dymitra, pana domu, z prostych zbite desek; pościel całą składało siano okryte kilimkiem i skórą niedźwiedzi i łosi. Nad nim dwa samopały, oszczep okuty na niedźwiedzie, łuk z sajdakiem, i dzirył. Z małej szafki wyzierały talerze i misy cynowe,

a między temi, jaśniał duży z herbem rodzinnym srebrny puhar, darowany od nieboszczyka pana ojca. Kilka ksiąg leżało na dębowym stole, jako «Kronika Bielskiego.» «Reja żywot poczciwego człowieka.» «Psalmy i poezyje Jana Kochanowskiego» i «Herbarz zioł Marcina Urzędowa» z Herbarzém Rycerstwa Polskiego, Bartosza Paprockiego.» Przy tych dziełach, z kilku kartek złożone, ówczesne *Nowiny*, miejsce gazet zastępujące (2).

Na wilczych skórach, leżały dwa ogromne brytany duńskie z kolczastemi obrożami, do łamania niedźwiedzi; trzy kundle na dziki, i sfora gończych; sokół na berle, kołysał się nad niemi.

Stary Grzegorz słuchając pieśni nabożnej pana, przystawił garnek z kaszą gryczaną, przysmażał do niej słoninę, zasadziwszy na rożen, potężną pieczeń jelenią, obracał w milczeniu przy ogniu, czekając rychło panicz skończy cichą modlitwę, i rozpocznie z nim zwyczajny rozhovor.

Dymitr po skończonych modłach, pocałował ziemię, i powstał, a spojrzawszy z uśmiechem na swego kuchmistrza, wyrzekł:

—Dobre przysmaki gotujecie dla nas, miły mój Grzegorzu.

—A dyć paniezu dobre, zaprawdę: gryki Bóg urodził, mamy zapas kaszy, toć się i warzy, a jeleń co hasał przed dwoma dniami w kniei, uraczy posilną pieczęcią.

—Miałem-ci z nim nie mało biędzy, całą noc człek przebiédował, zanim go dostałem. W Bogu nadzieja, nie będzie braku mięsiwa.

—O! co nie! to nie! odrzekł Grzegorz, i począł rachować na palcach. Mamyć jelenia całego niemal, sarniny jeszcze kawał, pół łosia solonego, szynki i schaby z dwóch dzików, cztery łapy niedźwiedzie, trzy drobie na kołku, dwa koty świeże, trzy pary cietrzewi, słoniny sześć połciów i ....

—Dzięki Bogu! przerwał Dymitr, przy pracy i staraniu, na początek gospodarski zapasu nie braknie: a i w polu nie było goło.

— Co prawda to nie grzech, mój paniezu,

na nowiznie gryka w pas, a w życie i pszenicy, chłopa rośłego nie dojrzy.

—Dziękujmy Bogu, urodzaj dobry, nie zabraknie przy mięsiwie chleba.

—Prawdać to paniczu, i jest za co dziękować Bogu, bo gdy On się rozgniewa, a święta ziemia nie urodzi chleba, okropnaż to plaga, na człowicze plemię! Pamiętam, byłem w on czas na Litwie małym pacholęciem, kiedy pan Bóg głodem uderzył na Żmudź i Litwę. Niesłychane działy się dziwy! bo co strach wpmnieć, *ojciec syny, matka córy, warzyli dla siebie na strawę!* Głodni, objadali liście z drzewa, rozrywali trupy świeże: zgniłe zboże mieszano ze ścięciem upadłych bydła, pożerano chciwie. Jakiś zajrzał, *wlokły się wojskiem zmorzone sieroty* (3). Nastały rozboje wielkie, ale nikt w on czas nie rozbijał dla pieniędzy, ale dla żywności. Służyłem wtedy na wielkim dworze i zamożnym pana Wojewody; kędy piwnice pełne i składy żywnością napechane. Czereda zgłodniałych napadła za-

mek pański. Miły Boże! jakżesz to okropnie wyglądali: wszyscy bladzi, z zapadłemi oczyma, z siniałem obliczem, trzymając w wychudzonej ręce siekiery i noże, wołali jednym głosem: *chleba! chleba!* Wielu z nich na dziedzińcu pomarło. Kiedy im zaczęto wynosić chleb i wędzone mięsiwo, miód i wino, jak psi wściekli, rzucali się na wszystko: rwali pazurami mięsiwo, dławili się chlebem, bo mało który żuł, ale co urwał, to chciał i połknąć. Którzy przed jedzeniem napili się miodu, czy wina, zaraz konali. Z dużej gromady i połowa nie została: a i ta, gdy się najadła, upadła osłabiona, i snem zmorzona: można było wszystkich pobrać, jak ptaki na lep. Ale pan Wojewoda, bacząc na co się zanosi, z dobrym przyborem i całym dworem, wyruszył nad Wisłę, kędy nie brakowało chleba.

— Niechże Bóg nas zachowa od takowej klęski, wyrzekł Dymitr z przeżegnaniem, pochyliwszy głowę przed świętym obrazem.

— Wola to boska, stań się Jego święta wo-





la nad nami! dodał Grzegorz! I wyłożywszy z garka kaszę, suto omaszczoną, postawił na stole przed panem.

Zaledwie łyżkę Dymitr do ust przyłożył, rozległ się okrzyk w około domostwa, trzask biczów, skowyczenie psów, i parskanie koni. Dwóch sąsiadów z drugiej strony puszczy, zawitało do Dymitra, wraz ze strzelcami, i psiarnią z łowów.

Wybiegł gościnny gospodarz na ganek, dla przyjęcia miłych sąsiadów, a Grzegorz co rychlej zapalił świece w cynowym świeczniku.

— Służba, sąsiedzie miły, służba! zawołali przybyli, ściskając życzliwie rękę Dymitra.

— O! o! wyrzekł pan Jakub Sęp Szarzeński, rodzony brat słynnego poety: jak baczę, Waszmość dobrze gospodarzysz, w krótkim czasie wytrzebiłeś nie mało lasu, domostwo po Bogu, i gumienka nieliche.

— Robi się co można, panie Podstoli, odrzekł z uszanowaniem Dymitr.

— Aleć żywie Bóg prawda, *(mówił Strus poprawiając pasa i spojierając w okół)*, spo-

ro idzie robotą. Przeszłej wiosny, tuśmy bili łosie, dziki, i niedźwiedzie, a teraz albo gęste po żniwie żółcieją rżyska, lub schylone ziarnistym kłosem zboże, oczekuje ostrego sierpu.

Grzegorz ukazał się we drzwiach sieni ze świecznikiem, wszedł więc najprzód Podstoli Sęp, a za nim Strus, strzelecy napełnili czeladną izbę.

Dymitr zaprosił gości do swojej wieczery, gąsior miodu starego, i wielki rodzinny srebrny puchar, ozdobił prostą ucztę. Dwaj zgłodniaли myśliwi, nasyceni jadłem, rozweseleni miodem, wesoło zabiérali się do żądanego spoczynku. Na woniejącém sianie złożyli utrudzone ciała, gdy Grzegorz, nalewając, podawał kolejno srebrny puchar, jedyny zbytkowy sprzęt w domostwie Dymitra.

— Przyznam się Waści, (*prawi rozweselonny Podstoli*), że lubo mam przydomek niewesołego ptaka, bo jak Waści wiadomo od *Sępa*, nazywamy troskami zgniecione czoło i oblicze *zasępienne*, wrzekomo nie *zasępiam*

się wcale, i lubię wesołość, a do tego potrzeba, o czém zawsze baczę, aby żołądek był niegłodny, a w głowinie czmerał nieco, albo nasz luby krajowiec miodek, albo stary, a wytrawny Madzar (\*). Wtedy pieśń wesoła, albo gawęda z dobrym towarzyszem, pieści uszy szlacheckie, rado i przystojnie. Miłyć Boże! zabrałeś mi brata mego w młodzińczym wieku, a był to poeta niepospolity. Nie raz bywało, przy uczcie jak z procy, lub zaśpiewał pieśń stworzoną w téjże chwili w swojej głowie, lub sonet gładki wypowiedział. Miły to był młodzieniaszek, zgasł przed czasem.

Ja, lubo nie pismak, gdy przecie wiele ludzi zacnych, którzy nieboszczyka pana Mikołaja albo zaznali, albo téż pisma jego czytali, rozmawiali ze mną, i z narzekaniem, żem się o to nie starał, aby prace i pisma jego, do kupy były za mojem staraniem zebrane i światłu pokazane; ja zaiste będąc w téj

---

(\*) Wino Węgierskie.



728

micrze, i sam frasowity, żem do tego przyjsć nie mógł, i narzekaniem ludzkim poruszony, starałem się, jakobym i żądności onęj prawie pospolitej od wszystkich, którzy się w dowcipie brata mego zakochali, powinności mojej braterskiej, a przy tem sławy brata mego nie odbiegał; użyłem więc jednej zacnej osoby duchownej do przejrzenia i sporządzenia pism, aby świat widziały, i pod miłościwą obronę Jegomości panu Jakubowi Leśniowskiemu, Podczasemu ziemi Lwowskiej, oddałem (4). Dla Waszeci téż panie Dymitrze, rytmy te wydrukowane zachowałem, bo wiem, że od ksiąg nie uciekata, ale radzi czytacie.

Dymitr podziękował za dar obiecany, wielce wynosząc zalety zmarłego poety. »Pamięć jego (*wyrzekł*), nie zaginie u nas, Mościwy panie Podstoli: imię Mikołaja, jako i cały dom Sępów Szarceńskich, świetnie jaśnieje w wielkiem dziele Bartosza Paprockiego, »*Herby rycerstwa Polskiego*,« kędy zmarłe-

go młodzieńca, liczy po Janie Kochanowskim, jako przedniejszego w polskim wierszu.

Podstoli z radością pogłaskał czupryny, zakreślił węża z rozrzewnieniem, gdy pan Struś, podniosłszy w górę pełny puhar, zawołał.

—Mościwi panowie bracia! piję zdrowie uczonego Bartosza, co nasze herby, na wieczną uchował sławę, i razem zmarłego pana Mikołaja Sępa. On to sławę, i pamięć qrata mego Stanisława, co zabit na Rastawicy od Tatarów, wierszem w potomne wieki podał.

I dwie łzy spłynęły mu po zecerwieniłych policzkach.

—Był to téż rycerski człowiek i zacny: gdy wszysej uciekali, on nie uszedł (*mówił Podstoli*). Zdziwieni pohańcy, na rękę nie śmieli się z nim spotkać, ale z daleka razili: i tak émie ulegając, zabit; aleć żyje sławą, i ozdobą rodzinnego domu swego. O ja (*i podał rękę Strusowi*), łzy rzewne po śmierci Waszego brata dzieliłem nad mogiłą swe-

go brata stojący. Ale precz smutek (*zawołał w końcu*), nie dotrzymałem słowa Wam Mościwy bracie, nasz gospodarzu. Starego Sępa czoło zasępione. Poczciwy Grzegorzu, naléj miodu, niech troski w nim utoną.

I wychylił do dna, a napełniony, podał stojącemu przy jego posłaniu Dymitrowi.

—Piję Wasze zdrowie, Mościwi panowie bracia i sąsiedzi moi, aby Bóg zachował was w zdrowiu czerstwém, długie lata, na pociechę waszych domów, sąsiadów i moję.

Skłonili głowami już weseli goście, gdy wszedł nagle strzelec podstolego donosząc, że gajowy ostrzegł, iż się wilk wścickły w pobliżu okazał.

—Zamknąć psy wszystkie w bezpieczném miejscu, i nie wychodzić za domostwo! (*rzekł pan Podstoli*), a obracając się do Dymitra:

—Nie uwierzysz Waszmość, co to za okropna pomsta Boża, kogo pies *zapomniały* (\*), koń lub wilk ukąsi. Nie ma dla niego ra-

---

(\* ) Wścickły.

tunku chyba jedna litość boska. Mielśmy sąsiada pana Pawła z Krupnika, przed czterema laty pies go zapomniały ukąsił w nogę. Jakoć z początku, ani słuchu choroby, ale nim się rok czwarty skończył, napadła go wścieklizna. Miał on żonę, i czworo dziatwy: właśnie pierwszy raz uczuł napad straszny, gdy pieścił najmniejszą córeczkę. Bóg dobry, tyle mu siły dodał, że krzyknąwszy: «Żono! uciekaj z dziećmi» rzucił dziecinę na ręce matki, sam upadłszy, obwinął głowę kobiercem. Potem przyszedł do siebie, aleć nie długo żył niebożatko, w pół roku skonał, dzięki Niebu! nie skalczywszy nikogo.

—Wszakże pan Podstoli znał pannę Ewę z Szczekarzowie: była to gładka, i urodziwa dziewczka (*mówił Struś*). Wuj rodzony, chciał się z nią ożenić, bo w niej się na prawdę rozmiłował. Potrzeba było pozwolenia na to papieża, począł się więc o nie usilnie starać. Po roku, dostał *breve*, kazał przeto zaprządz do ozdobnej kolebki sześć białych koni, i wyruszył do dworu, kędy rodzice.

panny Ewy przemieszkiwali. Wszakże często: *człowiek tak, a Bóg inac.* W ciągu czasu kiedy się starał o pozwolenie z Rzymu, począł zajeżdzać w zaloty pan Mateusz herbu *Holewa*, galant i grzeczny młodzian. Jakoż nie długo przyciągnął serce panny do siebie, a rodzice widząc jako się ich córa rozmiłowała, zezwolili na związek, bacząc w tem pomysłność większą, niż żeby za Wują rodzonego poszła, bo takie blizkie krwi związki, nie zawsze w małżeństwie mają błogosławieństwo Boże.

Właśnie ten dzień oznaczono do ślubu, kiedy Wuj panny Ewy śpieszył, mając w zanadrzu pozwolenie papieżkie: i w tę dobę trzask z bicza i przed gankiem stanął, gdy otworzono drzwi komnaty wielkiej, i ukazała się strojnie panna młoda, ze swoim narzeczonym. Wuj który *breve* niósł w ręku radosny, struchlał na ten widok, wrzekomo prędzej niż się spodziewano, potłumił miłość w sercu, a poddając się opatrności, wziął za rękę siostrzenicę, i jako družba, powiódł



ją do ołtarza. Gdy po uczcie późnej oddalili się nowożeńcy na spoczynek, smętny Wuj panny Ewy, nie mógł poskromić jakiegoś przeczucia: ze łzami w oczach pożegnał siostrzenicę, dla której tyle łożył starań i trudów, co mu miała resztę podeszłego wieku umilić: zegnał tak, jakby jej już więcej nie miał uwidzieć. Tym czasem ochoczy goście, wysuszali puhary: jeden z nich przechodząc koło sypialni państwa młodych, usłyszał z przerażeniem krzyk okropny, potem jęk i zgrzytanie zębów: blady jak *Pietrowina z grobu*, wrócił gdzie puhary krążyły, opowiedział wszystko wiernie. Przerażenie powstało ogólne, gdy pacholek w służbie nowożeńca, z trwogą począł mówić, jak pan Mateusz rano przed ślubem nie mógł się umyć, i że mu kazał prędko wodę wynieść z komnaty.

—Drzę cały, rzekł Wuj panny Ewy, jakieś smutne przeczucie dręczy moją duszę, ale prze miły Bóg, przy uczcie Mateusz, miał dzikie oczy, nie ludzkie.

—Co to być może? zapytało kilku.

—Chyba że go zwierzę zapomniałe kiedy pokąsało, a ta choroba i po kilku latach powraca, przemówił stary Chorąży.

—Prawda, wielmożny Panie! z ukłonem odrzekł pachołek, przed dwoma laty, zapomniały go ogar pokąsał, ale zaraz leczono, i zdrów był zawsze.

—Boże mocny! cóż poczniemy? zawołał Wuj panny z rozpaczą.

—Chcecie rady? jakem Chorąży, jest tylko jedna.

—Jaka? zapytało wielu?

—Mościwi panowie bracia, nabić rusznicę, wyostrzyć kordy, i zabić wściekłego, a może uratujem dziewczkę.

—Czyż nie ma innego ratunku? wyrzekł Wuj Ewy drżąc cały.

—Jakem Chorąży nie ma, może i to za późno.

A więc z pośpiechem uzbrojeni weszli do sieni: pachołcy, gdy po kilkokrotném uderzeniu w drzwi, nikt nie odpowiedział, wysadzili podwoje. Co za okropny widok! Ło-

że było krwią zalane: kotara zdarła, i rzucona na ziemię, na niej z przegryzionem gardłem leżała martwa panna Ewa, a przy łożu stał Mateusz. Oczy stały kołem, twarz we krwi unuzana i włosy, ręce sine, ściśnięte, nic nie oznaczało w nim życia, jeno że pianę nieczystą toczył, i zgrzytał zębami głośno. Cofnęli się wszyscy, gdy stary Chorąży zawołał: «Bóg nam przebaczy mężobójstwo z potrzeby, na użytek bliźnich. Mościwi panowie bracia (*i obrócił się do mających rusznice*), mierzcie w nieszczęśliwego, on stąd wyjść nie powinien.» Mateusz jakby przeczuł blizką godzinę śmierci, zadrżał i westchnął boleśnie, a zwróciwszy dzikie oczy na zwłoki małżonki, załamał ręce. W tém kilka strzałów zatrzęsło dworem, upadł martwy przy jej nogach.

— Wielka go szkoda, był to młodzian wielkich nadziei (*wyrzekł z westchnieniem Podstoli*), żyli w przyjaźni z nieboszczykiem bratem moim. Myśliwy niepospolity, dużej siły, i w biegu osobliwy. Nie mało wziął na

oszczep niedźwiedzi, dwa nawet w biegu dziki osadził na nim: a gdy puścił się w zawód, zające dościgał. Gdy na wyścigi puszczano konie, najlepszego przegonił rumaka, stąd też nosił przydomek »*Nogi jelenie.*« Bo widzisz Waszeć, że ten biédak Mateusz, był z rodu dzielnych mężów, a u nas rodem szły: siła i cnoty; ba, nawet barwa oczu i włosów. Zarębowie rodzili się zawsze czarni, jak krucy, i o tém w *Zwierzeńcu*, pisał *Rej z Nagłowic*, którego wizerunek, wielce podobny na ścianie baczę. Ale wracając do psów zapomnianych, muszę wam powiedzieć dyktoryjkę, o jednym kwestarzu.

Przybył na dwór pana jednego kwestarz, właśnie wtedy, kiedy zaczęto na dziedzińcu przed zamkiem wołać, że biega pies zapomniały. Kwestarz, uciekając wraz z drugimi, wpadł na szychtę drzewa, gdzie sobie nogę skaleczył, a że był franta kawał, wchodzi do pana, i jak najobojętniej donosi, że go pies zapomniały ukąsił. Pan przerażony, każe mu co rychlej, naładować zbożem fu-

rę, i wysyła z zamku. Ale wieść, że kwestarz pies ugryzł, rozchodzi się po całym dworze: dowiedział się o tém, i chłop co mu miał furmanić, z przerażeniem siada na furę, popędza co żywo konie, wrzekomo oglądając się po za siebie, aby dojrzyć, kiedy się znaki wścieklizny na kwestarzu ukażą, żeby wcześniej zemknąć zdołał. Ten siedział spokojnie, dopóki nie ujrzał się w opłotkach dworu szlachcica, kędy zamierzył zajechać, gdy więc chłopiek macha biczem, popędza *wio! hej!* a oczy w niego wlepił, kwestarz nagle twarzą skrzywił, zawarczał, i szczełnął. Dosyć było tego, wystraszony wieśniakin, rzuca bicz i lejce, zeskakuje z wozu, i leci jak strzała do dworu donosząc, że kwestarz znajomy tam dobrze, wściekł się. Właśnie nie było gospodarza, pani domu widząc nadjeżdżającego, który się sam teraz powoził, uciekła z dziećmi do bocznej komnaty, zamknąwszy drzwi mocno. Wchodzi kwestarz, pusto w jadalnej izbie, ale nie pusty, był stół nakryty, bo właśnie ta wiadomość

zastała wszystkich przy obiedzie. Zmiarkowawszy, ile to strachu narobiło, począł, zjadłszy ulubionego szczupaka dzwon kilka, prosić pani i zaklinać, że nie jest ugryziony, i tylko z chłopca żartował. Po długich prośbach, wychyla pani głowę, a przekonana zdrową cerą o prawdzie, zasiada z dziećmi do stołu. Ale dziatwy była chmara, jak poczęto dzielić między nią ryby, znikł ulubiony mu sandacz, lin i karp' tłusty. Kwestarz bacząc że głodny wstanie od stołu, obraca się do pani i rzecze: »Mościwa pani, mnie *aktualnie* pies pokąsał, czuję teraz *coś... coś... takiego*« i zawarczał, zęby ukazał, a pani z dziećmi z krzykiem ucieka. Kiedy więc w najlepsze zajada swoją zdobycz, ukazuje się nagle we drzwiach gospodarz domu, któremu dano znać o tém do blizkiej kniei, kędy polował. Szlachcie stanął we drzwiach z nabitą rusznicą, i lontem zapalonym, wymierzył do kwestarza, i zawołał grzmiącym głosem: »Odpowiadaj czyś wścickły... bo wypalę.« Tu dopiero zobaczył, że to nie prze-

lewki, wyznał szczerą prawdę, dla czego i żonę jego nastraszył, a gospodarz uspokojony, postawiwszy na boku rusznicę, i lont zgasiwszy, zasiadł, i z dobrym apetytem począł zmiatać talerze. Kwestarz z żalem spojrział na sandacza, którego szlachcic przysunął do siebie: więc nagle porywa się od stołu, plecami zakrywa rusznicę, warczy, wywraca ślepie, szczęka zębami, i szczeka. Szlachcic mało się nie udawił, pierwszym kawałkiem sandacza, wyskakuje oknem z izby, nie pomnąc o strzelbie. Tego właśnie czekał nasz żartowniś, co rychlej zmiata talerze, a w obawie aby myśliwych nie przywiódł, dosiada fury i ujeżdża.

Śmiał się szczerze Dymitr, gdy Struś rozmarzony miodem, drzémac zaczął. Podstoli więc życząc dobrej nocy gospodarzowi, odmówił modlitwę, pocałował szkaplerz, i wkrótce usnął. Grzegorz na palcach wysunął się z komnaty, a gdy i Dymitr strudzony zachrapał, pierwsze kury zapały.

---

## II.

Słońce wschodzące zajrzało w szyby, kiedy zbudzeni goście z gospodarzem, zerwali się na nogi, i poczęli robić przybory do łowów. Grzegorz zgotował sporą miarę piwniej ze śmietaną polewki, gdy nagle wiatry napędziły czarne chmury. Lunął dészcz rzęisty, a huk burzy, mięszał się z wyciem w około drapieżnego zwierza. Psy więc rozsforowano, i zaprowadzono do obórki, rusznice zawieszono na kołku, a ochoczy myśliwi ze smutkiem patrzeli, na ciemność coraz większą, i burzę coraz silniejszą. Dymitr zawiesił głowę, smętnie obracając w rękę trąbkę myśliwską.

— Miły bracie (*rzekł Podstoli*), trzeba się z wolą boską zgadzać, już to cały dzionek wypadnie siedzieć w chałupie pod dachem: zdejmcie więc i trąbkę, już jej głos nie popłynie z rosą dzisiaj, bo burza do wieczora



dotrzyma. A przyznam się Waszmości, że człek więcej życia przepędziwszy pod gołem niebem, czuje jakąś tęsknotę, jakąś ciężkość na piersiach, kiedy pod dachem w domostwie siedzieć, by na uwięzi musi. W zimie, gdy zamieć śnieżna, lub święto: rado zabawi przy ciepłym kominie, luboć i w zimie, kiedy dobra ponowa, hajże w pole, za lisem, zajączkiem, czy wilkiem, a choć mróz ściska, ochota i wesoła družyna rozwesela serce, i rozgrzewa zziębłe ciało.

—Grzegorz! zawołał Dymitr, naniećcie dobry ogień na kominie i pamiętajcie o przekąsce przedobiedniój. A teraz mili sąsiedzi, zamknęci czterma ścianami, cóż poczniema?

—Niech się Waszmość nie troska (*odpowiedział Strus na to*), pomodlim się Bogu, potém przekąsim nieco, pogawędzimy, już ci obiad, a może i burza ucichnie, to choć na ptaszki wyjdziem.

Gdy przed obrazem Boga-Rodzicy odmawiali modlitwy; Grzegorz nakrył stół dębowy, i zastawił wędliną, chlebem razowym

i miodem. Pierwszy powstał Podstoli, i żeby nie próżnować, a ruch ciała nadać, zdjął tarczę, i począł ją czyścić: Struś za jego przykładem, zabrał się do pancerza Dymitra.

— Zawsze coś pracować muszę, mówił Podstoli, to! dodaje apetytu, i umysł weselszy robi. Mój rodzic, gdy był dworzanem na dworze króla Zygmunta Starego, zawsze czém trudnił się godzinę czasu, chociaż nie raz miał się czemu przysłuchać, boć to był dwór z zacnych, uczonych, i dowcipnych mężów złożony. Nie raz mi opowiadał i o licznych figlikach. Na tym dworze *Skotnicki*, *Iula* i *Pukarzewski*, zacni dworzanie, słynęli z dowcipu. Pukarzewski zaprosił Skotnickiego na wieczerzę, i tak go spoił, że się na nogach utrzymać nie mógł: sługi i czeladź jego, jedną wyprawił do gospody, drugie pozamykał, samego kazał do przygotowanego więzienia zanieść. Owiany zimnym wiatrem Skotnicki, stracił do reszty zmysły, tak bezprzytomnego okuto w kajdany, a straż przy

drzwiach postawiono. Spał upojony kilka godzin, w reszcie zbudziwszy się nade dniem, uczuwszy pęta zacznie wołać.

—Coż się dzieje? Ki mię djabeł tak wsadził! Przebóg gdzież jestem? A jest tu kto? Odezwij się proszę!

Straż wyuczona na kilkokrotne wołanie, odczuwała się w reszcie.

—A ty ktoś, miły bracie? zawołał uradowany Skotnicki, że się przecież dowołał człowieka.

—Straż nad tobą, abys się nie wyłamał!

Zdziwiony Skotnicki, pyta znowu: »A prze Pana Boga! proszę, któż mię to, i za co w te żelaza wsadził!«

—Dowiesz się, odrzekł surowy strażnik, jak cię w dzień na plac wywiodą.

—Ależ mój najmilejszy bracie, przez miłosierdzie boskie! powiedz mi proszę, com zawinił? bo ja, na Bóg ci to żywy przysięgam, nie wiem, ani pomnę, żebym co najmniej, przeciwko komu wystąpił.

—A czy nie pomnisz (*zawołał strażnik*), żeś pocziwą dziewczkę naszedł, a jój ojca, w obronie córki stawającego, zabił.

Dopiero Skotnicki w pomieszaniu i rozpacz, począł żalobliwie narzekać.

—O po cóżem się na ten świat narodził! o bezecne pijaństwo, do czegoś mię przyprowadziło! oto marnie a sromotnie gardło dać muszę. Czemużeś mi, miły Boże! w tylu bitwach zginąć raczej nie dał, niż żebym na katowskie ręce przychodził. O! Pukarzewski przyjacielu! twoje to wino sprawiło! żeby cię byli pierwój w sztuki posiekali, niżem ja do ciebie poszedł.

Było tych żalów więcej pół godziny, nakoniec jął pytać straży:

—A moi mili braciszkanie, wiele was tu mię strzeże?

—Sześciu nas tutaj.

—Gdyby który z was, chciał uczynić to miłosierdzie nade mną, a pójść po którego z moich ludzi.

—Siedzą oni jak i ty w więzieniu wszyscy.

—A! nieszczęsnyż ja człowiek (*wykrzyknął z boleścią Skotnicki*), czegożem doczekał!

Po długim przeklinaniu siebie, uprosił jednego ze straży, ażeby poprosił pana Maciejowskiego dworzanina, który już był świadomy wszystkiego. Przychodzi proszony wraz z kilką towarzyszami: postawa i Maciejowskiego, i reszty obecnych tak była smutna, że przeraziła Skotnickiego, dopiero gdy usłyszałich żale i politowania, mało ze strachu nie umarł. Po wytrzymaniu tak bolesném, żądali ażeby ślubował, że w obec króla, stronę urażoną przeprosi, i nagrodzi, co wszystko jak najsolenniejsz poprzysiągł. Już téż i dłużej śmiechu powstrzymać nie mogli: poznał Skotnicki żart przykry, ale przytém umyślił się odwdzięczyć Pukarzewskiemu, za wstyd jaki poniósł, gdy go sam król zapytał, za co go w pęta okuli.

—I jakżeż się pomścił? zapytał Dymitr.

—Zaraz téż Waszeci odpowiem (*odrzekł Podstoli*). W rok blisko, zobaczył Skotnicki podpilego Pukarzewskiego, zaprasza więc do

siebie, i tak dopaja, że przytomność utracił. Pacholę jego odsyła, a przyzwawszy balwierza któremu ufał, rozkazał pijanemu pół gęby zaszyć, i plastrem oblepić. Posłuszny balwierz, dopełnił rozkazu, przenoszą Pukarzewskiego na osobne łożo. Skotnicki siada w głowach, i gdy służba pierwszego przybiega, dowiedziawszy się że pan chory, Skotnicki rzewliwie płacząc, opowiada że się pokłócił, i cięży szabłą, odniósł mocną ranę. Słudzy już się mścić chcieli, lecz gdy się przeświadczyli, że wymieniony winowajca już odjechał, poszli do gospody, zostawując przy chorym panu, pacholę. Budzi się w nocy Pukarzewski, a widząc zawiązaną głowę, rzecze pół gębkiem sam do siebie:

— »Ki djabeł? cóż mi się stało? Pacholę, jesteś tu! rozświeć no prędko.

Porwie się służka i pyta, czy pannu źle leżać?

— Ba! dobrzeć mi leżać, ale mi to ki djabeł w gębę?

Chłopiec opowiedział, jak się rąbał i ciętym został.

—Ja tego ani kęs jeden nie pomnę, ani czuję, aby mię bolało.

Tu pacholę zaczęło zaklinać: »Przez miłość pana Boga, nie racz Wasza miłość wiele mówić, bo nam balwierz rozkazał, abyśmy to upominali.«

Nad rankiem przyszedł balwierz, opatrzył na nowo ranę, a gdy się dziwi Pukarzewski, że go nie boli:

—Tak to, zmartwiało ciało do razu (*rzekł z powagą balwierz*), powoli coraz więcej będzie Waszę miłość dolegać.

Uwierzył temu, i nagrodził go parą czerwonych złotych. Odchodzi balwierz, i poleca najmocniej, by się nie silił rozmową, i nie jątrzył rany. Przyszła obiadu godzina, nadchodzi Skotnicki i z przyjaciółmi, co już wiedzieli o wszystkiém. Pytają go o zdrowie, Pukarzewski przemawia półgębkiem, prosząc: aby mu za złe nie mieli, że mówić nie śmie, bo mu zakazano. Zadają mu

różne pytania, 'chory na jedno kiwa głową, na drugie milczy. Gdy go już wytrzymali do sytu, zaczęli się śmiać: Pukarzewski domyśliwszy się żartu, rzucił zawinięcie i z płastrem o ziemię. «

—O tak! panowie bracia ! (wyrzekł Struś zawieszając oczyszczony i błyszczący pancerz na ścianie), bawiono się w on czas wesoło, opowiem i ja Waszmościom *facecycją*, z tychże czasów.

Gdy Zygmunt I bawił w Wilnie, Kasper Zebrzydowski i Krzysztof Krupski, znamienici dworzanie, ułożyli żart dla dworu. Był to rok, w którym owies musiano przepłacać, a z powodu nieurodzaju i trudno dostać. Ubierają dwóch pacholków, nieznanym nikomu, a wyuczywszy ich potrzebnie, posłali imieniem *Wierszyłła* kasztelana Wileńskiego, od jednego do drugiego dworzanina z *cedułami*, mocą których, mieli podarowane po 20, 30 i 40 beczek owsa, a każdy miał po niego posyłać, do dworu kasztelana *Raj* zwanego, tuż pod Wilnem. Każdy z dworzan był



uradowany z podarunku owsa, ile wrok tak skąpy, a zszedłszy się na zamek, pytał jeden drugiego, na wiele beczek cedułę otrzymał. Już nie jednemu było nie miło, że nie tyle, co inny dworzaniec ma dostać. Że nie wszyscy mieli swóich woźników, zaczęli pożyczyc, i co prędzej najmować konie, by pierwój darowany wziąć owies. Ale i w *Raju*, stał namówiony pacholek, który przybywających do *Suderwi* o dobrą milę od *Raju* odsyłał, pod pozorem, że firy dociągnąć nie mogły. Pierwszy co zajechał do *Suderwi*, napróżno się dopytywał owsa, napróżno pokazywał darowaną cedułę: dorozumiawszy się żartu, nakrył wóz dobrze i powraca. Za ledwie kilka staj odjechał, spotyka wielu dworzan, co spiesząc pytają ciekawie: «A owies jest? Jest! odpowiada pierwszy, tylko prosto na zamek, tam go wam odmierzają.» Przybywają do zamku, poznają błazeństwo, wracają, ale każdemu o owsie, dobrą otuchę czynią. Tak więc wszyscy się przejechali, i powrócili do *Wilna* z próżnemi wory. *Zygmunt* się

o wszystkiem dowiedział, i miał nie małą biesiadę, dworując z tych, którzy się o ten żart gniéwali (5).

Gospodarz zaprosił do przekąski przedobiednej, a gdy stół obsiedli, burza powoli zmniejszać się zaczęła: już nabierali otuchy że wyjdą do kniei, gdy nie długo mocniejszy wichur zawył z ulewą straszliwą.

— Co za deszcz! ile wody Bóg wylewa na ziemię (*rzekł Podstoli*). Pamiętam w mojej młodości, jak dwa tygodnie lał taki i cały zalał Kraków, ludzie dla nabożeństwa przystąpić do wielu kościołów nie mogli, i tylko stary Wawel z zamkiem i katedrą, jak wyspa, wychylał swoje wieże, mury i baszty (\*). Głód był straszliwy, bo wszystko wygniło w polu.

— Jest to ciężka plaga, właśnie przed przybyciem Waszej miłości, opowiadał mój Grzegorz, o okropnym głodzie na Litwie i Żmudzi.

---

(\*) Historyczne.

—Ale ja go tu nie baczę, miły panie bracie, (wyrzekł Struś z uśmiechem, patrząc na misę zastawionej grochówki), bo i komin, i stół niepróżny. Poczciwy Grzegorz, uprzeżdza chęci gościnnego gospodarza naszego. Lecz prze miły Bóg! miły sąsiedzie, nie widzę u was ni dziewczki, ni niewiasty żadnej, a jak ich nie ma, luboć powiadają że u *nich* długie włosy, a rozum krótki, przecież smutno w chałupie.

—Na całym naszym dworze (odpowie Dymitr z uśmiechem), jest tylko żona pasterza: mój Grzegorz za stary, pewno się nie ożeni, a dla mnie dość czasu.

—O! o! (zawołał *Podstoli*), nikt młodego ożenienia i wczesnego zasiania, nie żałował. Już my obmyślmy Waszności dziewczkę gładką i dobrego gniazda, a teraz siadajmy, bo przekąska, i Waści tarcza, co tak świetnie błyszczy teraz, zaostrzyły apetyt.

W pośród sytego obiadu, po wychyleniu dwóch gąsiorów starego miodu, za danym przez Dymitra znakiem, Grzegorz postawił

kilka sporych zapleśniałych butli starego węgryna. Struś znawca dobrego wina, dobył co rychlej korka, a gdy powąchał, zajaśniały mu oczy, mlasnął ustami, odął wąsy.

— Na mego patrona! wykrzyknął, to wino pamięta arkę Noego: skąd Waszmość dostał taki *raritas*?

— Na początek mojej gospodarki, świętej pamięci mój rodzic, ze swój piwnicy, i moję raczył zasilić, a nie mogę go lepiej począć, jako z tak miłymi i drogiemi sercu memu sąsiadami!

Rozrzewnili się obaj. Podstoli porwał się od stołu, i rzucając w objęcia Dymitra: «Nie zapomnę miły bracie tój *estymy*, jaką okazujecie dla mnie, i jego miłości pana Strusia, ale odsłużyć będziemy się starać: Bóg swoją drogą, nagrodzi ci to uczczenie starszego wieku i początkowej siwizny.» Struś trzymając w ręku puhar srebrny pełen węgryna, na w pół z płaczem zawołał: «Życzę naszemu gospodarzowi, aby dożył tyle lat, co ten

madzar w puharze, i tak czerstwo, jak się on dochował do téj chwili.»

Gdy spełniał drogi napój, weszło sześciu strzelców, i na trąbkach myśliwych, zabrzmiała pieśń znana w on czas powszechnie:

*«Wesołe chwile, ku nam się nawróćcie»* (6).

Ochota była serdeczna, zapomniano o burzy i łowach, a ściany jodłowe skromnego domostwa, pierwszy raz odbiły pieśni wesołe i wykrzyki radosne, przy brzęku puharów. Strus dał znak swemu strzelcowi, który wnet przyniósł mu kobzę. Ucichły trąbki myśliwskie; stary rycerz silném tchnieniem nadąwszy prędko, zagrał pieśń łowiecką, a Podstoli z Dymitrem, zaśpiewali z chórem strzelców:

*«Wstawajcie bracia! bo już słońce wstaje,*

*Nam pogodę piękną daje:*

*Konie dawno posiadłane,*

*Łowczy otrąbił na szczerwaczów wsiadane!*

*To byt na świecie, byt nieporównany,*

*Być jednym z cechu Dyjany.*

*I jeżeli nie myśliwy,  
To nie jest żywot na świecie szczęśliwy» (7).*

Zaledwie chór ostatnie wiersze powtórzył, gdy Strus nagle zmienia nutę, zabrzmiał pieśnią wesołą o *Chmielu*, odetchnął, a porywając puhar:

— Muszę odwilżyć piersi i usta, bo kobza zaschła.

— Miły Boże! wyrzekł Podstoli z bolesnym westchnieniem, psuje się świat! Czy uwierzycie, mili panowie bracia, że wielu ze szlachty umie zagrać na kobzie, już się jej poczynają wstydać, i może nasze potomki nie będą wiedzieć, że gędzba ta, rozweselała ich pradziadów. Nie wiemci dla czego, i pan *Rěj* z *Nagłowie*, nie lubił kozy, i w swoich pismach przymawiał, przecież lepiej było, gdy dudy jeno znaliśmy, niż te dziś modne *Mutety*, *Pomorty*, *Sztorty*, *Regały* i *Cytary*. Nie jeden z prawowiernej dawnej szlachty, jak zabrzmiała ta djabelska nowa muzyka, nie wie jak nogami pocać, co pan *Rěj* dobrze wydał w *figliku* jednym, bo powiędą szlachcic

na swém weselu chciał skakać, sześciu trębaczy grać zaczęło: pan młody, ani rusz w tańcu, jeno się obziera w koło a po łbie drapie. Gdy go zapytano, czemu nie tańczy? »djablić wiedzą jak zacząć, kiedy ich gra sześciu, po którym skakać.« Dopieroż zawołał dudarza, a gdy usłyszał swojską kozę, tańczył należycie.

—Ja się nie wstydam zadąć na kobzie, rzekł Strus dumnie, mój Hetman, waleczny książę Samuel Korecki, kiedy dostał się w niewolę turecką, i pędzono go jassyrem do Stambułu, na pogardę psom niewiernym i aby smutnych towarzyszków pocieszał, przygrywał na niej w drodze.

Już się ściemniało, burza nie ucichła, daleki grzmot zwiastował ją jeszcze, gdy nagle zatrzęsło się domostwo od huku blizkiego piorunu.

Wszyscy upadli na kolana, i zawołali głośno: »*A słowo stało się ciałem, i mieszkało między nami. Amen.*«

Nie długo wśród ciemnego zmroku, widnie

ukazała się mocna łuna blizkiego pożaru. Gore! gore! krzyknął Grzegórz, i wybiegł do lasu, a za nim wszyscy z izby na ganek. Słup ognisty błysnął między drzewami, i rósł coraz wyżej jak olbrzym: dom borowego uderzony gromem, jaśniał objęty płomieniami w około. Dymitr przerażony, rączo jak jeleni poskoczył do pożaru: jakiż go widok uderzył! Stary borowy siwizną okryty, z załamana dłońią, z wlepionemi oczyma w pałacy się domek, stał martwy jak słup graniczny, przypruszony śniegiem: żona przy nim klęczała, wołając przeraźliwie: »dzieci moje! dzieci moje!« Dwóch małych chłopców i dziewczynka, drżeli przestraczem, a domownicy przerażeni stali niemo, nie chcąc gasić ognia, bo się nie godziło, że piorun go wzniecił (8).

Dymitr ledwo mógł się dowiedzieć, że dziecię w kołysce odbieżono w pożarze, natychmiast rzuca się wśród płomieni, a nie długo trzymając niemowlę na ręku, z opaloną głową, i żarzącym odzieniem, wyskoczył



z pożaru, i na łonie matki złożył dziecię, sam zaś skoczył w pobliską sadzawkę, aby tlejące ugasić odzienie. Patrzali na to Podstoli i Struś, dziwem i uwielbieniem przejęci, a borowy upadł przed nim na kolana.

—Panie! wyjęknął ze łzami, Bóg ci to wynagrodzi szczerze.

Dymitr zaprosił borowego z rodziną i czeładzią do swego mieszkania, przyrzekając swoją pomoc do odbudowania domostwa przed zimą. Podstoli przy wieczerzy mało mówił, Struś jeno resztę z obiadu wina wychyliwszy, rychło do spoczynku poszli. Gdy trzecie kury zapały, myśliwi cicho wstali, aby nie zbudzić małej dziatwy borowego, i wraz z nim, ruszyli do kniei.

---

### III.

Siedział zadumany Grzegorz na ławie przy kominie, gdy żona borowego wyręczając go, gotowała obiad: dzieci igrały na wilczych i niedźwiedziach skórkach, sprzeciwiając się sokołowi, co z gniewem najeżał pióra. Maryna (tak nazywano zwykle żonę borowego), gdy przyrzadziła wszystko, założywszy ręce, spozierała na obrazy ścienne.

—Powiedz mi Wać (rzekła), co to za łowy namalowane?

—Mościwa pani! (odrzekł z uszanowaniem, bo wiedział, że ze szlacheckiego pochodzi domu, po kądzieli i po mieczu), są to sławne łowy, ale niech Bóg zachowa panicza od podobnych.

Tu pokazując palcem opowiadał.

—To widzicie, świętej pamięci jest król *Zygmunt Stary*, dziad z matki, dzisiaj pa-

nującego nam szczęśliwie pana naszego. Ta matrona, na koniu, Włoszka *Bona*: nie wielec jęj żałowano, gdy umarła, bom słyszał na dworze pana rodzica mego panicza, iż gdy po jęj śmierci, nie rychło wieść o tém do naszęj doszła ziemi, żartowano sobie i gadano: »Czy wiesz że królowa *Bona* umarła?« i stądci przysłowie, gdy kto stare nowiny, za świeże podaje (9). Owoż, ten w pstrych szaciech i szachowanych, jest błazen nadworny *Stańczyk*, a ten pieszo z oszczepem, sławny z wielkiey siły *Tarło* Krajczy. Na niego téż wypadł miedźwiedz: chciał go wziąć na oszczep, ale mu go wydarło zwierzę, i samego ledwie nie zabiło. Gdy się rozjuszyło miedźwiedzisko, uciekając przed niem, spadła *Bona* i poroniła, *Stańczyk* przewrócił się z koniem: dużo luda nakaleczył, nim go dobito.

Grzegórz w zapale miał dłużej prawić, gdy trąbka myśliwska zabrzmiała, porwał się przeto, wypadł na ganek i krzyknął. Na ten krzyk wybiega *Maryna*, załamuje ręce,

i płacze. Na noszach z gałęzi, nieśli strzelcy Strusia skrwawionego, smutny poprzedzał ich Dymitr. W wozie drabiniastym, siedział Podstoli na zabitym niedźwiedziu, opierając nogi, na dwóch dzikach, i starym jeleniu.

— Ostrożnie! zniżyc nosze! (rzekł Dymitr strzelcom. Grzegorzowi kazał swoje przygotować łoże).

— Co się stało miły Boże? zapytała Maryna męża.

— Nieszczęście (odrzekł borowy), przynajmniej Bóg mu żywot uratował, gdyby nie pan Dymitr!

W tém uciął, bo musiał dopomódcz strzelcom, wnieść do izby ranionego Strusia. Kiedy złożyli go na łożu; Dymitr obmył ranę, dobył z apteczki maści, i plaster przyłożył, natarł mu skronie octem, a wusta ścięte, wlał starego węgryna. Wtedy Struś odetchnął, i otworzył oczy, a widząc przy sobie Dymitra, ścisnął mu ręce, wymawiając z cicha: »*Dziękując, miły bracie.*«

Podstoli kazał wnieść wszystkę zwierzy-

nę, do téjże saméj izby, aby widok téj zdobyczy, rozweselił rannego łowcę. Jakoż Struś osłabiony krwi wpływem, z uśmiechem przecież radości, patrzył na ogrom kudłastego niedźwiedzia, na czarne smolaste wielkie dziłki z białemi kłami, na jelenia z rosochate-  
mi rogi. Kiedy to dojrzał Dymitr, zasępi-  
łość znikła z oblicza, tém więcéj, gdy chory  
mocniejszym głosem przemówił :

—Panowie bracia! gdym upadł w kniei  
bez pamięci, nie słyszałem trąbki, zwiastu-  
jącej koniec łowom. Niechże jéj głos mię orzeź-  
wi, posłucham go ale z puharem. I wycią-  
gnął jeszcze zbroczoną rękę z łoża.

Wchodzą strzelcy, a za nim dwa brytany  
duńskie Dymitra, ale ledwo próg przeszły,  
zawarczały, i obces rzuciły się na leżącego  
niedźwiedzia.

—Oderwać je! krzyknął Dymitr i wypro-  
wadzić!

—Niechno chwilkę, rzekł Struś, popatrzę  
na nich, i to martwe zwierzę, jakoś to sercu  
miło, i lżej człowiekowi.

—Owoż prawdziwy łowiec (*przemówił Podstoli*), leży skaleczały, a oczyma pożera martwego już niedźwiedzia.

Gdy psy uskromiono i wywiedziono z izby, sześć trąbek zagrzmiało, a Struś radośnie wykrzyknąwszy: «Zdrowie nasze» spełnił pełny puhar co do kropli. Na żądanie rannego, przysunięto stół do łoża z późnym obiadem, a pomimo odradzania, zmiatał misy z jadłem, połykał kawały sarniny. Przy końcu uczy, zrzucił Struś zawiązanie głowy, obmył winem twarz zbitą, i ręczył, że nazajutrz z jutrzenką, gotów na nowe łowy.

—Jakże to było, zapytał Podstoli, że gracz taki, i łowiec stary, jak nasz miły Struś, raz ciężki oberwał?

—Jak było, odrzekł ranny z uśmiechem, zaraz Waszeci opowiem. Stałem na stanowisku, gdy ten niedźwiedź wypadł, psy te same już go dzierżały dobrze, oszczepem przybiłem go do ziemi: ale raz łapą w twarz otrzymałem. Nic to nie było, alic gdy psy odwiedziono, niczego się nie spodziewając, wy-

pada wieprz rozjuszony, ledwie uskoczył nieco na pieniek, gdy mi pociągnął kłem po łydce, upadłem bez pamięci, krew' mię ubiegała....

—Resztę ja Waszeci dokończę, zawołał w uniesieniu Podstoli, byłbyś pod kłami wieprza ducha, bez świętej spowiedzi oddał, gdyby nie szlachetny nasz gospodarz: on przypadł na to stanowisko, i drzę jeszcze, dziwiąc się zuchwałej odwadze. Zajadłe wściekłe zwierze, chciało razy śmiertelne powtórzyć, ale dzięki Bogu! natrafiło na ostrze oszczepu pana Dymitra. On zasłonił Waszeci ciało: przykląkł, i oszczep wystawił, a dzik przebił się w szalonym skoku, upadł, gdy dopiero psy przypadły, i już go nie puściły: cios drugi oszczepu, zabił wieprza. Struś słuchał tego z podziwieniem najprzód, później ze łzami, w ostatku porwał Dymitra prawicę, przycisnął do serca, ze wzruszeniem nie mogąc przemówić i słowa. Borowy oczy ocierał, Maryna w głos płakała, a stary Grzegorz całując łzami zalany, rękę Dymitra, wy-

rzekł: «Tego nikt inny nie mógł zrobić, je-  
no mój panicz, którego wypiąstował, i wy-  
chuśtał; na tych samych rękach wyrosł ci on,  
na pociechę mojej starości.»

—Ej! do licha! zawołał Podstoli, usiłując pokręceniem wąsa, ukryć łzy swoje, rozbeczeli się wszyscy jak baby: nuże! podajcie kobzę, niech osuszy oczy, rozraduje serca nasze.

Wzruszony Dymitr, porwał kobzę, i z podziwieniem Strusia, a więcéj jeszcze Podstolego, zagrał rzewnie na niéj. Wydobył najprzód żalosne tony, nagle zabrzmiał głosem trwogi, rozróżnił w nich krzyk przerywany, przestachu i rozpaczy. Strus z wlepionemi oczyma w grajka, słuchał téj gędźby dzikiéj, snać ją zrozumiał, bo czerwień okryła mu policzki najprzód, poczem silnie ścisnął żyłastą prawicę, jakby chciał kord pochwyć: a gdy Dymitr dobył przeraźliwe tony trwogi i rozpaczy, machnął w zapomnieniu ręką, jakby wymierzając silne cięcie. Podstoli wsparłszy głowę na rękę, słuchał



rozrzewniony, a dwie łzy, jak krople letniej rosy, zrosiły mu zmarszczone policzki. I Dymitr czuć musiał, co wygrywał na kobzie, bo gdy ją ostatniem technieniem nadał, opuścił głowę z wzruszeniem na piersi. Struś zmęczony, upadł na łożo.

— Miły bracie (rzekł Podstoli do Dymitra, ściskając go za rękę), chcieliśmy smętne rozerwać myśli, a Wasze zraniłeś nam serca. O! znam tę pieśń od dawna. Mój rodzic świętej pamięci, umiał ją na kobzie, a kiedy ją zagrał, sam pan Rej z Nagłowic, (a był w on czas małym pacholęciem, gdy dni kilka bawił w naszym dworze, chociaż nie myślał ni o czém jeno o *swewoli*), szedł wtedy do komnaty, chcąc pokazać memu rodzicowi, jako wronie krasny ogon przywiązał, usłyszał tę piosnkę, i musiał zapłakać. A nasz Struś ranny, widziałś jako machał ręką, mniemał, że na polu bitwy, za to teraz odpoczywać musi.

Dymitr nie odrzekł słowa, jeno zadał pieśń łowiecką o niedźwiedziu, wesołe przygryw-

ki; radość wróciły, na zasępieałe oblicza. Struś usiadł na łożu i rado poklaskiwał, a Podstoli popijał z puharu.

— Miłe czasy, wyrzekł Struś, gdy pieśń zakończył Dymitr, przypomina mi ta piosnka, miłe czasy: bo one, kiedy byłem małym pacholęciem. Pamiętam, raz pierwszy wysłał mię pan ojciec na niedźwiedzia, pani matka w obawie dała mi na ten raz własny swój szkaplerz. O! były to łowynie lada, bo niedźwiedź tak wielki się pokazał, jakiego starzy nawet myśliwi nie pamiętali. Było nas do piędziesiąt ludzi, chłop w chłopca wszystko strzelcy zawołani, tylko ja fryc jeden, a podżyły Strzembosz drugi: bo lubo 50 lat z górą rachował, był mały jak karlik, a krótkonogi. Każdy z nas dobrze nabił rusznicę kulą, w płutno zawiniętą, i poszliśwa. Pan Gawiński Łowczy, zalecał nam wielką ostrożność z niedźwiedziem, gdyż był bardzo wielki, jako sam przed miesiącem obaczył: bo pan Wojewoda Krakowski na niego polował, a kazał sobie wysoko altanę zbudować, i na

niej bezpiecznym się mniemał: alie niedźwiedź przyskoczywszy, dosiagnął łapą altany, i ścignął ją razem z panem Wojewodą na ziemię: ledwie się *salwował* z życiem, a niedźwiedź uszedł zdrowo. Był w tej kniei gajowym Wasil, chłopisko by *Maryjacka wieża*, dobrze odziany, bo śniegi spadły, i zimno ścisnęło: miał na sobie dwa kozuchy, i sukmanę. Jego pan łowczy wysłał, aby poruszył z legowiska zwierze. Ja z panem Strzembozem, i trzema jeszcze frycami społy, stanęliśmy dla bezpieczeństwa. Wasil poszedł z psami: stojemy, stojemy; aż nie długo zabrzmiała knieja szczekaniem głośnym. W tem przypadł do nas strzelec łowczego, pomiészany, wołając byśmy szli z nim społy, bo źle z Wasilem, gdyż psy w jednem miejscu dojadają. Więc szczęciu razem ruszamy. Uszedłszy z kilkoro staj, w przerzedzonym lesie widzimy psy, aż też miły Boże! leży biędny Wasil, dusi go niedźwiedź: psy kołem otaczały naszczekując zajadle. Co tu robić? gdy jeden z fryców ni pytany, ni proszony, na wiatr

wystrzelił. Niedźwiedź puszcza Wasila, rozbija psy i prosto biegnie w naszą gromadę. Strzelec mierzy, strzela, ale z pośpiechu nie trafia go dobrze, kula przeszła po słabiznie. Rozjadła się tém więcej bestyja, rzuca się ku nam: strzelec w nogi, my za nim, a biedny Strzembosz krótkonogi, nie mogąc zmykać, gdy ulgnał w śniegu, tyle miał przytomności, że się zwrócił, i rusznicę wymierzył. Z mrukiem na dwóch łapach spieniony, zażarty szedł na niego z iskrzącemi oczyma niedźwiedź, a my rozbiegli, zdala ze drzeniem patrzalim końca. Huknął wystrzał, zadymiło, potem widziemy na ziemi razem leżących Strzembosza i niedźwiedzia. Zbiegają strzelcy, idziem gromadnie, lecą psy, i dopiero zobaczylim, że zwierzę zabite, przygniotło zemgłałego ze strachu Strzembosza. Wydobyty, otrzeźwiony, wziął z niego skórę i łapy sobie na pamiątkę. Tak dziwném zrządzeniem opatrności, największy w on czas niedźwiedź w całych powiatowych lasach, zginął od fryca. Pamiętał go długo Wasil,

bo pomimo dwóch kozuchów i sukmany, zdarł mu skórę na żebrach.

— To zdarzył przypadek szczególny, wszakże mamy i mieliśmy łowców śmiałych, silnej ręki, i wielkiego serca. Na dworze pana Jana z Tęczyna znałem strzelca, co na dziki nie wychodził jeno w kapturze, z surowcowej skóry, który mu głowę, i twarz całą okrywał, z małemi otworami na oczy i do oddechu, a za broń jedyną kordelas długości dobrą stopę, obosieczny, hartowny, i ostry kończysto. Tak przybrany i zbrojny, czekał na przesmyku, póki psy nie ruszą dzika, a kiedy ten począł uciekać, w biegu go dosiadał. W on czas, trzymając się jedną ręką krzepko na nim, prawą zatapiał kordelas w żywot i wypuszczał jelita. Jakięż to potrzeba odwagi i siły, aby dosiedzieć, gdy wieprz rozjuszony w szalonych skokach, chciał się nie raz pozbyć zgubnego ciężaru. Był to widok straszny, gdy leciał wśród upału słonecznego gęstwiną ciemną, chłodną, bo tam promień słońka, nie mógł przejrzyć

od czasu, gdy Bóg świętą stworzył ziemię, a leciał staj kilka i więcej, za nim zuchwały strzelec, dobył jelita i zdołał przeciąć skórę grubą, okrytą szczecina twardą, smolną, i zbłoconą. Raz pomnę, wieprz ogromny wyruszony z legowiska leciał, strzelec dosiada, ale zwierz w taki gąszcz się zwraca, że szarpany gałęziami, rozbity pniami, począł siły utracać. Leciał więc długo i daleko, aż wypadł na małą łączkę, i dzięki Bogu, trafił na swego brata, co stał na stanowisku. Łowiec poznał brata na dziku, usłyszał słabe wołanie, więc mierzy; a kula, kładzie wieprza na miejscu. Upadł wraz z strzelcem, ugodzony w samo czoło: długo poleżał śmiałek, nie przestał wszakże dosiadać dzików, których dla zabawki pana swego, przywodził żywcem z kniei, przy pomocy dobrych kundłów.

Struś uśmiechał się nasłuchując, w końcu opowiadania przemówił.

—Mościwy panie Podstoli, w swojej chorągwi miałem jednego towarzysza podobne-

go śmiałka, w oczach moich dwa razy wskoczył na dzika, ale raz trzeci zawiodły go oczy, zamiast na grzbiet, upadł przed wieprzem, a jedno kła białego cięcie, pozbawiło go żywota: w pół przecięty, bez męki skonał.

Dymitr spojrział na starego Grzegorza, który odstąpiwszy od komina, gdzie gotował wiczerzę, wyprostował pochylone barki, i z dumą spozierał.

—Owoż (rzekł Dymitr wskazując na niego) i nasz kuchmistrz, należy do rzędu podobnych śmiałków, cztery dziki tak zakłuł, a podarty kaptur, wisi nad jego łóżem dla pamięci, co dokazywał w młodych latach: a przecież mi nigdy nie pozwolił, abym z jego rzucił się kordelasem.

—Dobrze zrobił! zawołał Podstoli, życie Bóg dał człowiekowi nie dla igraszki.

W tém misa kapusty kwaśnej z suto krajaną zwierzyną, ukazała się na stole, wraz z trzema dzbanami cynowemi piwa: gdy wkrótce misę wypróżniono, wychylono dzbany, *drzymka* poprzednik snu błęgiego po-

częła łowcom skłéjać oczy: po odmówieniu więc modlitwy wieczornej, przygaszono ogień na kominie, a strudzeni gospodarz i goście, smaczno zasnęli.

#### IV.

Zaledwie zorza prześwitywać zaczęła, gdy się zbudził Dymitr jękiem Strusia, który ufając zbyt żelaznej budowie swojej, za wiele jadł i popijał wczora. Rana kłem dzika zadana w udo, nie była tak lekka, owiązanie spadło w śnie gorączkowym, niespokojnym, i na nowo krew trysnęła. Zerwał się Dymitr na nogi, co rychléj na nowo obwiązał ranę, nogę całą wysmarował *skromem* zajęczym, a dla uśmierzenia boleści, podał w winie krople bobrowe, obwiązawszy żywot



skórą *tura*. Lubo jak najciszej robił te starania około chorego, zbudził się Podstoli.

Kiedy (*rzekł*) tak cierpi nasz sąsiad miły, trzebaby go odwiedzić do domu, bliżej stamtąd do Sędomiérza i po lekarza snadniej posłać.

I wnet zerwawszy się z posłania, kazał zaprządzić do swęj kolasy, na którą co rychle przeniesiono Strusia. Dymitr konno wraz z Podstolim jechali obok, a za nimi drużyna strzelców przeciągała zwolna i w milczeniu, jak orszak pogrzebowy. Wydobyszy się z puszczy, wjechali na tak zwany dawniej gościniec, wążki jak dzisiejsze drożyny uboczne; odznaczony tém jedynie, że mniej murawą zarastał od dróg mniejszych: na nim to znajdowałaś owe niegodziwe mosty, postrach podróżnych, gdzie konie łamały lub wykręcały sobie nogi, a których pamięć zachowało przysłowie że: «*Polski most, niemiecki post, włoskie nabożeństwo, to wszystko błazeństwo.*» Cztery mile jechano dzień cały, za nim zabielał wklonowym gaju do-

mek Strusia. Wniesiono rannego, i złożono na łożu. Bartosz stary jego sługa, ze łzami w oczach otulał Strusia niedźwiedzią skórą, zaniecił spory na kominie ogień, i radził posłać do *staréj Giertrudy* baby, leczącej w okolicy.

Ha! no! poślć mój Bartoszu i po babę, może co w to trafi (*odrzekł na naleganie sługi pan Strus*), ale zobacz jaką mieć będziemy jutro pogodę, bo i miesiąc świeci.

Wyszedł na ganek Bartosz, obejrzał na wszystkie strony, i powrócił do izby.

—Niepewnać, panie mój, pogoda, miesiąc w *lisiéj czapce*, a *Jasio* dmie od zachodu (10).

—Chciałem wam mili sąsiedzi jutro uciechę zrobić, na stado jeleni co mam je w swojej kniei, aleć z tego nic nie będzie, bo mój Bartosz zna się na czasie, jakby *Kalendarz Krakowski* pisał.

Bartosz z radością pogłaskał się po czuprynie: «Nie dopiéroć człek na świecie, a potem w tym dworze, mieszkamy razem z panem już lat 30.»

—Tak, żywie Bóg prawda, co wyrzekł, jako zajrzycie w około (prawił Struś uniosłszy się z łoża i wskazując w okno), była to knieja i ładna, gruby zwierz gnieździł się rado, jak ten dworek, i ten podworzec. Ja sam toporem, i mój Bartosz powaliliśmy nie mało modrzewiów, jodeł, cisów, klonów i dębów, zanim zbudowaliśmy domostwo i gumna małe, zanim i siolo powstało; coraz większe rok po roku. Po trzydziestu leciec h! owoż stoi wieś, co liczy 40tu gospodarzy rolnych. Ten gołębnik, co widzi-ta, jest to pień pamiętnej buczyny. Miałem żwawego pacholika Marcina: właśnie zbudowałem dla siebie domostwo, a w okół knieja, gdzie nie było *raritas* spotkać się z miedźwiedziem. Mój Marcin toporem chciał rąbać buk gruby, kiedy wypędzony z legowiska *bat'ko* (11), prosto leciał ku niemu. Marcin co nie czuł zająca w sobie (12), uskoczył za buczynę, miedźwiedź za nim, tak w kółko czas nicjaki tańcowali, aż wreszcie pan *bat'ko*, myśląc że obejmie drzewo razem z pacholikiem, objął

go łapami, a Marcin po wierzchu przytrzymał, i począł wrzeszczeć. Mój Bartosz to zobaczył, i oszczepem zabił rozjadłe zwierzę, owoż skóra, która mię otula. Marcin chorował ze trzy niedziele, i na widok baćka pościł się trochę.

Bartosz spojrział dumnie i rzekł: «Ktą ci tam Marcin nie miał leżać w niemocy, kiedy mu u kolebki wywróżono, że od miedźwiedzia zginie, i tak się stało w lat kilka potem. Na łowach chybił do miedźwiedzia, a ten jak go pogłaskał po żebrach, we trzy doby skołał.

—Czasem takie przepowiednie zjiszczają się na ludziach (*wyrzekł Podstoli*), domowi zacnego rodu z Koniecpola wywróżono, że studnia ród ich połknie. Kto dożyje ostatniego potomka, uwidzi czy prawda (13).

—Tak, tak! miły panie Dymitrze, przemówił Struś, w około tu była puszcza i nie lada, po tysiącu brano tu modrzewiów na maszty okrętowe: a kto z łowców wybrał się na zwierza, inaczej nie, jeno na tydzień ca-

ły do téj szedł puszczy. A w on czas, trzeba mieć półtora funta prochu, półtory kopy kul, knot; zapas hupki w łożu, krzesiwo, toporek, nóż i rzemień, więc biesiagi, w których chléb, wędzonka, a wodę pić. A to, aby gdzie jedno pod knieję dobrą zwierzęcą przyjedzie, tam sobie uczynić nocleg, gdyż strzelec nie jako myśliwiec jeżdżeniem, ale jako szpieg nostawaniem, a czasem na miejscu strzeżeniem, do paszy zwierzowi sposobnych, przed wieczorem na trzy godziny do zmierzchnienia i nad świtaniem drugie trzy, na dzień pilnować ma; bo zwierz na te czasy z gęstew' na *ulaski* trawą przyodziane, najczęściej wychodzi: rad zwłaszcza na dniu wielkim. Jeśliby chodząc po puszczy, upatrować chciał, tedy na to najlepiej w największy wiatr, aby zwierz dla szumu wielkiego, łamania gałązek pod nogami skrzekowemi nie słyszał. Bo wierz mi Wasze: po wietrze, do zwierza, a pod słońce, do ptaka na drzewie, niechaj nikt nie dybie; bo zwierz pod wiatr nozdrzą, a ptak po słońcu okiem przedko spostrzegą

strzelca (14). Abyś w takiej puszczy nie zbłądził, we dnie po słońku okiem, a w nocy tedy pomacać drzewa, na którym od północy gdzie nie chodzi słońce, zarasta mech i z północy kosmate, a z południa drzewo gołe być musi zawsze. A kto może, niech ma i kompas przy sobie, aby się jedno poznał skądkolwiek bięg słoneczny. Bo trzeba wiedzieć Waszeci, że nie jedną noc przespało się w puszczy z daleka od ludzi, kędy nie zasłyszałeś głosu człowieczego, jeno wycie wilków, mruk niedźwiedzi, i chrząkanie odyńców: nie raz strach zajrzał w oczy, aleć w Bogu nadzieja, a w torbie chleb. Miałem też rusznicę nie lada! rura na pół pięty piędzi: kulę do niej w cieńki oszywałem płatek, potem ostrzygniona, więc w wosk gorąco rozpuszczony wrzucona, w którym gdy obewrze, tedy potem ostudzona, w rusznicę nabita, by najdłużej leżała, nie ordzewieje, zacem nie targnie. A do niej brałem prochu, co trzecia część kuli zaważy: bo trzeba Waszeci wiedzieć, że inaczej się nabija do tarczy, abo na

nieprzyjaciela by mu zbroję przebić, wtedy prochu trzeba, co pół kule zaważy.

Tu odetchnął po długiej mowie Struś, i sparł głowę na poduszce. Podstoli na oknie ujrzawszy rękopism, sięgnął ręką; co Struś ujrzawszy rzekł do Dymitra: «Wasze młode piersi macie, przeczytajcie com dla pamięci zapisał na przestrozę drugich, jest to szczerza i wierna prawda z doświadczenia.

Dymitr wziął dyjaryjusz do ręki, i począł czytać.

*Przystawia myśliwce z doświadczenia, szlachcica polskiego, Anno Domini 1590.*

I. Kto idzie na miedźwiedzia, gotuj łożko, kto na dzika, mary.

II. Do zwierza po wiatru, do ptaka pod słońce, jako do konia w omaćni, niepewny chód.

III. Ptaki drobne kulą strzelać, zające na śniegu bez rarogów szczwać(15), ryby w rzece kłonią łapać: to z tych łowów, jedno dziesięcinę wytknąć przyjdzie.

IV. Na zająca z rarogiem, na sarny z sieciami, na kuropatwy z jastrząbki, najpewniejszy łów.

V. Z rusznicą na wiosnę, z sokoły w lecie, z ogary w jesieni, z rarogi w zimie; myśliwstwa najlepiej użyć.

VI. W łowiech uciecha, u stołu znajomość, w cieple sen.

VII. Rusznica jako chleb, zawsze się przygodzi.

VIII. Ogar łakomy, chart pokorny, wyżeł żwajca, dobrzy bywają.

IX. Charcie, ogarzyce, wyźlic, z domu nie zbywaj; chceszli mieć psy dobre.

X. Koń dla owsa, pies dla chleba, ptak dla mięsa, siła się nauczą radzi.

XI. Przejażdżka, myśliwstwo, gospodarstwo, potrzebują rannego wstania.

XII. Koń swawolny, broń tępą, rusznica niepewna; do potrzeby nie dobre są.

XIII. Koń ogonem wiercący, myśliwiec pogody czekający, kmieć bez dozoru robią-



cy; pewnie z tych każdy raczej sobie, a niż panu dogadza.

XIV. Zrzebię tureckie, wyżłę niemieckie, chłopię szlacheckie, najlepiej chować: bo koń turecki droższy, wyżeł niemiecki ćwiczeńszy, a szlachcie za wychowanie, będzie i z przyjaciółmi dziękował.

XV. Koń wymorzony w drogę, chart obkarmiony w pole, mieszek (*worek*) czysty do targu, wszyscy nie wiele sprawią.

XVI. Koń siwy, chart płowy, ptak biały, częściej dobrzy trafiają się.

XVII. Wierna miłość, sanna droga, krogulcze pole, głos dyszkantowy, nie trwałe.

XVIII. Jarząbka strzelec może dać jednego panu, a kuropatw potrzeba parę.

XIX. Jarząbek pański ptak, a chłopska potrawa.

XX. Nie ciężą jeleniowi rogi.

XXI. Biada tej kokoszy, na którą jastrzębia łowią.

XXII. Tam się orłowie zlatują, gdzie ściérw czują.

**XXIII.** Włóczy się za nim państwo, by za sarną ogon.

**XXIV.** W post jeleni srogi, ukole cię rogi.

**XXV.** Wysiłk się w rozum, by sarna w ogon.

**XXVI.** Z szwagrem na zajęc, z bratem na niedźwiedzia.

**XXVII.** Jazda bez siodła, pole bez obłowu, gość nie dyskret, prędko naprzykrzy się.

**XXVIII.** Koń w dzielności, pacholek przy trunku, chart u zająca, jakimi się raz pokażą, takimi długo je rozumieć możesz.

**XXIX.** Koń bystry, białogłowa strojna, ptak lotny, nie mogą ładajako obrócić się z czasem.

**XXX.** Muchy, psy, gachy, gdzie się ponęca, trudno wygnać.

**XXXI.** Pies wściekły, człek wszetecznej gęby, szalony; jednakowo ludzi psują.

**XXXII.** Lepszy wróbel w ręku, niż cietrzew' na sęku (16).

**XXXIII.** Wilk na dziedzinie nie szkodzi.

—Miły panie bracie (rzekł Podstoli, gdy skończył czytanie Dymitr), wiele tu prawd zawarłeś, ale szkoda, że to w jaki traktacik nie ułożyliście.

—Nie miałem mój sąsiedzie do tego i czasu (odrzekł Strus), zawsze w puszczy lub na polu, mało w domu siedząc, nie wiele pisać, krótko a węzłowato pisać należało. W młodych latach, najwięcej rozmyślałem czy idąc w pole, czy rąbiąc toporem drzewo, czy z rusznicą w kniei: a kiedyż wolna do pióra ręka! ot! co zbyło czasu w zimie, toć się napisało. Aleć już będzie pono i doba do wezsu: dobra noc mili sąsiedzi! Bartosz niech pomyśli o wygodzie, jeno pamiętaj, żeby wielce nie stukać, gdzie chowamy sokoły, i ptaki łowieckie nasze.

V.

Nim zapiały pierwsze kury, Dymitr wysłał swoje konie z kolasą tajemnie do blizkiego Sędomierza, aby sprowadzić sławnego lekarza w one czasy, Medyka nadwornego Kasztelana Jana Grabi Tarnowskiego, pana *Marcina Urzędowa*. Zrobił to tajnie, i dopiero wyznał Podstolemu, kiedy Medyk na podwórze zajechał równo ze wschodem słońka. Zdziwił się Struś niepomału ujrzawszy wielbionego lekarza w swoim dworku.

— Czémże Waszeci wielce miłościwy Mistrzu, odwdzięczę za tę łaskę, żeście raczyli zjechać w liche progi moje.

Medyk skłonił głową, usiadł w milczeniu przy łożu, i wziął słabego za rękę, szukając bicia tętna (\*). Po chwili, obejrzał ranę, a

---

(\*) Pulsu.

z przywiezionej maści, plastrem owinawszy, ręczył za zdrowie, aby w pokoju trzy dni przeleżał.

—Cieszy mię wielce, że rana waszej Miłości (*rzekł Marcin Urzędów*), w niczem nie zstrasza, maści tej jeno zażywajcie, a nie długo....

—Czy jutro zapolować możnaby? przerwał Struś.

—To zawczasu, pozajutro nad wieczorem, będziecie mogli wyjść nieco z domu, bo wiem, że wam duszno w chałupie siedzieć.

—Czyby nie zawadziło trochę juszki upuścić? zapytał chory.

—Nie ma potrzeby, a jać szafarzem krwi nie jestem: (17) nie pijcie wina, za napój wodę, z grzanką chleba.

—Toż Wasza miłość zagrał panu Strusio-  
wi, *sarabandę*, on co jeno myje się wodą! zawołał Podstoli.

Struś się skrzywił na tę radę Doktora, ale przez szacunek, w żart to obróciwszy, wyrzekł: «Złe będzie z nami, moi sąsiedzi, bo dosta-

nę przydomek *wody*, jak tam jakiś Wojewoda na Mazurach, o czem prawi pan Bartosz Paprocki, w Herbarzu.

—Nie obawiajcie się tego sromu, tamten nie pił cały żywot, jak jeno wodę, a ja wam zalecam na dni kilka.

—Niech tak będzie, posłucham rady Waszój miłości: będę siedział w domu, pił wodę. Aby się moi sąsiedzi nie nudzili. Bartoszu! weź *drzemliki* na łowy żorawi.

Medyk stanąwszy w oknie, z wielką radością ujrzał ogródek, wokoło domku Strusia.

—Jako baczę, z Waszój miłości wielki miłośnik ziołek lekarskich i ślicznych kwiatów: owoż *gwoździki* zimne abo indyjskie, które temi czasy nastały w Polsec, śliczny a piękny kwiat: *myrt* nie dawno sprowadzony: zieleni się *groch włoski*, nie widziałem go też nigdzie, jeno w ogródkach Krakowskich, kędy go siać poczęto. A wieleć osobliwości, znajdzie po zamkach panów naszych. *Bluszcz* prawdziwy, ma sam Tęczyński zamek, w ziemi i lecie zielony. *Rozmaryn*, już mają

w ogródkach Krakowskich. Widziałem jałowiec u pana Tęczyńskiego Wojewody Sędmierskiego tak wielki, że są drzewa piękne, trudno rozeznąć od Cyprysu, tak duże, tylko jagody dadzą poznać (18).

Roztworzył okno, chwając ogródek, a Struś z radości, że praca jego i starunek znalazły pochwałę, już chciał puhar starego *madzara* wychylić, ale pomny na zakaz Medyka, patrzył wzdychając, jak goście podany gąsior spijali, a i pan Marcin Urzędów lubo skromniej, wychylał kielich miłego napoju.

Bartosz z dwoma drzemlikami, ukazał się we drzwiach drugiej izby.

—Wziąłem (*rzekł*) starego *ćwika* i *maizę* (19). Poprobujem go nieco. Właśnie Dymitr wychyliwszy puhar, czoła zmarszczył: co widząc Podstoli zawołał z uśmiechem.

—Co któryś tam z naszej szlachty poetów powiedział, to muszę teraz powtórzyć, do młodego naszego łowcy.

—*Spelnil gość pełną, i zmarszczył się chytrze.*  
*Gospodarz rzecze: «Coć nie miło Dmytrze?»*

— *Gnićwam się, mówi, gospodarzu na cię,  
Chyba, że aż mię, drugą pojednacie» (20).*

—O! nie dla tego namarszczył czoła, Wielmożny Podstoli, aby o drugą miarę się upomnieć, boby już oczy zamroczyło, a czas na łowy!

—Hejże! na łowy! wykrzyknął rzeźwie Struś, krzepko unosząc się z łoża: Bartoszu! konia, rękawicy mojej! i bębenek!

Medyk spojrział na niego z podziwieniem, zrozumiał to Struś dobrze, opuścił głowę zasępiony na piersi, i rzekł osowiały: «Jedźcie z Bogiem, a przywieźta mi żywego żorawia na nętę. Bartoszu, uważnie z maizem, żeby nam nie uleciał z domu.

Podstoli z Dymitrem wsiadłszy na koń, pożegnali Marcina Urzędowa, który co rychło ruszył do Sędomiérza, polecając Strusiowi spokój, i dyjetę. Bartosz konno, na rękawicy unosił dwa drzemliki, a dojeżdżacz białego, pięknego prowadził na smyczy Wołoskiego charta, wyprobowanego z rąchości.

Struś zawołałszy pacholika i kilku z cze-



ładzi, kazał się z łożem przysunąć do okna, skąd widać łąki z wyżarami, kędy łowić miano żorawie. Gdy mu ułożono poduszki, i wszystko jak na dłoni mógł dojrzyć, kazał przy sobie zostać pacholikowi, i podać trąbkę myśliwską.

Tymczasem, łowcy stanęli na łące, bo dojrzeli stado żorawi. Dymitr wziął młodego drzemlika, Podstoli starego ówika: Bartosz odwinął rękawicy, aby dobrze wybijać na bębenku, rozkazując dojeżdźczowi, z wólą z chartem zajeżdżać. Łowcy z ptakami czekali, rychło puszcza w obłoki lotnych gońców. Dojeżdźczacz zręcznie zajechał, ukazał chartowi stado, i puścił ze smyczy. Poskoczył chart rączy, łowcy ruszyli galopem: a gdy przed chartem zerwały się żorawie; Dymitr i Podstoli puścili drzemliki. To była ważna chwila dla Bartosza, bił co siła w bębenek i głosem z całej siły pokrzykiwał, zachęcając skrzydlatych łowców.

Struś w oknie nie mógł spokojnie dosię-

dzieć, to pokrzykiwał z gardła, to wygrywał na trąbce *«pojezdnego.»*

Spłoszone żorawie wybiły wysoko w zgórę: drzemliki dognały ich prędko, usiłując wyżej się wzbić nad nie: jakoż wkrótce i młodziak i stary, wyleciały nad przestraszone ptaki. Tu był czas właściwy tryjumu łowców: drzemlik stary z góry uderza na głowę żorawia, zbija go z lotu, ma iż idzie za jego przykładem, i obydwaj z dwoma żorawiami, jak dwa kamienie rzucone, lecą do ziemi. Bartosz, z wlepionemi oczyma, z kopyta poskoczył, Dymitr za nim, równie jak osiwiwały Podstoli, aby pochwycić zdobycz.

Struś płakał z radości, patrząc jak pięknie łowią jego ptaki, klaskał z radości, wołając na pacholika: «Chłopię moje, patrz jak wybijają w zgórę! o! o! już uderza mój ćwik! o! o! już leci do ziemi: dalej sąsiedzi, w konie z kopyta, dalej.»

Żorawie z drzemlikami już były na ziemi: silne ptaki poczęły z siebie zdzierać napastników swoich, gdy Bartosz z Dymitrem w czas

nadbiegli, pochwycili żorawie, i zdjęli drzemliki (21).

Struś ujrzawszy skończone łowy, zatrąbił piosnkę: «*Już po herapie łowcy! łowcy!*» rozkazując przyrzadzić co żywo do stołu.

Z radością wracali łowcy, a gdy zsiedli z koni, oddali gospodarzowi dwa żywe żorawie, nieco tylko podrapane: gdy Bartosz wszedł z drzemlikami, Struś kazał je sobie podać, a z pieśczętą głaszcząc je i całując, kazał je wodą obmyć, i żeru dodać.

Po obiedzie, Bartosz znając swego pana, zapytał niby nie chcący, czy nie każe spróbować *kurów* (\*) w bitwie, co ich nakarmił dobrze zielem dodającym zapału, i ochoty do walki (22).

—W to mi graj! stary! wykrzyknął Struś radośnie, przynajmniej leżąc w domu, człek się jakoś rozweseli.

Zdjęto nakrycie ze stołu, gospodarz kazał dolać w próżne puhary Podstolemu i Dy-

---

(\*) Kogutów.  
*Tom IV.*

mitrowi, sam dla zachowania rady medyka, wodą usta popłókał, a napił się wina: kiedy Bartosz z pacholikiem wnieśli każdy koguta, pierwszy czerwonego, drugi białego jak mléko.

—No! rzekł Struś, nasypcie im nieco ziarna, niech się posrożą. Bartosz sypnął garść pszenicy na stół, i postawił przytém koguty: oba poczęły jeść ziarna, ale coraz odsuwając się od siebie. Zwolna gniew w nich wzrastał, w grzebienie krew' nabiegała: poczęły grzebać nogami, najeżać pióra, i pochyliwszy głowy, coraz zajadlej spoziierać na siebie.

Struś poświstywał, klaskał w ręce, w reszcie zawołał: «Nuże, mili sąsiedzi! za którym trzymacie? ja, za czerwonym.

—Ja za białym, wyrzekł Podstoli, za nim Dymitr.

Bartosz pokręcił głową.

—No! a wy za kim stary? zapytał Struś ciekawie.

—Mnie się zdaje, Wielmożny panie, że biały pobije.

—O co zakład! wykrzyknął Strus, że czerwony pobije. Słuchajta Bartoszu! jeżeli biały pobije, dam ci gąsior maliniaku starego, a jeżeli przegra, sworami dostaniesz.

Bartosz się skłonił z uśmiechem, właśnie koguty zażarte, rozpoczęły walkę zaciętą. Czerwony pierwszy uderzył, biały się cofnął aż na róg stołu, odpornie się mając: a gdy nacierający w kilkunastu poskokach śmiały, umęczył się nieco; biały z całą siłą począł uderzać. Teraz zmusił czerwonego do cofania, aż po długiej bitwie w której i dziobem i pazurami walczono, biały, pochwywszy za grzebień przeciwnika swego, począł nim ciągnąć po stole. Zbroczony we krwi, kiedy się zdołał wyrwać, uciekł ze stołu, a zwycięzca dumnie przeszedłszy pole bitwy, wyskoczył po łożu Strusia na ogród, kędy na płot wleciawszy, wesoło zapiał, jakby otrębując wygraną.

Strus poskrobał się po głowie: »Zły ze mnie prorok,« i dodał z uśmiechem: »aleć przynajmniej mój Bartoszek uszedł plagi sfo-

rowój. Na, stary! wypij tam za moje zdrowie maliniaku com przegrał.

Podstoli uradowany że rana nie groźna, zaprosił go do siebie wraz z Dymitrem: przyjęli obaj zaprosiny, i nazajutrz równo ze wschodem słońka, ruszyli w drogę. Strusia posadził w kolasę, sam z Dymitrem konno; przed obiadową godziną, stanęli przy pierwszym kopcu dziedziny Podstolego.

---

## VI.

Alea lipowa prowadziła od kopca granicznego, aż do samego dworu Podstolego. Dwór ten murowany, z dwoma wieżami na czole, stał na wzgórzu nad obszerném jeziorem: stary ogród, zabudowania folwarczne, otaczały błota i sadzawki: z przodu wał z fosą wysoki, na którym czerwieniał dziki ber-

berys z polną różą, i czerniła tarń ostra. Przedział między fossami zapełniła brona wjazdowa, z spuszczanym na łańcuchach mostem, z wyniosłą wieżą, na której straż otrębywała przybycie obcego gościa. Na bronie był rok wyryty 1531, snąc budowy i herb Junosza rodziny, do której dwór ten więcęj do zamku podobny, należał.

Struś pokręcając wąsa: »Na mego patrona! dwór Waszej miłości, oparłby się tym psom poganom tatarskim: wałów jeno nieco poprawić, a szmigownic kilka, w rusznicę przystroić piechotę na wałach, bramie: nieco łodzi by łabędzie ze strzelbą na jeziorko i stawy puścić, a niech z konia spadnę trzeźwy! jeśli bym tu się bał tej szarańczy, choćby jęj było i sześć tysięcy szabel.

Właśnie wjechali w bronę, Struś się zdziwił wielce, widząc że na wałach ukryte stały działa, a mur wysoki drugi raz wewnątrz zasłaniał dworzec.

—Ho! ho! wykrzyknął, com w głowie

zamyslił, a tu już wykonano, dobry snac z Waszėj miłości, i łowice i wojak.

Na ganek dworu, wybiegła z powitaniem pani Podstolina, i córka młoda Marynka. Podstoli pozdrowił je serdecznie: » Owoż przedstawiam wam swego dawnego *Sodalisa*, sławnego imienia Pana Strusia, a to jego miłość, pan Dymitr, o którym wspominałem nie raz. Ale dosyć tych ceregielów, każ moja dziewczeczko, co rychlėj nam obiad podać, bośmy strudzeni i głodni.

—Dymitr ukłoniwszy się pani Podstolinėj, spojrział na Marynkę, i uczuł że mu krew uderzyła do serca i liców, jakby go oblał czerwienią, stał pomięszany. Kiedy to dostrzegł gospodarz, z uśmiechem uderzywszy w ramię, wprowadził do izby. Struś opierając się na kiju, uważał pomięszanie Dymitra, rzekł więc do niego z cicha.

— Mój młody samsiedzie, lepiej pono było łowić drzemlikami żórawie u mnie, abo spotkać się z dzikiem i niedźwiedziem, jak z pięknymi oczyma dziewczki.



Dymitr nie odrzekł słowa, a znalazłszy napis nade drzwiami, przeczytał go głośno:

*W miejscu cnych ojców, cne dziatki usiądą,  
Z pracy cnotliwej ich cieszyć się będą:  
Bo niecnotliwie nabyta fortuna,  
Tak się w lot zerwie, jak się zerwie struna (23).*

—Dobra to myśl, bo przysolona szczera prawdą! wyrzekł Struś.

—Bóg dajby (dodał gospodarz), za cnemi ojcami, w ślady ich dziatki poszły! Ale dosyć tego, chodźmy samsiedzi do stołu, bo już moja pani nas oczekuje.

Struś przy stole zapomniał dyjety nakazanej przez lekarza, a gdy niewiasty odeszły, i zostali sami, wraz z kilką szlachty na *respekcie* u Podstolego będących, oraz trzech rotmistrzów od Ussarzy i z jazdy pancernej, gęściejsze kielichy zaczęły obchodzić: żadnego z nich mimo Struś nie puścił. »Byłoby to jednym z siedmiu grzechów śmiertelnych, żeby być w Rzymie, a Papięza nie widzieć: być u Podstolego przy stole, a wina jego nie pić.

—A wiesz téż mój samsiedzie, skąd owo poszło »*być w Rzymie i Papięza nie widziéć?*» Nie? Więć powiem. Szedł pielgrzym Mazur, i zaszedł do Rzymu. Nie wiedząc że już jest w Rzymie, zapyta pierwszego co spotkał Włocha: »*Cy tędy do Zymu.*«

—*Non intendo!* odrzekł zapytany, a pielgrzym na to: »*No! kiedyć nie tędy, to tsa się wrócić.*« I powrócił doma, nic nie widząc (24).

—Słyszałem tę powieść, równie gładko jak pan Podstoli, przez sławnego dworzani-  
na opowiadaną, pana *Smolika*. O! był to we-  
soły i dowcipny dworzaniin, jakiego już w ry-  
chle nie zobaczymy wcale.

—Wasza prawda mój samsiedzie (odrzekł Podstoli), znałem ci go i sam, i pamiętam je-  
go figliki. Pewna pani, chciawszy zażyć Smo-  
lika, widząc że dno niej idzie, kazała wszyst-  
kiemu fronecymerowi, którego było nie ma-  
ło, we dwa rzędy stanąć, przykazując nie  
tylko nie mówić, ale ani się ruszyć, chcąc  
wiedziéć i widziéć, jako w tym razie sobie

postąpi. Wchodzi, kłania się pani i froncymerowi, wszystkie stoją jak wryte, milczą jak nieme. Smolik myśląc, że wszedł między posągi, jeszcze im się raz i drugi pokłoni, aż na ostatek postrzegłszy dworstwo, udał się do dworstwa. Zdejmuje suknie, wstęgi rozwiązuje, jakoby chciał ulżyć, i w czas sobie uczynić: wtedy gdy już więcej śmiechu, i téj ceremonii wstrzymać nie można: Fe! fe! na niego zawołały, a on téż jakoby ze wstydem i ze strachem począł szaty swoje zawiązywać, i zbierać.

—Pamiętam (mówił Struś), w podróży z nim razem będąc, stanęliśmy w karczmie. Smolik widząc żyda którego znał, a sam był potrzebny, zdjął przed nim czapkę. Gdyśmy mu tę ludzkość jako nie potrzebną ganili, powiedział: »Często to i na większe stany przychodzi, iż nie tylko czapkę, ale i kopeńniak, deliją zdjąć przed żydem potrzeba.«

—Pomnę (*wyrzekł Podstoli*), jak z jedną wielką panią jachał do Poznania: panny więc froncymerne, wszystkę mu złość wyrządza-

ły w karecie. Smolik siedząc, pomyślał przeto, jakoby to im oddać. I trafił się im piasek wielki, gdzie wszyscy wysiadłszy, musieli iść piechotą. Smolik kazał chłopcu wprzód za krzaczkiem kędy, wypróżnić żołądek, a nakryć czapką i na pana wołać, że uchwycił ptaszka. Chłopiec tedy sprawny, wnet tak uczynił, jako pan kazał. Przypadnie Smolik i zawoła na panny: «Mam ptastwo! mam! Panny jako ciekawe przybieżały, i kazał im stanąć kołem w około tej czapki: jaka taka rączkę włożywszy pod nią, chcąc ptaszka uchwycić, umazała się. Krzykną: pfe! pfe! a Jęjmość pyta co to? Smolik odpowiedział: «Panny ptaszka uchwyciły, ale im uleciał, ślad po sobie zostawiwszy.» Odtąd cały froncymmer, że mu nie zrówna, dał mu drugi raz pokój (25).

Struś zagrzawszy czupryny, chciał konia dosiadać na konną gonitwę: gospodarz, aby go uspokoić, rzekł: «Nie! miły samsiedzie, Waszeć raczysz być sędzią na młodzież. Dalej! (zawołał na domowników), niech wyprowadza

konie, my z białogłowami na ganku patrzeć i sądzić będziemy!

Przystał na to Struś ochotnie. Hussarze pierwsi dosiedli, za nimi Dymitr. Była na słupie w środku podwórza figura Turka w zawoju, z wyciągnionemi rękoma: w jednej trzymał pierścień, w drugiej talar bity: rozpuściwszy konia, trzeba było najprzód kopiją zrzucić mu turban, potem zdjąć pierścień, a kulą z pistoletu wystrzelić talar trzymany. Kto trzy razy tak trafi do celu, miał otrzymać z rąk Podstolanki puchar srebrny, i szablę damasceńską.

Struś dopijając zaczętą czary z winem, zawołał do jeźdźców:

—No, panowie bracia! na przód!

Hussarze najprzód wolno kłusem objechali szranki wokoło dwa razy, za trzecim znizyli kopije, i skoczyli z kopyta: dwaj pierwsi chybili, ale Dębołęcki rotmistrz ussarski, zrzucił turban. W drugim zapędzie, tamci trafili i zdjęli na kopiją pierścień, a Dębołęcki chybił. Patrzył z dala na te wysięgi

Dymitr, więcej oczy mając wlepione w gładką Marynkę, a w zadumieniu czekał rychło skończy: wtedy Podstoli zawołał.

—A nuże! młody łowcze! cóż stoisz niemo?

Rozbudził się Dymitr, ruszył kłusa, skłonił kopiją przed gospodarstwem, Marynką i Strusiem, objechał trzy razy, za czwartym w pędzie zdjął najprzód pierścień, za drugim zwrotem, zrzucił turban.

—Wygrał! wygrał! krzyknął Struś radośnie, to mi gracz!

Podstoli poklaskiwał, Maryja zarumieniona, z bijącym sercem spuściła oczy do ziemi....

—No! teraz kulą wytrącajcie temu poganinowi naszego talara! Dębołęcki w pędzie strzelił, i wyrwał kulą talara, dwaj za nim jadący podobnie: Dymitr prosił, ażeby i w drugą rękę, w pierścień włożono talara: spełniono jego życzenia. Wtedy z dwoma pistoletami w rękę, puściwszy swobodnie konia, dwoma strzałami wytrącił z obu rąk dwa talary.

Hussarze, współzawodnicy, sami przyklasnęli. Struś z radości czarę w górę rzucił podchmielony. Podstoli zawołał: «Panowie bracia! pan Dymitr bez sporu zwyciężył. No! Marynko! wręcz mu puhar i szablę, ja osobny mu dar zrobię.

—Dymitrze druhu! krzyknął Struś, dalej z rąk panny Podstolanki, odbierz Waszecz nagrodę.

Dymitr konno stanąwszy przed gankiem, skłoniwszy kopiją, zeskoczył z siodła, i pomiészany, od zarumienionej Maryi otrzymał puhar i damascenkę: Podstoli zaś ofiarował mu tegoż samego konia, mówiąc: widać, że mój dzianet do Waści ręku, niech Wam służy, a pewny, że tak żywym poganom potraficie turbany zdejmować gładko, jako tu drewnianej figurze! Dalej, podajcie kielicha bez nogi! wina! wznosząc zdrowie zwycięzcy, niech żyje!

—Niech żyje! krzyknęli wszyscy razem, i wnet dwa kosze świeżo węgrzyna z piwnicy wniesionego, przelało się co do kropli w gardła obecnych.

Nie dzielił téj ochoty Dymitr, a stanąwszy przy gospodyni i Maryi, zaczął nieśmiałą z nimi rozmowę. Podstolina wkrótce odeszła do zatrudnień domowych, została Maryja. Gospodarz zachęcając do kielichów, z radością patrzył na młodą parę, i wcześniej się cieszył, że spełni swoje życzenia: zbliżył się więc do nich, a wzięwszy Maryję za rękę, rzekł do Dymitra:

—Młody mój przyjacielu! moja Marynka jest to dobra i cnotliwa dziewczka. Nie wypada swojego pisklęcia chwalić, ale Bóg widzi, że prawda: kto ją pojmie za żonę, będzie miał skarb w domu.

—Takiegobym jeno skarbcu pragnął na tym świecie, wyrzekł nieśmiało Dymitr.

Podstoli ścisnął go za rękę, a widząc próżne kielichy, powstał, aby kazał je napełnić.

Dymitr w radości, nie mógł słowa przemówić, porwał rękę Maryi, i przycisnął do ust swoich. Nikt z pijących nie widział tego, jedna Podstolina to ujrzała, bo właśnie w tę porę weszła na ganek. Z uśmiechem



odwróciła oczy i z cicha przemówiła do męża: Waszeci Kubusiu *projekta* może się zjiszczą, bo baczę, że młodzi już się poznali na sobie.

Podstoli zatarł wesoło czupryny, pokręcił wąsy, a poprawiając pasa, zaprosił do wieczery swoich gości.

---

## VII.

Tydzień cały zeszedł na wesołej zabawie w domu Podstolego, gdy wieczorem nadszedł stary Grzegorz, sługa Dymitra.

— Jakże się macie, mój Grzegorzu! wszystko dobrze w domu? a dworek gajowego już stanął z pogorzeli?

— Tak jest, wielmożny panie, wszystko w domu zdrowo, a gajowy z żoną w nowój chałupie błogosławią moje panisko.

— Cieszę się wielce z tego, ale muszę ci miły Grzegorzu, wiele znowu pracy zadać.

I wziął starego za rękę, długo mu w uchu na uboczy kładąc. Nazajutrz ze świtem odjechał Grzegorz.

Strus nie czując bólu rany, dosiadał hieguny, gonił do pierścienia, już dwa niedźwiedzie w kniei zabił, kilka razy z sokołami Podstolego łowił ptastwo, jadł dobrze, pił lepij i spał smaczno w nocy, choć przed obiadem, i po obiedzie drzemał.

Właśnie chrapał po drugim śniadaniu przed obiadem, gdy wszedł do tej izby Dymitr, oczekując na rozbudzenie Strusia. Wyczekał się dosyć, zanim roztworzył oczy.

— Co tu robita kmotrze (*zapytał poziwiając*), dobrze się bawim? Podstoli święty człowiek, nie żałuje niczego, można tu po *chłopsku jeść*, po *szlachecku pić*, a! a! a Podstolanka, dziewczka czarnobrewka, nie lada. Nie ma co mówić, że krasna, oczka by sokole, by orlicze, warto nderzyć o nią czołem! Waszec coś wietrzysz, i przystojnie robisz, że zaloty z cicha odbywacie, *bo zaloty w głos, a sianie w dėszez, djabłu*. Już ja baczę żeś kmo-

trze zamiłowan, *jak djabeł w suchej wierzbie!*  
Ależ na mego patrona, to dziewczę powiedzie  
na pokuszenie każdego: jać stary, ale! ha!  
tam! prawda że *w starym piecu djabeł pali:*  
ja takowy ogień czuję nie raz! Oj! ta Ma-  
rynka!...

— Nie o tém przyszedłem tu mówić z Wasz-  
mością, chciałem Was prosić, byście mi do-  
pomogli do miłej niespodzianki, dla pana  
Podstolego.

— Z duszy! serca!

— Owoż chciał on gajowemu dom odbu-  
dować, ale zajęty gośćmi, na później odło-  
żył. Ja dom ten jużem zbudował, i chciałem  
prosić do siebie, aby zobaczył, co się dało  
zrobić dla pogorzalców.

— Co słyszę! chodź mój chłopcze, niech  
cię uściskam! czegoż więc chciała ode mnie?

— Ażebys Waszmość raczył w swoim imie-  
niu poprosić państwa Podstolich, w odwie-  
dziny rodziny gajowego.

—Dobrze! dobrze! a kiedyż to mam zrobić?

—Jutro! bo za dwa dni, imieniny Podstolanki.

Struś zerwał się na nogi, a poziewnawszy razy kilka: »Zaraz idę i z Podstolim pomówię.«

—Tylko żeby nie wiedział, o wybudowaném domostwie.

—Dobrze! dobrze! kiwnął ręką i odszedł, a Dymitr oczekiwał w niepewności i tajemnej trwodze. Nie długo nadszedł Podstoli, za nim Struś z wesołym czołem.

—Przyjmuję wasze zaproszenie (rzekł gospodarz), jeno z warunkiem, że o dzień się spóźniém, bo wiele samsiadów, na imieniny mojej dziewczki zjedzie: wyjeżdżać w wigilią nie godzi się, boby myśleli, że zbiegamy z domu, a jak odprawim tu uroczystość, w sam dzień imienin staniem, gdzie zechcesz, w gronie swoich bliższych. Skłonił się Dymitr, ucałował rękę Podstołego, który go szczerze uściskał. Z bijącym sercem nazajutrz

Dymitr wstał raniiej od wszystkich, i chodził szpalerem lip odwiecznych: w samotnej dumce układał co ma powiedzieć Maryi, jak powinszować, gdy okno jej sypialni roztwarzało, i Maryja już ubrana stanęła w niem, dla oddychania świeżem powietrzem. Dymitr stał zasłoniony krzewami, w niepewności, czy postąpić na przód, czy niewidzialny odejść, ale chęć, ażeby pierwszy złożył jej życzenia, przemogła: wystąpił z krzaków, Maryja go uśmiechem, i rumieńcem powitała. Stał przy oknie, wziął jej rękę: »*Życzę ci Maryjo!*... « nie mógł więciej domówić, ale oczy łzami przyćmione, które nie mogły zalać w nich ognia, domówiły reszty; Maryja ścisnęła mu rękę.

Właśnie w tę dobę, szedł z różańcem w ręku, odmawiając ranne modlitwy Podstoli: a lubo dostrzegł wszystkiego, zwrócił się w inną stronę. Dymitr odstąpił od okna, schowała się za ścianę zawstydzona Maryja. Podstoli boczną ścieżką nadszedł w toż miejsce. Ale Dymitr już był daleko: w stajni czekał

na niego koń osiodłany: dosiadł go, i dużym kłusem ruszył ze dworu.

Trzy mile, we trzy godziny przebył, a obejrawszy domostwo gajowego, i nowe dawszy rozporządzenia do przyjęcia liczniejszych gości, ruszył z powrotem, i nad wieczorem stanął we dworze Podstolego. Właśnie wszystkich zastał przy uczcie, przebrał się co rychlej, a nie śmiejąc wniść w grono biesiadników, poszedł do ogrodu.

—Jeśli mię oczy nie mylą! rzekł podochocony przy stole Struś patrząc w okno, to albo nasz Dymitr chodzi, albo duch jego w jego kontuszu.

Podstoli powstał, i zbliżył się do okna, a ujrawszy Dymitra:

Jako! Wasze od naszego stołu uchodzi, nie chcesz jeść chleba i soli, przy dobrej woli? Dalej samsiedzie, chodźmy, sprowadzić winowajcę.

I obadwa ze Strusiem wyszedłszy, wprowadzili pomięszanego młodzieńca.

—Gospodarzu! (zawołał Struś, trzymając

krzepko Dymitra), już mi nie zemknie, trzymam się go jak mój sokół, zająca! Dajcie kielicha! ja z Waszem gospodarzu pozwoleniem, zdrowie jego wypiję, a zbieg nasz, całą kolój odpić musi!

Tak! tak! dobrze radzi! zawołali podchmieleni goście.

Przyniesiono wina, a Dymitr trzymany, musiał całą kolój wypić, patrząc miłosiernie na gospodarza. Zmiarkował Podstoli, że to już miarę przechodzi, uwolnił go zatem i wyprosił z rąk przyjacielskiego Strusia.

Uczta długo w noc potrwała, wysuszyła ona kilka w piwnicy antałów starego wina: kilkadziesiąt funtów szafranu, bakalij i pieprzu, spotrzebowano do licznych i rozmaitych potraw. Muzyka brzmiała do wschodu słońka nazajutrz.

## VIII.

Dymitr raniiej ze Strusiem opuścili dwór Podstolego, a stanawszy doma, wielce się uradował, że Grzegorz przy pomocy gajowego i jego niewiasty, przyrządził wszystko jak pragnął. Od Strusia przybyła beczka Węgrzyna i zwierzyny zasób, od Podstolego kucharz z bakalijami. Zbliżała się godzina obiadowa, niecierpliwie wyglądał gości spodziewanych Dymitr, w reszcie dosiadł bachmata, i ruszył drogą. Za borem spotkał jadącego konno Podstolego, a kolasa jego małżonkę i Maryją.

Powitał młodzieńca serdecznie Podstoli, powitały go radośnie matka i córka. Struś stojąc na ganku, z dala z okrzykiem witał jadących.

—Jako! (zawołał), Podstoli sam, a gdzież nasi towarzysze korda i puhara!



—Co chwila ich wyglądam, jam z niewiastami ruszył najprzód. Zaledwie stanęli w izbie, Dymitr stojący na ganku ujrzał jak sadził co siła na biegunie rotmistrz Dębołęcki.

—No! rzekł wstrzymując spienionego rumaka: dalej wszyscy na koń, hordy tatarskie, nie czekając wici, palą wioski, a postrach rzucili w około. Podstoli, jako dawny wojak, wezwany, by stanął na czele powiatu.

Struś dosłyszawszy co mówił Dębołęcki, wywołał Podstolego do sieni.

—Cicho! panowie bracia! niech moja niewiasta i Marynka nie słyszą, zjedzmy z sobą obiad, i wypijmy za pomyślność wyprawy.

—Zgoda! rzekł Struś, może nie dla jednego z nas, będzie ta uczta ostatnia, w przyjacielskiem gronie.

—O! tak zapewnie, odrzekł rotmistrz! na stepie goniąc Tatarów lotnych, masz za družbów czarny korowód wron i kawek, a z przyjaciół, gdy polegniesz, wierny kruk wydziobie ci oczy i kości rozrzuci.

Podstoli dał znak aby skończyć niemiłą rozmowę, weszli wszyscy z pogodnym czołem, i radośnie spożyli skromny obiad. Strus biorąc puhar przy końcu uczty, chciał wznieść zdrowie, powstał, i nagle postawiwszy puhar na stole nietknięty, usiadł.

Pani Podstolina z podziwem na niego spojrzała. Coż się stało (*rzekła z uśmiechem*), że Waszmość dziś ochoty nie dodajecie?

— Mościwa pani Podstolino, kiedy troska gnieździ się w sercu, usta nie ohołne, a gardło nie skłonne.

Dębołęcki podchmielony, zawołał na to:

— Do stu bisurmańskich turbanów, Waszmość się troszczysz, że tym psom tatarskim zajrzeć mamy w ich małe ślępie?

— Cóż się stało? zapytała Podstolina przerażona.

Nie nadzwyczajnego, moja dzieweczko, chciałem przynajmniej w tém domostwie, utaić przed Waszecią, ale rotmistrz gaduła, wrzekomo byłabyś wiedziała na drodze do domu jadąc.

Czy i pan ojciec i wszyscy? rzekła nie śmiało Maryja, spozierając na Dymitra.

—Tak, moja dziewczko, wszyscy jak tu jesteśmy!

I oczy Maryi łzami zabiegły.

—To czegoż sowieć przy kielichu! zawołał rotmistrz, zły nam przykład daje pan Struś, chociaż stary i wytrawny rycerz.

Na te słowa, zaczerwieniony Struś powstał, dobył szabli z pochwy i rzekł: »Widzisz Waszmość te szczyrby i rysy, każda przypomina wyprawę, i bójkę nie lada: a sporo ich, przelicz! Osiwiałem w przyłbicy, w domu nie zagrzałem, miałem jedno życzenie, Bogu wiadomo, nie dla siebie! Marzyłem w starym wieku!

(Ujął za rękę Dymitra).

Pragnąłem widzieć twoje szczęście: nie raz we śnie Bóg mi zsyłał widzenie, jak zgarbiony laty przy tobie, twój żenie, w gronie dziatwy twojej bawiłem, ony rozwesela-

ły chwile starca, a wyście umilali zachód żywota!...

I spojrzął na Maryję i Dymitra.

Podstoli odwrócił głowę, aby ły ukryć, Podstolina zakryła oczy. Maryja w głos zapłakała, a Dymitr blady, drżał cierpieniem i duszy i serca. Rotmistrz ze wzruszeniem patrzył na Strusia: ten otarłszy oczy połą kontusza, z westchnieniem prawił dalej.

— Teraz moje dzieci, wszystko w odwłokę pójść musi, a może życzenia swoje, gdzie daleko pod mogiłą zagrzebię!

W milczeniu słuchali wszyscy, gdy pierwszy Podstoli wyrzekł, roznosząc puhar: »Za szczęście i pomyślność naszej wyprawy.« Wzniesli Strus, Dymitr i rotmistrz pełne czary, ale żaden do ust nie poniósł, w ustach każdego była cicha modlitwa.

## IX.

Na białym koniu na czele swojej nadwornej chorągwi, zebranej szlachty i dworskich z powiatu, jechał wesoło Podstoli, za nim zasępiony Dymitr i Struś zamyślony. Wszyscy przybrali głowy w przyłbice stalowe, bo idą na łowy ważniejsze, lubo nie w kniei, ale gonić i ścigać po stepach horde Tatarów. Stary Grzegórz i Bartosz uzbrojeni, każdy za swoim jechał panem.

—Przez Boga miłego! (zawołał Podstoli), co Waszeciom, żeście tak posowieli. Młody Dymitr, nie dziwota! może zostawił dziewczkę miłą sercu, a to trekce (\*) kaducznie. Ale Wasze panie Strusiu, coście to nie jedną wyprawę odbyli, coście już byli na koniu, i pod koniem.

---

(\*) Dotyka, boli.

—Tak, miły samsiedzie, anioł stróż dziś we śnie ostrzegł mię, że to ostatnia moja wyprawa, a gdym siadał na swego bachmata i jeno tyło wyjechał za bronę, upadł na równiej drodze; o! to zły znak! koń próżno tak nie pada, trzeba myśleć o ostatniej godzinie.

—Skryte są wyroki boskie (odrzekł Podstoli pochylając głowy), aleć nie upadek konia, zgon człeku przepowiada, w ręku Boga, jest każda chwila żywota naszego.

Struś zamilkł, a dobywszy szkaplerza, odmawiał ranną modlitwę, Dymitr poszedł za jego przykładem. Podstoli wysłał podjazd dla schwytania języka, i kazał w gaju dębowym zatrzymać się nieco. Nie długo wrócił rotmistrz z podjazdu, donosząc: że kosz Tatarów za górką stoi, i że go napadłszy niespodzianie łatwo rozbić, chociaż jak miarkuje, może być liczny na 3000 szabel.

A więc ruszono, pominięto dwie wsie spalone, i już ujrzano tabor tatarski zwierzchu wzgórza, gdy pogaństwo dojrzało ry-

erstwo. Z okrzykiem poskoczyło do koni, i zwyczajem swoim stawilo w pół miesiąca pole. Równie szybko Podstoli, uszykował swoich: prawem skrzydłem w sto koni kozaków nadwornych dowodził Dymitr, lewem ze stu szlachty zbrojnej Struś, Podstoli trzymał środek we 200 Ussaryi: kilkadziesiąt koni, czeladzi i ciurów obozowych, stanowiło odwód. Podstoli rozkazał podnieść swój buńczuk i rozwinać chorągwie, przy uderzeniu w kosły.

Tatarzy z okrzykiem *hałła! hałła!* wypuścili gradem strzały, ale te mało szkodziły, bo jedne nie trafiły do celu, drugie po zbrojach zabrzęczały jeno. Dymitr pierwszy uderzył, za nim Struś, Podstoli kazawszy Ussarzom kopije złożyć w pół ucha końskiego, z okrzykiem *Jeżus-Maryja*, co koń wyskoczy. Została na wzgórzu czeladź i ciury, a na ich czele Grzegorz i Bartosz. Grzegorz dobywszy szkaplerza z relikwią, żegnał nim chorągiew Dymitra, którą tuman pyłu i chmury strzał zupełnie okryły, a głośno odmawia-

jąc modlitwę, osadził wzrok swój na tamtej stronie.

—Górá nasi! górá nasi! wykrzyknął Bartosz, dojrawszy złamany szyk tatarski, i ucieczkę pogan. Na ten okrzyk, czeladź i ciury, dobywszy szabel, rzucili się naprzód.

Grzegorz i Bartosz pędzili przodem, przesadzali trupy liczne Tatarów, walające się po stepie, i patrzali jak rozbitki strzelając w ucieczce, celnie z łuków jeszcze ranili naszych. Odbito więźniów i łupy, ale żaden z nich swego pana nie zobaczył: pędzili więc naprzód i razem stanęli strętwieli! Dymitr leżał obok Strusia przeszyty strzałami. Nadbiegł w tę chwilę Podstoli, zeskoczył z konia, a ujrawszy zabitych swoich przyjaciół, zalał się rzewnemi łzami.

—Nicpróżne było Wasze przeczucie, o moi przyjaciele! Na toż dożyłem, aby was opłakiwać!

Ukląkł, i każdemu na czole złożywszy bratni całunek, ze łzami się modlił, na ich wieczny odpoczynek.



Zwycięstwo drogo opłacono: oprócz dwóch dowódców poległych, zginęło osiemdziesiąt towarzysów Ussaryi szlachty i kozaków, więcej jeszcze rannych. Podstoli rozkazał w jednej mogile pochować zwłoki obu przyjaciół. Grzegorz i Bartosz zdjęli z nich zbroje, a obmywszy rany, z temiż samemi szablami, złożyli ich w dole. Po odmówieniu modlitwy, rzuciło się rycerstwo do sypania mogiły, i w kilka godzin wysypano wzniosłą nad inne.

Podstoli odebrawszy dzięki uwolnionych więźniów, wysławszy przodem rannych, ruszył z powrotem do domu. Miesiąc odbijał blady promień o jego przyłbice, bo ze spuszczoną głową na piersiach boleści ciężkiej, ulżywał łzami, co ciągle rosły pomarszczone oblicze. Miesiąc ten sam, oświecił świeżo usypaną mogiłę, u jej spodu dwa konie spętane pasły się na trawie: na jej wierzchołku biła blaskiem rozrzucona zbroja; tam klęczało dwóch starców, był to Grzegorz i Bartosz.

— Co my biedne sieroty poczniema z sobą? wyrzekł łkając Bartosz.

Grzegorz powstał na nogi. Tam (mówił wskazując ręką na zachód), rycerstwo powraca, zabierzmy zbroję naszych panów, i gdy w świętej ziemi, nie grzebiem ich kości, przynajmniej zbroję w kościele zawieśmy. Nie długo mi żywota, gdym pochował swego wychowanka, swoje drugie serce, swoje drogie sokołę!

I zaniósł się płaczem.

— Dosyć kmotrze płaczu niewieściego, patrzta, ja nie nie płaczę, zawołał blady zsiniałemi usty Bartosz, a policzki mu drżały: dalej w drogę, weźmy z mogiły przynajmniej choć ziemi sobie na pamiątkę.

We dwa dni Bartosz w drodze skonał: sędziwy wiek nie tyle go dobił, ile strata pana, do którego duszą był przywiązany. Grzegorz przy pomocy kilku wieśniaków ze wsi granicznej pogrzebał starca, sam z dwoma końmi, dźwigającemi zbroję Dymitra i Strusia, przybył szczęśliwie do dworu Pod-

stolego. Słońce w onę dobę, było na zachodzie, gdy przebywał bronę, i stanął przed gankiem: siedział w nim stroskany Podstoli z małżonką; blada Maryja stała z zapłakanemi oczyma.

—Panie! rzekł stary sługa, zdjawszy zbroję, i składając je u nóg Podstolego, to pamiątka po moim drogim panu i jego przyjacielu, a to (pokazując krzywą szablę), po wiernym słudze pana Strusia, a po moim kmotrze. Szczęśliwy! nie przeżył pana swego.

Maryja padła na zboczony pancerz, i przyłbicę Dymitra, całując je, przyciskając do serca. Rodzice struchleni spoglądali na niemą rozpacz jedynego dziecięcia.

Grzegorz wtedy dobywszy woreczka, który chował na piersiach, wziął Maryję za rękę, a wstrząsając mocno zawołał: »Panienko, dla ciebie jednej odstępuję pamiątki najdroższej, miałaś być moją panią: mój Dmytrek cię kochał; jest to ziemia, gdzie on i pan Strus spoczywają.«

Maryja dar pochwyciła silnie: Grzegorz mówił dalej.

—Jeżeli zakończę żywot, pamiętaj panienko, choć połową przysypać oczy starego sługi.

—Już się nie rozdzielim z sobą (wyrzekł Podstoli, biorąc w objęcie Grzegorza, i całując go w głowę), razem żyć będziem! Oby Bóg dobry! dał nam dosyć siły, do zniesienia cierpień i boleści naszych.



## PRZYPISY.

(1) **«Codzienne ćwiczenia Chrześcijańskiej dusze pobożnej, a oblubienicę Pana Chrystusowej.»** Stanisława Grochowskiego 1608. Kraków.

(2) **Wiele takich *Nowin*** wydano, w czasie wyprawy Samozwańca Dymitra za Zygmunta III.

(3) **Głód tak okropny był na Litwie w r. 1571, a co tu mówi Grzegorz, znaleźć dosłownie można w wierszach St. Grochowskiego 1609 r. wydanych w Krakowie.**

(4) **Patrzć przypisanie przez Jakuba Sępa rymów Mikołaja, Podczaszemu Leśniowskiemu.**

(5) **Anegdoty o Skotnickim i Pukarzewskim, jak przejażdżce po owies do Suderwi, są prawie dosłownie wypisane z *«Dworzanina»* Ł. Górnickiego r. 1565.**

(6) Pieśń ta była bardzo ulubioną w XVI wieku, mnóstwo pieśni na tęż samą melodyją układano. Kilkanaście znam pieśni, w których dodano takie objaśnienie: «Nuta jak pieśni» *«Wesołe chwile ku nam się nawróćcie.»*

(7) «Niepróżnujące próżnowanie Wespazyjana z Kochowa Kochowskiego.» Przytoczony jest tylko złamek pieśni łowieckiej.

(8) To wyobrażenie u ludu dotąd trwa jeszcze, nikt nie śmie ognia piorunowego gasić.

(9) Patrz: Przysłowia K. Wład. Wójcickiego 1830 r. T. II.

(10) «*Miesiąc w lisiąg czapce*» gdy we mgle. *Jasiem* zaś dotąd lud nasz wiater nazywa. Młynarze nie inaczej mówią, tylko że «*Jaś obraca wiatrak.*»

(11) Bat'ko, ruska ludu nazwa niedźwiedzia.

(12) «Czuć zajaca w sobie» to jest być bojaźliwym, trwożliwym, tchórczem podszyty.

(13) Wedle podania ludu, miała się zjść ta wróżba. Mamka z ostatniem dziecięciem tego rodu stała nad studnią, gdy jeden z dworzan nastraszył ją nagle: wypuściła dziecię w studnię, z której dobyto je, ale nieżywe.

(14) «Gospodarstwo jezdeckie, strzelcze, i myśliwce 1600 in 4to.

(15) Raróg, gatunek sokolów rzadkich do łowów na zające: o nich to przysłowie: «Rzadki jak raróg.»

(16) Patrz: Gospodarstwo jezdeckie 1600.

Przypowieści S. Rysińskiego 1629.

Jana Zabczyca Polityca Dworskie 1630.

Tegoż, Forma abo wizerunek 1633.

(17) Nieszaflowanie krwią: system Marcina Urzędowa.

(18) Herbarz (*zielnik*) Marcina Urzędowa str. 13, 32, 56, 269, 349.

(19) *Maiż*, ptak zaczynający się wprawiać do łowów. Stąd przysłowie u Rysińskiego: «Maiż towarzysz, ćwik pan.»

(20) Daniel Bratkowski: «Świat po części przejrany.»

(21) Sposób łowów opisany wiernie wedle dzieła: «Myślistwo ptasze» z czasów Zygmunta Augusta.

(22) Dawano u nas ziele zwane «Matki Boskiej włoskiej» ziele to wedle Syreniusza, czyni koguty śmiałymi do boju.

(23) Daniel Bratkowski: *Świat po części przejrany* »

(24) Takie podanie jest ustne, o początku tego przysłowia.

(25) W świetnym dworze obu Zygmunatów, niepoślednie należy miejsce Piotrowi Smolik dworzaninowi, którego policzano w on czas za wielkiego dworzanina. «Był on (pisze Starowolski w poczcie sławnych mowców), jeden z osobliwszych dowcipów, którego umysł wesóły, obfity w żarty i powieści, umiał bawić, i podobać się wszystkim stanom ludzi, bez nieczyjój przykrości i szkody, umiał zjednać sobie łaskę możnych panów, którzy w rozmowach z nim przyjemnej szukali zabawy.»

Książę Jabłonowski w rękopiśmie swoim z roku 1715 mówi, że «był to na dworze Zygmunta Augusta wielki frant, i dworzanin, który ustawnie albo z dworskich drwił, albo ich odrwiwały.

Pamięć jego wraz z żartami, mianemi wtedy za wyskok dowcipu, przeszła (choć w małej części), do naszych czasów. Żarty te są wiernym obrazem, dawniej rubaszności przodków, dziś może za gorszące uszy wstydlive będą okrzyczane: przecież, więcej wtedy było wstydu. Kto jeszcze zapamięta, owe dykteryjki z ust starych *Polonusów*, ten przyzna; że żarty Smolika, były w tym samym duchu. Niezepsute elegancyją francuzką uszy, uważać je będą jako zabytek, który najlepiej wyświeci, jak rozumiano żartobliwość przed



dwóma set laty z górą: pojną, co Smolikowi zjednało bardzo głośne imię: «Wielkiego Dworzana» i na czém zasadzano dworstwo, czyli dworzaństwo onego wieku.»

Przytoczę tu jeden czyn Smolika, który dał powód przysłowiu bardzo pospolitemu w XVI wieku.

Dworzanie chąc odwetować sobie na Smoliku, że często z nich drwił, i odrwiwał, zmówili się w kilka, aby go choć raz podeszli i zaprosili na wino. Stawił się Smolik, zaprowadzony do piwnicy na obranie wina, coby go pić mieli. Gdy wszedł, rzekli mu wtedy: «Już tego siła było, coś nas oszukiwał, nie puścimy cię teraz, aż nam beczkę wina zapłacisz, którą tu z tobą wypijemy, nie wychodząc z piwnicy.» I zaraz siana kazali przynieść, aby na czém spać, i odpoczywać wszystkim było. Nie zmięszal się bynajmniej Smolik, ale przyjął wyzwania, a pijąc z niemi, zapłacić za nich obiecał. Piją tedy dni kilka, a kiedy już beczka na sebylku była, tedy Smolik, który ustawicznie figle i grymy wymyślał, podał, że sznur uprząglszy z siana, wyciągnie ich wszystkich do góry. Na co gdy oni pozwolili, kręci tedy siano, i kręcąc, wychodzi z piwnicy. Będąc już na górze, trzymających za koniec sznura w piwnicy, kilka razy potargnął, a wołał: «trzymajcie mocno.» Po-

czém zawoławszy parobka, kazał mu także kiedy niekiedy poszarpywać sznurem, a sam z domu winiarza uciekł. Stąd poszło przysłowie: «Wykręcił się sianem» które w użycie narodu weszło. «I tak prawdziwie (mówi książę Jabłonowski), *wykręcił się sianem*, bo wina nie zapłacił, tylko ci, co go oszukać rozumieli. To przysłowie zażywane, jest kiedy kto drugiego oszuka, albo z jakiej ciężkiej sprawy łatwo wynidzie.» (*Rękopism*). W takim znaczeniu używa tego przysłowia S. Szymonowicz w Sielance Żeńcy.

*«Pietrucho! prawieś mi się sianem wykręciła,  
Ta nahajka mocno się na twój grzbiet groziła.»*

Żyjąc długo, bo do połowy niemal Zygmunta III, mnóstwo podobnych platał figlów, i siwizna nie pozabawiła go dowcipu, wysoko cenionego od współczesnych. Starowolski z powodu jego żartów czyni uwagę, że język polski tak jest sposobny do nich, tak się da nagiąć, zwrócić, zaostrzyć, tak obfity w dwuznaczne wyrazy, iż ledwie która mowa obca iść z nim w porównanie może.

Tego przecież rodzaju zabytków po Smoliku, nie zdarzyło mi się odkryć: późniejsze może badania, sprawdzą Starowolskiego zdanie.

Żarty Smolika, wyjęte są z dwóch broszur drukowanych gockim drukiem.

1. Dwór, abo co nowego, Maurucyjusza Trztyptycznego z XVI wieku.
2. Facecye z r. 1650 in 4to.
3. Rękopism księcia Jabłonowskiego 1715 roku in 4to.



## II.

# WARSZAWA

OBRAZ OD R. 1339, DO R. 1656.

(z dwiema rycinami).

«A teraz; patrz! od stóp Wisły, ucieka miasto, a jako Mazurka co pieluchy w niej płuca, śpiesząc ku domowi, poostawia bieliznę, i tu i owdzie rozruci; tak miasto śpiesząc ku górze, poostawiało to nad brzegiem, to i wyżej małe białawe domki, i drogę sobie koło nich wydeptało, ażę ku Krakowskiej bramie . . . .

Za Krakowską dopiero bramą, zwita cię Stara - Warszawa: wązka, ciemna, pokurczona, ku rynkowi brzuchata; wygląda tak a góry, jako Turczyn zasiadający na Bejram, kiedy obie nogawice, zarzuci pod siebie węzłowatym kręgiem.»

*Dominik Magnuszewski (Zemsta panny Urzuli).*



## I.

**W** roku 1251 Warszawa, właściwie pierwiastkowo zwana *Warszewa*, jak przez kmieci Mazowieckich *Warsewa*, *Warsega*, była wioską (1).

Pierwszą wzmiankę jako grodu już zamożnego, mamy w roku 1339. Gdy spór między Krzyżakami, a Kazimierzem Wielkim miał być rozstrzygany, przez komissarzy od Papięza wyznaczonych, miejsce najdogodniejsze sądowi temu, obrano w Warszawie, dla tego, jak wyrażają słowa wyroku tychże komissarzy:

— «Iż książę Mazowieckie z licznym dworzem orszakiem najczęściej tam mieszka, że

się sądy świeckie i duchowne tam odbywają: że mieszkańcy Warszawy są bezpieczni od napaści, w mieście murami opasaném, i sprawiedliwością ksiąęcia (*Ziemowita*) warowném: że ma wiele domów do umieszczenia wygodnego przybywających, że ma rynek dla targów, i że na dostatku wszystkiego nie schodzi» (2).

To okazuje, jaki był stan w ten czas Warszawy. Kościół katedralny świętego Jana, już był wtedy, jak się pokazuje z daty ostatniego dekretu delegowanych: «Acta fuerunt haec in Varsovia, Posnaniensis diocesis, intra ecclesiam parochialem S. Joannis Baptistae, dicti loci.» Że zaś nie tylko ten jeden kościół był w on czas w Warszawie, dowodzi tego w pierwszym pozwie krzyżackim imię «Jana z Kalisza Plebana Śgo Jerzego: (Johannes de Kalisz Plebanus S. Georgii de Varschovia)» (2).

Wiele do okazałości miasta, przyczynił się zamek dawnych owych wieków zwyczajem zbudowany: widać to z powyższego opisu, gdy



sędziowie mówią o ciągłym przebywaniu księcia w Warszawie wraz z licznym dworem: widać prócz tego jawnie z dyplomatu księcia Kazimierza roku 1350 dnia 4go Czerwca, w którym gdy od wszystkich ciężarów uwalnia wsie *Zdbikowo, Domanowo, Biskupice*, w on czas do Biskupa Poznańskiego należące, tudzież wieś *Rokitno*; zastrzega jednak wszelkie daniny, na naprawę zamku Warszawskiego.

Gdy tak Warszawa coraz do świetniejszego przechodziła stanu; inne miasta upadać zaczęły, już przez pożary, już przez napady szczególnież Litwinów. Największą zaś ich upadku przyczyną była sama Warszawa, gdy do niej tak krajowcy, jak cudzoziemcy, już dla dobrego jej położenia, już dla licznych przywilejów, już dla dworu i handlu, zewsząd się zbiegali. Tak i miasto Czersk, starożytna stolica Mazowsza, do biédnego przechodziła stanu, gdy Janusz nową przydał świetność Warszawie, przenosząc i Kanoników i Katedrę z Czerska do tego miasta. On ustalił

stolicę księstwa Mazowieckiego w Warszawie między r. 1400 — 1416, w dwieście lat później Zygmunt III przeniósł stolicę z Krakowa. Janusz zawarł nadto układ z mieszczanami, których (nadawszy do pewnego czasu kilką wsiami) zobowiązał, ażeby miasto murem wzmocnili, zapewnie obwarowali (jak uważa Kownacki) (3), bo za Ziemowita II już r. 1339 obmurowana była.

Pomimo tak prędkiego wzrostu, *Stare-miasto* dziś zwane, w niém wysokie budowle w guście gotyckim, rynek kwadratowy i na środku Ratusz jak zwyczaj w Polsce, kilka ulic krętych i zacieśnionych, zamek drewniany, Kościoły Śgo Jana, Augustyjanów, to wszystko otoczone murem, wzniosłemi baszty z podziemnymi wychodami (4) i pięcią warownemi bramami, za temi Kościoły Śgo Jerzego, Panny Maryi, Bernardynów, dopiero co wznoszące się *Nowe-miasto* z kilkudziesiąt budynków, do koła rozrzucone folwarki, i chaty wieśniacze; stanowiły całą Książąt Mazowieckich Warszawę.

---

## II.

Gdy wygasł szczep książąt Mazowieckich roku 1526 na Janie i Stanisławie, którzy w kwiecie wieku zgasli, Mazowsze zostało przyłączone do korony. Bona królowa, żona Zygmunta I, mieszkała z upodobaniem w Warszawie, mając sobie wypuszczone to księstwo, równie jak i Anna Jagielonka jej córka, a później żona Stefana Batorego. Zygmunt August na Sejmie Unijowym w Lublinie r. 1569, Warszawę przeznaczył na miejsce zjazdów Litwy i Polski i sam z upodobaniem przemieszkował. Zatrzymamy uwagę nad stanem miasta za panowania tegoż króla.

### *Warszawa za Zygmunta Augusta.*

Właściwa Warszawa czyli Stare-miasto, otoczone murami w okół, z pięcią warownemi

bramami, z dwoma kościołami świętego Jana (*Fary*) i Augustyjanów, liczyło domów wszystkich w ogóle 169: po za murami 248 i dwa dwory Mikołaja Radziejowskiego Kasztelana Gostyńskiego, i Stanisława Oborskiego Starosty Piaseckiego. — Nowe-miasto powstające za ostatnich książąt Mazowieckich, miało domów 204. Blizko zamku wznosił się kościół Bernardynów za murami miasta, z drugiej strony mały kościół Śgo Jerzego, i z wysmukłą wieżą gotycki kościół Panny Maryi (5).

W *Starém-mieście* bywało trzy jarmarki: po *Wielkonocy*, na *święty Jan*, i na *świętą Jadwigę*: w *Nowém-mieście* trzy także: na *świętą Agnieszkę*, w *Wniebowstąpienie Pańskie*, i na *świętą Łucyją*. Dzień targowy i sądowy w *Starém-mieście* był *Czwartek*: w *Nowém-mieście* *Poniedziałek*. Na jarmarki wspomniane sprowadzano wiele koni i bydła: przy tem zjeżdżało mnóstwo kupców, którzy rozstawiali swoje kramy i szatry (*namioty*). Rzemieślników, szynkarzy i przekupni osiadłych

liczyło miasto 60: rybaków miejskich osiemdziesiąt. Praga była lichą osadą, głośną jedno z ogromnego składu soli, co zachowało w pamięci XVI wieku przysłowie, na przesolone potrawy «*osoliłby Pragę*» (6).

Kiedyś spojrzął z osolonej Pragi na stolicę Mazowsza, najprzód uderzał w oczy gród warowny na górze, Stare-miasto otoczone w około murami. Z nich wyglądały wieże kościoła Katedralnego, Augustyjanów, mała wieżyczka zamku na poły drewnianego: wieża ratuszowa, i kończyste wieżyczki baszt, i bram miasta. Za murami w pobliżu zamku jaśniały mury Bernardyńskiego kościoła, z przeciwniej strony mała wieża Śgo Jerzego, najdalej wyniosła, prostokątna, kościoła Panny Maryi. Prócz tego za murami, widziałeś rozrzucone domostwa, folwarki z ogrodami, i wiele sadów kasztanowych, które Marcin Urzędów sławny Medyk wychwala (7). Gruszki i jabłka, zachwalali Włosi, zakosztowawszy ich w ogrodach Warszawskich.

Zygmunt August ozdobił Warszawę i wiel-

ką pomoc do jej wzrostu przydał, sławnym mostem, od którego ulica wprost idąca, nazwana została *Mostową*. Na ten podziw swego wieku, Jan Kochanowski zostawił dwa piękne napisy:

1.

*Nieubłagana Wisło! próżno wstrząsasz rogi,  
Próżno brzegom gwałt czynisz, i hamujesz drogi:  
Nalazł fortel król August, jak cię umiał pożyć,  
A ty musisz tę swoją myśl dobrą położyć.  
Bo krom wiosel, krom promów, już dziś suchą nogą,  
Twój grzbiet nieujeżdżony, wszyscy deptać mogą.*

2.

*To jest ów brzeg szczęśliwy, gdzie na czasy wieczne,  
Litwa i Polska mają sejmy mieć społeczne.  
A ten, który to wielkiem swém staraniem sprawił,  
Aby już więc żadnego wstrętu nie zostawił,  
Wisłę, która nie zawdy przewoźnika słucha  
Mostem spętał: bród wielki, ale droga sucha (8).*

Zygmunt August nie skończył budowy mostu, wykończyła go Anna Jagielonka siostra r. 1573, i wieżą w czworogran w kształt warowni zabezpieczyła (9). Most ten 1600 zwy-

czajnych kroków mający, stanął pod sprawą *Zygmunta Wolskiego*, Kasztelana Czerskiego i Starosty Warszawskiego. Piętnaście baszt broniło go przeciw lodom i burzom, każda z tych baszt kosztowała 3000 złp. ówczesnych. Cała budowa z dębów niezmiernych i sosen sprowadzonych aż z Litwy, żelaznemi sztabami powiązana była. Most ten przez lat kilka stawiany, przetrwał przeszło lat 30, to jest do roku 1603, w którym lodami w części zniesiony, dla niedbalstwa nie-  
naprawiony, niszczał (10). Zeiler w opisie Polski, policzył go między dzieła zadziwiająca w Europie.

---

### III.

#### *Warszawa za Zygmunta 3go.*

Do czasów Zygmunta Igo, stałą stolicą był Kraków: król ten przyłączywszy Mazowsze

do korony, bywał wprawdzie w Warszawie, gdzie królowa Bona chętnie przebywała, ale jednak w koronie bawiać, najwięcej w Krakowie mieszkał. Henryk Walezy, tak krótko siedząc na tronie, ani postał w Warszawie, a Stefan Batory, jeśli nie w Krakowie i w obozach, to w ulubioném Grodnie więcej przebywał. Zygmunt 3ci dopiero, gdy mu Warszawa, jako bliższa Szwecyi, dogodniejszą się zdawała, przez wprowadzenie *rezydencji* królewskiej do tego miasta między r. 1610 a 1616, jak Warszawie przygotował wzrost i świetność, tak dla Krakowa długie pasmo dni smutnych, a w końcu niszczący upadek (11).

Zaraz po przeniesieniu stolicy do Warszawy, »Kościół Śgo Jana, wielkim ołtarzem, i pobocznemi, *Cimborium*, i malowaniami rzeźbą ozdobił: skrzydła zamku królewskiego, oczyściwszy z drewnianych ostatków, z fundamentów wyniósł, bok z strony kościoła przekształcił, i trzecie piętro dodał. Przyczynił gmach do przystojnego pomieszczenia



Senatu i izby poselskiej, piękną wyniósł nad nim wieżą. « (12).

Wznosi kościół *Dominikanów Obserwantów* (13), na Krakowskim-Przedmieściu: Piotr Skarga funduje szpital Śgo Łazarza, na zbieranie i opatrywanie leżących po ulicach ubogich i kalików, z zebranych jałmużn wznosił się kościół *Dominikanów na Nowém-mieście*.

Jaką była Warszawa w roku 1596, Paulo Mucante w opisie poselstwa Kardynała Gactano nam podaje.

»Stoi Warszawa w piękném położeniu, na ciągnącym się wzgórku: rzeka Wisła płynie u spodu, myjąc mury miasta, mętną gliniastą wodą oblane: za Wisłą wesołe odkrywają się pola i smugi. Miasto Warszawa jest szczupłe, i w koło otoczone murami; z tej przyczyny małośmy w niém wygody znaleźli, tak dalece; że my dworscy, i słudzy kardynalscy, po trzech, czterech i pięciu, w jednej izbie musieliśmy się mieścić, wszyscy po domach mieszczan; gospód bowiem gościennych, napróżno byś szukał, a raczej wszy-

stkie domy są gospodami: mieszczanie bowiem za rozkazem królewskim, dawać muszą przedniejszym Senatorom tyle izb, ile potrzeba, nie raz i domy całe, nie zostawując sobie, jak jedną lub dwie stancyjki.

Pałac królewski, wznosi się od bramy Krakowskiej, z drugiej strony góruje Wisłę, widok z niego jest piękny, wewnątrz wspaniały i wygodny.

Jest w mieście pięć bram, nie zbyt odległych od siebie, w nie wielkiej od miasta odległości, widać mnóstwo pięknych ogrodów, z wybornymi owocami, jako to: jabłek, gruszek, śliwek, i nie wielu innych.

W mieście jest kościół parafijalny, zwany Śta Maryja, drugi Śgo Jerzego, przy którym są kanonicy regularni, Śgo Augustyna, nadto kościół Śgo Ducha, za bramą zaś piękny konwent Ojców Bernardynów. Na końcu miasta, spuszczać się ku Wiśle, odkrywa się piękny długi most, z potężnych balów.

Za starą Warszawą, stoją w około obszer

ne przedmieścia dość piękne, lecz niezmiernie błotniste: między temi *Nowe-miasto*, większe jak obwód staréj Warszawy: lecz w téj ostatniej wszystkie domy są murowane, otaczają ją dwa mury na około, mniejszy i większy, z niewielkimi basztami. *Nowe-miasto*, jest prawie całe drewniane. Przedniejsze kościoły w *Starém-mieście*, kościół Śgo Jana, drugi pod imieniem Śgo Marcina, z konwentem księży Augustyjanów. Jest tam i plac dość wielki, lecz pominąwszy kuchnie na dworze, zavalony sklepami rzemieślników. W około placu (ryнку) tego, są piękne domy, jednakowéj prawie wysokości, wszystkie z cegły. Temiż ceglami podobnie jak w Krakowie, brukowane ulice, między nimi cokolwiek kamieni czerwonego granitu, wszystko to źle z sobą spojone, jakoż niegodziwie chodzić po nich, a błoto większe tu jeszcze niżli w Krakowie (14).

*Ujazdów*, pałac zbudowany z drzewa, ale bardzo porządnie: pokoje w piękne ustrojone obicia, z potężnymi przednimi kobier-

cami. Pokoje Kardynała obite były karmazynowym aksamitem, ze złotemi frendzlami: w sypialnym pokoju, łóżko zwyczajem włoskim z firankami z złotogłowi: wszystkie ściany podobnémże złotogłowiem obite były. «

Dopełniając szczupłego obrazu Warszawy za panowania Zygmunta 3go, zwrócić muszę oczy na szczytne mury katedry. Świątynia ta, niemy, odwieczny świadek dziejów miasta, uchrona pomników grobowych, zasługuje na szczególny opis, jaką była w téj dobie i jakie zawierała pomniki.

### *K a t e d r a.*

Kiedy wsią była Warszawa, stał kościół Śgo Jana r. 1250 drewniany: w processie Kazimierza Wgo z Krzyżakami wspomniony (r. 1339) dopiero, przez Janusza księcia Mazowieckiego, co się wiele przyłożył do ozdoby Warszawy r. 1390 wymurowany, i do niego *kollegium* kanoników z Czerska r. 1402 przeniesione zostało. Zygmunt 3ci przy-

łożył się najwięcej do ozdoby tej świątyni, i prócz ozdób (o jakich wyżej wspomniałem), we wnętrzu kościoła, oddając się tyle złotnictwu, ofiarował do skarbcu tutejszego patynę z czystego złota, monstrancyją i krucyfiksy, własnej roboty.

Pochowani tu zostali, i mieli swoje nagrobki książęta Mazowieccy: Janusz I, któremu wiele winna Warszawa, i Bolesław 3ci, zmarły r. 1453.

Po lewój stronie, przy wielkim ołtarzu, zachowany dotąd nagrobek starożytnej rzeźby, zawiera w sobie zwłoki *Stanisława* i *Janusza 2go*, (synów *Konrada*, i *Anny* z *Radziwiłłów*), ostatnich książąt Mazowieckich. Zakończyli oni długi poczet książąt, co więcej niż cztery wieki panowali w Mazowszu. *Stanisław* lubo krótko panował, jednakże historia zostawiła nam pamięć jego mężstwa, którego dał świetne dowody, gdy wojsko zbuntowanego *Alberta* mistrza krzyżackiego, stanąwszy przy stronie *Zygmunta 1go*, nad *Pissyją* rozproszył. »Skromny i obyczajny

pan (pisze Święcicki *Topographia Masoviae*), nie mniej rycerski i waleczny: umarł bezpocześnie na końcu roku 1524, zostawił pamiątkę w miasteczku za Wisłą (Stanisławów) założoném i od swego imienia nazwaném. «

Brata, i następcy jego, Janusza 2go, również krótkie panowanie było, bo tylko 18 miesięcy trwało. Janusz podobny i równy we wszystkiém Stanisławowi, w sile ciała daleko go przewyższał. Nikt zręczniej nie wyrzucał ogromnego koła lub kamienia, nikt łatwiej grubego sznura nie zrywał, lub podkowy nie łamał, nikt łuku silniej nie naciągał. Powiadano o nim, że miał podwójną kość pancerzową: wszakże i bez, tego miał piersi szerokie, barczysty w sobie; twarz miał przyjemną, którą nos zakrzywiony i spłaszczony, szpecił nieco. Obadwaj domowém obejściem, wytworném ochędóstwem i rycerskimi zbrojami i sprzętem, królów możnych przesadzali: młodzieńczą płochością, miłostkami, niewczesnymi biesiadami i zbytkami słynąc, przyspieszyli sobie zgon zawczesny. Umarł Janusz w 18 miesięcy po Stanisławie z suchot r. 1526 (15).

Dwie przyczyny ich zgonu naznaczano: mniemali jedni, że zbyteczne używanie wina na biesiadach im zaszkodziło; inni znowu nie wierzyli, aby młodzieńcy tak silni i zdrowi, tak łatwo chorobą powaleni być mogli, gdyby im zgonu nie przyspieszono. Obwiniano powszechnie oto *Katarzynę* córkę Wojewody Rawskiego (16), jakoby im zadała zalotniczą zaprawę, dla rozniecienia miłości, i trzymania ich w więzach swoich. Użycie tego napoju, powolną najprzód słabość, a potem śmierć obudwom przyniosło. Mściła się szlachta Mazowiecka zgonu swoich książąt. Jordanowski szlachcic, jakoby należący do tej zbrodni, pod toporem życie zakończył; służącą Katarzyny, okrutną śmiercią zamęczono. Wiele ofiar padło, i wtedy sprawdziło się w zupełności owe przysłowie, że *»żal uwagi nie ma.«* Rozjuszono lud i szlachta, mściłoby się i na samej Katarzynie, gdyby ich nie wstrzymywała bojaźń króla Zygmunta, pod którego opieką jej ojciec, i cała ziemia Rawska z dawna zostawały.

naród z większą rozpaczą straty panów swoich nie żałował, bo ją powiększało sieroctwo po stracie rodziny, co więcej niż cztery wieki panując w Mazowszu, nagle wygasła.

Byli tacy, co mniemali, że Katarzyna dla dalszych widoków, lekką trucizną książąt zgładziła, w celu przysługi Zygmunтови I. Ale znając cnoty tego króla, śmiało to fałszem możemy micnić. Inni przypisywali to tajemnym intrygom królowej Bony, co podobniejsze do prawdy, bo i Krzysztof Warszawicki (17), kanonik Krakowski w r. 1603 wyraźnie pisze: »iż za sprawą Bony, książęta Mazowieccy z rodu Piastów, trucizną sprzątnieni zostali, by jej synowi Zygmunтови Augustowi, do korony przeszkodą nie byli.«

Pomimo to wszystko, zdaje się, że nieumiarowanie w rozkoszach i biesiadach, zgon im przyspieszyło. Współczesny, naoczny świadek, który znał obu książąt, i ich biesiady Bernard Wapowski, w tych słowach pisze:

«Rozmaite przyczyny śmierci tych książąt



powiedali być, jedni przez truciznę, drudzy przez opilstwo, a to podobniejsze k'temu, bom to swém okiem widział, będąc tam z Jeronimem *Okoniem* jednego czasu: gdy *Ojrzanowski* biskup *Miedzeleski*, *Koziński* Wojewodzie ochotni, za zdrowie książęce, trunek zmięszawszy z muszkatełą, kazali sobie lejem w gębę lać po wielkiej szklenice aż do dna, w Warszawie przed jego oczyma. Książę Janusz aby im też tak wiele przyjaźni ukazał po sobie, takż sobie kazał uczynić. Nie doszło dwóch Niedziel, aż wszyscy pomarli okrom Wojewodzica. Przetom to tu napisał, aby się przełożeni, którym to nie przystoi, chronili.»

«Po śmierci Janusza, szlachta Mazowiecka, winowała pannę Radziejewską, jakoby ona miała być przyczyną jego śmierci, aby była nie w królestwie osiadła, pomściliby byli jój z tém, czego nie winna była, bo mu w tém żaden winien nie był, jeno sam sobie, pijąc bez miary. Upiekli potem pickarkę z *Krakowa*, i *Kliczewską* ziemiankę. Niebożęta, mę-

kę okrutną na nią wymyśloną. Przed Warszawą na com patrzył, gdy wkopali w ziemię słup, do którego obiedwie na łańcuszkach długo uwiązali, każdą na swoim łańcuszku nago, opak ręce związawszy, a około nich nakładłszy drew, w koło zapalili. Piekły się około onego ognia, jako pieczenie, na cztery godziny, niżli pomarły, biegając około słupa, narzekając, kęsając zębami jedna drugą. Niesłychana męka! potem też i Jordanowskiego święto, Jakuba piwniczego na kościele u Bernardynów dobywano, i wiele innych ludzi potracono, a snadź niewinnie dla tych książąt.»

T. Czacki (w rozprawie o prawach Mazowieckich) przytacza rękopism owoczesny, który okazuje dowodnie, że rozpustném wychowaniem matka ich, wczesnie zaród śmierci zaszczepiła, co niepoohamowana miara trunków przyspieszyła. Zygmunt I dnia 25 Sierpnia 1526 r. odprawił wjazd do Warszawy, i książęciu Januszowi sprawiwszy wspaniały

pogrzyb, Mazowsze wprzód lenne księstwo, wiecznemi czasy do korony przyłączył.

Na przeciw tego grobowca, była loża, z oknami połączona galeryją z zamkiem, w której królowie zwykli nabożeństwa słuchać.

W pobliżu wielkiego ołtarza, grobowce starzej rzeźby Wolskich braci, Mikołaja Biskupa Kujawskiego, i Stanisława Kasztelana Sandomińskiego, zgasłych w r. 1568. Złożono ich w jednym grobie, na którym znajdują się kute z marmuru ich figury, postaci naturalnej, spoczywający obok siebie, w stosownych ubiorach do stanu każdego. Grobowiec Bartołomieja Zaliwskiego Kasztelana Warszawskiego, który zmarł r. 1593. Łukasza Zagórskiego marszałka Anny Jagiellonki infantki, później żony Stefana Batorego zesłego w r. 1571.

Nagrobek Asperylego Pacellego, mistrza kapeli nadwornej Zygmunta III znakomitego w owym wieku artysty. Przytoczę tu napis na tym grobowcu w przekładzie polskim, który w ówczesnym kwitnącym u nas stanie

muzyki, o znakomitych w niej Pacellego zasługach i o przychylności dla téj sztuki Zygmunta III daje świadectwo.

*D. O. M.*

«Na chwałę Przedwiecznemu, na uczczenie pamięci wielce zasłużonego męża Asperylego Pacelli Włocha, urodzonego w miasteczku Wascia, w dyjecezyi Narneńskiej, który poświęcając się z powołania muzyce, nauką, bystrością dowcipu, i miłą płodów swoich różnaitością, spółczesnych przewyższył, starożytnym wyrównał, i tyle w świecie Chrześcijańskim słynącej kapeli dworu najpotężniejszego Pana Zygmunta III Króla Polskiego i Szwedzkiego, przeszło lat 30 z niezmordowaną przewodniczył gorliwością; czuły na tak wielkie zasługi miłościwy Pan, pamięć wiernego sługi, tym pomnikiem uczcić rozkazał. Zgasł dnia 4 maja 1623 w 53 roku życia swego.»

Z dzieł jego pozostało «*Alleluja*» na święta Wielkanocne, do której melodyi Konstan-

cyja królowa Polska żona Zygmunta III, śpiewy na 4 głosy ułożyła (18).

Wchodząc wielkimi drzwiami, po lewej stronie w ścianie kościoła nagrobek (*dotąd zachowany*) w płaskorzeźbie Zygmunta Kazanowskiego Starosty Kokenhauskiego. Wystawia klęczącego Kazanowskiego przed obrazem Matki Boskiej, czapka z piórem i buzdycgan przy nogach leżą: sam ma na sobie deliją. Zasłużył on sobie na tak wielką sławę rycerskimi dziełami, iż go mieszczą w licznym szeregu bohaterów, co otaczali tron niedołęźnego Zygmunta III. Król ten wybrał go, do ćwiczenia w sztuce wojennej syna Władysława i nie zawiódł się na tém, bo Kazanowski był do królewicza z takim przywiązaniem, iż nigdy od boku jego nie odstąpił. W zgrzybiałej nawet starości, gdy Władysław zasiadł na tronie, towarzyszył mu w wyprawach wojennych, i jako zwycięzcę do Warszawy odprowadził, gdzie wkrótce roku 1634 zakończył życie.

Tu znalazł nagrobek Bartłomiej Nowo-

dworski kawaler Maltański herbu Nałęcz, sławny bohater, i świetna gwiazda rycerstwa naszego XVI wieku. W młodości na Podolu, w ziemi Siedmiogrodzkiej walcząc z Tatarami, w wyprawach Stefana Batorego odznaczył się mężstwem i nieustraszoną odwagą. Walczył później przez lat 17 w wojsku francuzkiem i przy dobywaniu zamku *Pontezin* w oczach króla Henryka III, kiedy walecznie nacierał, kulą został raniony: również i pod Henrykiem IV odwagą swoją, zjednał sobie szacunek Monarszy. Zostawszy Kawalerem Maltańskim, przez lat ośm wspierał zakon dzielnym ramieniem, i rozszerzył jego sławę w zwyciężkich wyprawach przeciw niewiernym. Wróciwszy do kraju, w wyprawach północnych Zygmunta III świetnie się odznaczył. Osiwiały pod chełmem, starzec po dwakroć ranny, stanął w wyprawie Chocimskiej (roku 1621), która już ostatnią tego męża była. W nagrodę wielkich zasług, ozdobił go w Wilnie król Zygmunt złotym łańcuchem, udarował kosztowną i starożytną szablą rycerską, na-

dał mu dobra, i Komandatorem Poznańskim mianował. Umarł Nowodworski w Warszawie 1625 roku. Na pogrzebie jego miał mowę Jakub Sobieski ojciec Króla Jana III «Widziała (mówi w jedném miejscu tej mowy Sobieski), przeważne jego dzieła Francycja i Sabandyja: widziały wyspy Śródziemnego morza, a nie tylko Europie na niego się patrzeć dostało; patrzyła Afryka, i gdzie nigdy, albo bardzo rzadko polska noga powstała, tam szlachcica jednego mężna ręka, wielkie imie ojczyźnie swojej zjednała. Jeżeli zaś panującym podobać się, niepoślednią jest chwałą, wielkich on miał, i naocznych świadków męztwa swego III i IV Henryków, dwóch królów francuzkich; toż zawsze mu przyznawał wielki mistrz Maltański, i miał go za jedną na północy ozdobę, między tyłą przedniemi rycerzami.»

Uczcił pamięć bohatera mową pogrzebową, sławny kaznodzieja Fabijan Birkowski. Nowodworski znaczny fundusz dla Akademii Krakowskiej zapisał, a imie jego nie zagasło dotąd w tym przybytku nauk.

Kończę opis stanu Warszawy za Zygmunta III, *fundacyją* klasztoru Panien Karmelitanek na Krakowskim Przedmieściu, a w on czas już daleko za miastem. Urszula *Meyer* była klasztoru założycielką. Urodzona z zanego domu w Bawaryi, najprzód dworzanka Konstancyi królowej, żony Zygmunta III, z czasem najpoufalsza jej troski i pociech współniczka (19). Miał dla niej wielki szacunek i przyjaźń sam Zygmunt III, jej wychowanie początkowe dzieci swoich powierzył, od niej się mowy niemieckiej uczyły. Przychylność jaką mieli dla niej oboje królestwo, miejsce jakie zajmowała u dworu, wpływ do spraw domowych, a nawet i publicznych, tudzież wolny zawsze przystęp, dawał jej wielkie znaczenie. Roztropna, przebiegła, i wymowna Niemka, wzięła górę nad umysłem obojga królestwa. Sarkali przeciw niej niechętni dworowi, iż łask jego, często niebaczną była szafarką.

Iwan Micleszka Kasztelan Smoleński, na sejmie w Warszawie r. 1589, przymówił o niej królowi w tych słowach:



— «O czem dalej radzić, prawdziwie nie wiem, lecz to Waszmoście raczcie przypomnieć, żeby zawsze kilku panów senatorów Litewskich, przy królu Jegomości bywało. Byłbym ja, ale królewszczyzny nie mam, ani panny *Urszuli* u królowej Jéjności, w rączkę nie pocałuję, jak inni młodszy Senatorczykowie. Nie dziwujcie się Mości panowie i bracia: wiek wiekiem to okazuje, siwizna w brodzie, choć czart za pasem kusi na piękne spojrzenie» (20).

Żyła do śmierci w panieństwie, lubo z najcelniejszych domów osoby, o jej się przyjaźń starały. Zachodziły miłostki między *Urszulą*, a *Władysławem* królewicem, do których pośrednictwem pomagali *Kazanowscy*. Gdy królewic był w obozie, przez nich przesyłał, i odbierał liściki. Po śmierci królowej *Konstancyi*, w starości i niemocach króla, *Meyer* miała pilne o zdrowiu jego staranie, i w ostatnich chwilach nicodstępną była. W ten czas to najwięcej, gdy przesiadywała przy łożu jego, kogo chciała, darzyła wzglę-

dami, ułatwiała podpisy, przedstawiała prośby. Po śmierci Zygmunta, osiadłszy na *de-wocyi*, stawiała klasztory, i dochodami opatrywała. Zmarła w 1635 roku.

### *Warszawa za Władysława IV.*

Za Władysława IV. stan Warszawy opisał nam dokładnie w r. 1643 Adam Jarzemski, muzyk tego króla; nie powtarzając rzeczy znajomój, i już dwukrotnie drukowanój, ostatni raz w opisie *Warszawy* zasłużonego w literaturze Ł. Gołębiowskiego wyczerpniętój, wolę w ogólnych rysach dać poznać stan grodu naszego, i objaśnić rycinę tu domieszczoną (z dzieła *Puffendorfa*), a wyrazisty stawiającą obraz Warszawy za Jana Kazimierza r. 1656, właśnie gdy przez Szwedów zdobyta; odebrana powtórnie, przez nich zajęta została.

Stare-miasto, żadnej nie uległo zmianie, stały tam wysokie kamienice jak i dawniej;

ale więcej lśniły złotem, i malowaniami. W środku piękny ratusz, z wyniosłą wieżą, wiele pamiątek zachowywał, do kroniki miasta przywiązanych, portrety dawnych książąt, i ostatnich Stanisława i Janusza wraz z siostrą Anną, których zwłoki w katedrze spoczęły (21). Przybyła do nich czaszka Piekarskiego, co wznosił rękę na Zygmunta III. Stary zamek przybrał się w przepych, złoto, zwierciadła, obrazy, malujące zwycięstwa. Przybył w nim pyszny teatr, *»gdzie komedyje i tragedyje, i skoki włoskie wyprawiają,«* jak wyraża Jarzemski.

Władysław stawia posąg ojcu swemu, uniesiony miłością synowską, a nie zasługą rodzica. I na wykutęj z marmurów Chęcińskich kolumnie, stanął Zygmunt 3ci przed bramą Krakowską, za murami miasta, przybrany w płaszcz królewski, w jednej ręce krzyż, w drugiej pałasz dobyty trzymając. Obrócił oblicze nie w Stare-miasto, ale na nowe rosnące przedmieścia, jakby chciał widzieć w upływie wieków, jak wzrastać

będzie ten gród ciasny i mały, który na stolicę swoją obrócił.

Odtąd téż panowie budowali za murami miasta pałace, i zamki dla siebie, a każdy obwodził swoją siedzibę murem i baszty, bo nie mając osłony w warowniach Warszawy, rachował jeno na własne siły. A te zamki i pałace mogą świadczyć, jakie były prywatnych możnowładzców siły, gdy wysuwając własny zamek przed mury obronne stolicy, ufał, że w nim się oprzeć potrafi równie dobrze, jak gdyby się schował za warownie miasta. Nie kłecili téż z drzewa jak dawniej dworów, ale z cegły mrowali. Tak stanął zamek *Kazanowskich* (gdzie dziś dom *Dobroczynności*), sławny przepychem i zbytkiem, jakowych Francuzi opisać nie umieli, lubo nań patrzyli (22). Pałac *Konięcpolskiego* Hetmana, (dziś zwany *Radziwiłłowski* albo *Namiestnika*) i wiele innych gmachów: między temi przepomnieć nie można budowy arsenału, przez Władysława IV. A przy tych zamkach, pałacach, zakładano pyszne

ogrody z fontannami, w guście włoskim. Wewnątrz komnat, olsnęły ci oczy, od srebra złota, drogich kamieni, zbytków wschodnich. Tryskały w ogromnych salach, fontannami wonne wody, stały w *srebrnych* baryłach drogie wina! Zamożność mieszczan, została za murami w Starém-mieście, a zbytek i bogactwa panów, wyszły na czoło przed mury.

Ulica od Ujazdowa, Nowy - świat, zaludniła się rolnikami, gdzie niegdzie wychylały się »*przystojne domy*« i dwory panów.

O mile za miastem, powstaje na Bielanych kościół Kamedułów.

Nowe-miasto podniosło więcej głowy, bo i panowie poczęli budować dwory dla siebie, i Władysław *fundował* nowy kościół *Pijarów*. Rynek piękny, ratusz ozdobny, a ulice dostały nazwy jak *Długa*, *Miodowa* i *Senatorska*.

Tak wzrastała Warszawa i po śmierci Władysława IV. gdy wybuchła wojna Szwedzka. Jan Kazimierz uchodzi ze swęj stolicy, Szwedy zajmują i uważają, jako gród wa-

rowny. Po wielu zmiennych kolejach wojny, staje Jan Kazimierz pod Warszawą, przypuszcza szturm, zdobywa. Uległa waleczność Szwedów tą razą, wraz z odważnym Wuttembergiem. Król wszedł do odebranej stolicy, lecz wkrótce, po trzydniowej bitwie pod Pragą, cofnąć się zmuszony, zostawia otworem miasto, i Szwedzi powtórnie wchodzi, a nie myśląc się w niej bronić, warownie z ziemią równają, zostawując bram dwie tylko i niektóre baszty (23). Był to rok 1656. Szwedzi nie chcieli w murach tego miasta, doświadczyć drugi raz klęski dla zwycięskiego oręża swego, miasto winno im wdzięczność; tém zniszczeniem chwilowém starych murów, przyspieszyli połączenie przedmieść z sercem Warszawy, ze *Starém miastem*. Zwolna *Nowe-miasto*, *Krakowskie-przedmieście* z przyległemi ulicami spajało się ze *Starem*, a w półtora wieku, środek miasta zajęły, gdy dawna książąt Mazowieckich stolica, wyciągnęła długie i szerokie ramiona w pola, przez kmieci niegdyś uprawne,

lasy i knieje, gdzie wypłoszywszy grube zwierzę, domy i pałace, na ich miejscu wzrosły.

Tu kres mojego obrazu, teraz objaśnić muszę, nieco rycinę dołączoną.

Widok Warszawy, jest wzięty z za Wisły od *Pragi*, której żadnego śladu nie ma, jeno pole, na niém jeźdźców konnych: widać, że przed drugim zaborem Szwedów, bo mur w około widny.

Właściwe miasto wtedy, jak dawniej, stanowiło *Stare-miasto*, zaczynające się od bramy Krakowskiej przy zamku, a kończyło na bramie *Nowo-miejskiej*. Z jednej strony, kościół *Bernardynów* już był za miastem, z drugiej *Paulini* i *Dominikanie*. Kościół *Panny Maryi*, był w końcu już istniejącego *Nowego-miasta*. Pod zamkiem, ogród mur zasłaniał: mur też w około opasywał *Stare-miasto*, szedł ulicą *Podwalem*, wzmocniony basztami.

Widziałeś wtedy wśród dachów miasta wieżę zamkową: wieże kościołów *Śtój Klary* czyli *Bernardynek*, *Śgo Jana* (fary), Augu-

gustyjanów, collegium Jezuitów, wieżę ratuszową, wieżę baszty marszałkowskiej, za miastem *Dominikanów*, Śgo Jerzego (dziś fabryka Evansa), Benonów i Panny Maryi. Za zamkiem od Pragi, widzialny był posąg Zygmunta 3go, kościół Bernardynów, ogromny pałac Radziejewskiego (dziś dom Dobroczynności), pałace jak zamki z ogrodami, Ossolińskiego (Błękitny lub Mniszechowski), Hetmana Koniecpolskiego, (Radziwiłłowski albo Namiestnikowski), między temi lichy kościółek *Karmelitów*, dalej pałac królewski, (Kazimiérowski, gdzie był Uniwersytet), kończy cały obraz *dom do łowów*.





## PRZYPISY.

---

(1) Boguś Biskup Poznański, w dyplomacie r. 1251, nadającym dziesięcinę kościołowi w Górze, *Warszewę* wioską nazywa. Dawne kalendarze Krakowskie, założenie Warszawy, obok i współcześnie kanonizacyi Śgo Stanisława Biskupa Krakowskiego około r. 1251 lub 1253 kładły. «Musiało to jednak coś wtedy stać (mówi J. S. Bandkie Hist. druk. Krak. str. 210), co do tego mniemania dało powód, lecz źródeł nie położono, jak zazwyczaj bywa w kalendarzach.»

Weześniejszą o Warszawie mamy przecież wzmiankę, w przywilejach Konrada I Książęcia Mazowieckiego. Bartosz Paprocki (Herby Rycerstwa Polskiego 1584 r. str. 312) podaje, że w niej roku 1224 datował ten książę przywilęj, dozwalający wsie *Ślepowrony, Drożdżino, Wola, Stra-*

chowo, z prawa polskiego przenieść na prawo teutońskie. Czy była miastem, nie wiadomo: Konrad, najczęściej w Płocku jako stolicy Mazowsza, albo Czersku przemieszkiwał. Gdy synowie i wnukowie Konrada rozrodzeni, dzielić poczęli Mazowsze pomiędzy siebie; księżęta mający w dzielnicę swojej *Czersk*, dali wzrost i Warszawie, Czerskowi bliższej, ale dla posady swój, i bliskości, Pruss, a oraz dla handlu; wygodniejszej. Napadali często na Czersk Litwini, i to miasto burzyli. Warszawa dla przedzielającej Wisły, nie tyle była dla nich dostępną, przeto nie doznając łupieżstwa; pomnażała się w mury, domy, i osadników.

(2) Naruszewicz Hist. Nar. Pols. T. VI.

Trzy są najdawniejsze kościoły w Warszawie: Śgo Jana (*Fara*), założony około r. 1250 drewniany. Śgo Jerzego, przed rokiem 1339, dziś fabryka Evansa, i Augustyjanów, założony r. 1353. Po nich idzie Panny Maryi, wystawiony 1392.

(3) Dzieje w księstwie Mazowieckiem, Pamięt. Warsz. Bentkowskiego T. 16 — 17.

(4) Na Podwalu Nr. 522 gdzie dom murowany J. Zdzitowieckiego, stała baszta. Kiedy w roku 1803 Jan Wójcicki właściciel ówczesny począł kopać, i rozrzucać takową, znaleziono z niej

wychód tajemny, którym mularze doszli w koniec *Piekarskiej ulicy*, ale dla zepsutego powietrza dalej iść nie mogli.

(5) Rewizya Województwa Mazowieckiego, w aktach skarbu koronnego 1564 r.

(6) Przypowieści S. Rysińskiego 1629.

(7) Herbarz ziól r. 1595 fol.

(8) Fraszki

(9) Z wieży téj zrobiono prochownią najprzód, za Stanisława Augusta przerobiono na więzienie zbrodniarzy z tym napisem:

*«Nie miejsce, ale zbrodnia ludzi hańbi.»*

Wszakże, dawna nazwa prochowni, zawsze się utrzymała. Stąd też u ludu Warszawskiego, w czasie klótni wywoływania obelżywe *«Prochowniku»* do tego miejsca należą. Dotąd w ścianie od Wisły, tkwi jeszcze kamień z napisem łacińskim, że most zaczęty od Zygmunta Augusta, Anna Jagielonka Królowa Polska, wielkich królów żona, siostra, i córka r. 1572 ukończyła.

(10) *Andreae Cellarii Regni Poloniae M. D. Lituaniae novissima descriptio.*

(11) *Albertrandy Medale Polskie.* Ambr. Grabowski opis Krakowa.

(12) Pergaminy zamknięte w galce spiżowej na wieży zamkowej, włożono 4 Lutego 1619.

(13) Gdzie dziś dom b. Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

(14) Zbiór Pamięt. o dawniej Polsce T. 2.

(15) Kownacki «Dzieje w księstwie Mozowickim» Pamięt. Warsz. 1820 r. T. 17.

(16) Stanisław z Kutna herbu Ogończyk, był Wojewodą Rawskim, około r. 1527, wedle Niesieckiego.

(17) «Caesarum, regum, et principum vitae parallellae.» Cracov 1603.

(18) Franciszek Siarczyński. Obraz panowania Zygmunta III.

(19) Tenże. Ta to jest Urszula Meyer, co gra tak znakomitą rolę w powieści genijalnego D. Magnuszewskiego «Zemsta Panny Urszuli» (Prace Literackie T. 1 w Wiedniu 1839).

(20) Zbiór Pamięt. o daw. Polsce.

(21) Obraz z tego ratusza, jest w dzisiejszym zachowany, wraz z czaszką Piekarskiego.

(22) Patrz opis podróży pani *de Guebriant* przez Labreur.

(23) Reszty bramy Nowomijskiej w szczątkach są jeszcze. Bbrama Krakowska zrzuconą została w r. 1818, przez co zamek odsłonionym został. Brama ta, jak zapamiętam, była zamieszkaną, z okna jednego patrzyłem sam na pogrzeb Księcia Po-

niatowskiego, w dzieciennym moim wieku. Mury  
jój, tak były mocno budowane, że mularze ka-  
wałami mur podkówszy, łamali, zeszczerbiwszy  
nie mało oskardów. Jakaż to różnica od naszych  
budowli, gdzie cegłę od cegły tak łatwo od-  
dzielić!

---



III.

*Luźniejsze figury*

**W STAROŻYTNYM TEATRZE**

**W POLSCE,**

**OBRAZ HISTORYCZNY.**





**P**omiędzy osobami jakie wyprowadzano na scenę u nas w starożytnym teatrze, najpiérwsze i najznakomitsze, dzierży miejsce wiéjski *Klecha*. Jeżeli gdzie indziej zachwycał widzów zwinny *arlekin*, zwabiał patrzących: u nas miejsce jego zastępował rubaszny *Klecha*. On to, nie tylko że w wielu dyjalogach, główną odgrywa rolę, ale nawet dla jego wyłącznie osoby, pisano komedyje.

W jednym z najdawniejszych dyjalogów, drukowanych r. 1553, widzimy *Klechę* wy-

stępującego na scenę (\*), on rozpoczynał sztukę. Aby usłyszeć tak ważną *figurę*, upraszano w prologu, o uciszenie się widzów, w następnych słowach :

*Gdyż trudno jest tego dowieść,  
Iżby kto wyprawił powieść:  
Gdzie jest ssemranie y téż gietk,  
Bo się tém przerwie pamięć hnet.  
Przeto pokornie prosimy,  
Byście pomilczcieć raczyli:  
A postuchać téj naszój gry,  
Acz prostój, ale prawdziwój.*

Tak tedy uprosiwszy sobie ciszę, zaczynają nasi aktorzy sztukę. *Wytrykusz* pozdrowia smutnego *Klechę*, zapytując kędy bywał.

---

(\*) Jest to dyjalog Wita Korczewskiego, pod napisem :

«Rozmowy polskie, łacińskim językiem przeplatane, rythmy ośmio-rzeczniemi złożone. Wybijano w Krakowie lata Bożego MDLIIJ, in 12mo. (kart 47 nieliczbowanych, Signat. Aij, Mij).

KLECHA.

Byłem na końcu wsi w karczmie.

WYTRYKUSZ.

*Znać iż w karczmie nie w kościele,  
Boś się zlat piwem na czele (na czole),  
Nie woda tho z kropidlnice,  
Ale piwo ze śklenice.  
I włosy się najeżyły,  
Podobno w robocie były?*

Zagadniony Klecha, brudny, obszarpany, z rozczochraną głową, samą osobą swoją, pobudzający radosnych widzów do szczerego śmiechu, (bo jakżeż im w on czas mało było potrzeba, by śmiech obudzić i wesołe okłaski), opowiada swoje nieszczęścia, dziękując Bogu, że z choć trochę czupryny powrócił. W karczmie spotkał pijanych chłopów, aże mu dłużni byli, począł ich kościelnym sposobem wyklinać: wieśniacy nie wiele myśląc, nuż młócić biédnego Klechę, a tak nasz bohater, zlany zimną wodą, zbity i obszarpany, z rozrzuconym w nieładzie włosem, z siń-

cami pod oczyma, z bolesném obliczem, stawał przed publicznością i odbierał oklaski. Jakaż była cisza, żeby usłyszeć każde słowo ulubionój *figury* teatralnej (\*), gdy ta zaczęła opisywać swoje troski i obowiązki urzędu własnego. Klecha w końcu do żywego obrażony, powitaniem jakiego w gospodzie doznał, woła w zapale zemsty:

*A nie trzebać mówić wiele,  
Mamci jesseze przyyaciele:  
Które gdy będę chciał zbierzę (zbiorę),  
A swoją krzywdę odmierzę.*

Ale rozsądniejszy *Wytrykusz*, ostudza w nim zbyt wojowniczy zapal, i tyle zdro-

---

(\*) Klecha występował w długiej opończy, w trzewikach w kokardy z wielą wstążek ozdobnemi, w czapce lub częścię kapeluszu, z szerokimi skrzydlami. Taki ubior był zwyczajny, aby widzowie zaraz po stroju poznać mogli Klechę. Zwyczajną nazwę nosił *Albertusa* (Alberta), co później w pogardę poszła. Ubior ten, opisała nam «komedyja *Szoltysa z Klechą*» r. 1646.

wą radą działa, że spokojniejszy Klecha, przyrzeka cierpliwie oczekiwać na przybycie tój wsi dziedzica i pana.

W dyjalogu z 1633 roku pod napisem:

»Szkolna mizeryja w dyjalog zebrana, w której się zamykają wszystkie uciechy y rozkosze (których nie ma) szkolne: także pokazuje jakie wzgardy tych nauk, które najpierw do Boga y znajomości Jego prowadzą.« (*in 4to bm*).

Klecha główną odgrywa rolę: on wspólnie z Kantorem rozpoczyna dyjalog.

KLECHA.

*Pomaga-Bóg Mathya (\*), masz jakie gomólki?*

KANTOR.

*Podobnićby tobie mieć, co pilnujesz szkolki.*

---

(\*) Pomaga-Bóg, u wieśniaków w XVI wieku «*Pomiga-Bóg*, albo *Pomagabóg*,» było zwykłe pozdrowienie u nas. Dopiero Jezuici dzisiejsze: «*Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus*» wprowadzili.

*Masz dzieci coć przynoszą, w każdy dzień śniada-  
nie,*

*Czasem też i obiady, jak jest twoje zdanie.*

*Ciebie tu Dominusem często nazywają,*

*Żeś zjadł wszystkie rozumy: tak ludzie mniemają.*

*Nawet jakom rozumiał, leczysz i niewiasty,*

*Którym pod czas przygody, dajesz leda chwasty.*

*I rozumieją wszyscy, że nie ma doktora*

*Nad ciebie uczeńszego: jakom slyszal wczora.*

Klecha poznawszy, że chce Kantor żartować z niego, popiera jak może swoją sławę, prosząc, aby złożywszy się wspólnie, mogli czém posilić zgłodniały żołądek. Wśród tak przyjacielskiego rozhoworu, Kantor dumny, przytoczeniem starego przysłowia: »*Czcij Klecho Kantora,*« obrusza do żywego Klechę, który mu grozi zawieszoną na ścianie strzelbą. Kantor przecież więcej ufa swemu koszturowi. W tém wypada Pleban, a ich pan z kijem, i obu do roboty zapędza. Tak zgromieni układają wspólną ucieczkę, oznaczwszy miejsce zejścia. Zasmucony Klecha, przychodzi do swojej żony w mocnym żalu:

*Ach! niestetyż, niestetyż! czegom ja doczekał,  
Moja Zosiu kochana! to czegom nie myślał:  
Muszę teraz uczynić, a ciebie odbieżeć,  
Że się cnotliwie chować będziesz, mamże wierzyć?*

Kleszyna zdziwiona i przestraszona, pyta czy się małżonek upił, tak nagłą przynosząc wiadomość:

*Teraz mi o wędrówce coś nowego prawisz,  
Nie wiem, komu tu dzieci, i ze mną zostawisz?*

Klecha w tak ciężkiem utrapieniu, zaklina swoją Zosię, żeby mu serca nie rozżalała, ale raczej co dała na drogę. Lecz ona poczy-  
na gorzko narzekać:

*Bóg-daj żadna się z takim nigdy nie łączyła,  
Lepiej żeby się z młodu sama utopila.  
Rozumiałam, że z tobą zażyję swobody,  
A teraz widzę, opak idą moje gody!  
Wolałabym iść była za kmiecia dobrego,  
Pilnować gospodarstwa, także dobra jego.  
Cóż ja tu z dziećmi pocznę, czém się żywić będę?  
Gdy pieniądze i ciebie, pospolu pozbędę!*

Utulona nicco przez męża, żegna odchodzącego. A zaraz za nim, przybywa kuchar-

ka z plebanii, której, gdy swoje troski opowiada Kleszyna, ta uradowana odrzekła :

*Pan Bóg ci to go skarał, bo mię nie szanował,  
Wszędy mię kędy przyszedł, przed ludźmi szkalował.*

*Powiedział, że ja z panem mam porozumienie,  
Owo zgola, u niegom była w lekkiej cenie.*

Ale Klecha, który na stronie zabawił nieco, dosłyszawszy tego, wypada z kąta, a porwawszy kucharkę za szyję, chce bić, wiedząc, że ona była głównym powodem, iż teraz żony odbieżeć musi. Przecież uhamowany przez swoją Zosię, uściskawszy ją szczerze, z płaczem dom opuszcza. Na umówioném miejscu, spotyka Kantora, i z zasobną sakwą, idą szukać społem lepszego szczęścia. Nie wieleć go sobie poprawił: patrzył na dobre mienie drugich, a sam go schwycić nie mógł. Muzyk każdy miał się dobrze chociażby

*Na jakim takowym zamczku,  
Zwłaszcza kędy przy dworze muzykę chowają,  
Jeść i pić przy bankietach dostatek dawają.*



*I Literatom (pisarze listów) bywało nie źle :*

*Bo jakom i sam widział, dobrze się miéwali,  
Literacy, choć tylko listy pisowali.*

*Ledwie sobie łaciną, gębę posmarował,  
I sam się dobrze mając, i innych częstował.*

Lecz Klecha na Literata się nie zdał, a choć  
śpiewać umie, ale grać nie umie, za muzyka  
do żadnego pana nie przyjmą. Tak więc wę-  
druje dalej z Kantorem, który po noclegu  
dobrym, obraża Klechę pobożnego, nastę-  
pną piosnką :

*Rano wstawszy z pościółeczki,*

*Napijmy się gorzałeczki:*

*Napiwszy się więc do chleba,*

*I pacierza nie potrzeba;*

*Bośmy się go namówili,*

*Gdyśmy przy kościele byli.*

KLECHA (z gniewem).

*A mój miły Domine, coż to wždy śpiewacie?*

*Chociaj was nędza trapi, przecię nic nie dbacie.*

*Pierwejć to Panu Bogu było podziękować,*

*Że was przez noc od zlego, raczył poratować.*

Ale hulaka Kantor odpowiada na to:

*«Nie kwiczy nic, nie ryczy: niech się co chce dzieje!  
Ze mię Bóg nie opuści, jestem tój nadzieje.»*

*(Do gospodarza).*

*«Na ten czas wam za nocleg wielce dziękujemy,  
Ku Krakowu co rychlój z ochotą pójdziemy.» !*

W dalszėj wędrowce Klecha przypomina sobie żonę.

*«Mily Domine Cantor ! serce mi truchleje,  
Nie wiem zgoła, co mi się czasu tego dzieje:  
Na sercu mi ma Zośka ustawicznie leży,  
Zgoła się tarapata, ze wszech stron mnie dzierży.»*

KANTOR.

*Już zapomnieć musicie żony, także dzieci,  
Wszak wam z domu ni kędy żona nie uleci:  
W słowie bądźcie stateczni, a jeżeli chcecie,  
Tedy nazad, jak się zda wam, powędrujecie.*

Tak zgromiony poczciwy Klecha, wędruje dalej, ale więcej złego jak dobrego zażywszy, kiedy się nawet i żony wyprzeć musiał, wraca na powrót do swojej Zosi i miłej zagrody.

W trzynastcie lat, *figura* Klechy w najgłówniejszej wystąpiła roli, w komedyi pod napisem:

«*Komedyja Sołtysa z Klechą, do którego jest przydane intermidium temuż podobne. W Krakowie w drukarni Waleryjana Piątkowskiego, roku P. 1646*» (in 4to).

Jakoż i sołtys gra tu niepoślednią rolę. Klecha rozgniewany na sołtysa, gdy ten w przechwałce, źrebię swoje robi rozumniejszym od niego, i mówi nadto:

«*Mam zawsze, gdy chcę, Boga po swój woli,  
Tak, iż mię bez méj woli, głowa nie zaboli:  
Mam też i raj przytomny ku pociesze swojej.  
Coż mi więcéj potrzeba, i chałupie mojej?*»

Oskarża sołtysa przed panem o bluźnierstwo. Już pan w zapale woła:

«*Zaraz tego bluźniércę każę na proch spalić,  
I jego prawie z gruntu chałupę wywalić.*»

Gdy sołtys wystraszony takie zdaje tłumaczenie.

SOŁTYS.

*Proszę słuchaj mało*

*Prawdę, by Klesze temu zrozumieć przystało.*

Tom IV.

16

*Mówię: «Mam po swój woli Boga gotowego.»  
Bo wiem, to chcę co i On, nie nad wolę Jego.  
Tak się modlę w paciérzu: «Bądź twa wola Panie!  
Też jak w niebie Twém, i w nas niech nie ustanie.»  
Tak myśl swoje stosując, to chcę co i Bóg mój,  
A on mnie jest przychylny, i oddawa dar swój.  
Niebo zaś mam w swym domu, tak ci jest zaiste,  
Ojca z matką chowając, mam mieszkanie czyste  
Niebem je mogę nazwać, bo je Bóg obiecał  
Temu, któryby ku nim w miłości nie ustał.*

Takiem tłumaczeniem uwalnia siebie, bo i miał prawdę za sobą, chwając w mądrości i przenosząc nad Klechę swoje źrebiątko: bo to pije tylko wtedy, kiedy ma pragnienie:

*«Ale nasz miły Klecha, tak się więc oleje,  
Że się na nogach swoich, jako trzcina chwieje.»*

Pan uradowany, śmieje się serdecznie, a gdy Klecha zawstydzony ucieka, sołtysowi oddaje szkółkę wiejską pod dozór, i mianuje go nauczycielem. Na tém się kończy część pierwsza.

W drugiej części (akcie) zaturbowany szkółką i łaciną, ubolewa Sołtys, gdy napotyka

Klechę nieumiejętnego z cepami, którego uczy jak ma używać rolniczego narzędzia. Nadchodzi doktor: tego nowy nauczyciel prosi, aby mu wytłumaczył zadania łacińskie, a przytem żąda recepty, prędkiego nauczzenia się tego języka. Doktor przepisuje szmalec dębowy, którym gdy chłopak zaczął smarować boki, zbity soltys ucieka. Wkrótce spotkawszy w krześle doktora drżymiącego, budząc go, wyrywa mu brodę. Chłopak mu grozi, przestraszony ucieka, i bez czapki w koszuli stając przed widzami, zakończy komediją taką moralną nauką, rzucając księgi o ziemię:

SOLTYS.

*Otoż masz, coć się chciało, soltysie mizerny!  
Szkolę nieukiem rządzić, jest kłopot bezmierny.  
Ja radzę każdemu choć się nie k'myśli dzieje,  
Lub szczęście krzywo patrzy, lub się też i śmieje;  
Przed się trzymaj się swego!  
Z młodych lat szukaj szczęścia, w ten czas łapaj  
chleba:  
Bo gdzie włos siwy padnie, tam już żebrać trzeba.*

*Dąb też rad mchem obrasta, gdy na miejscu leży,  
Ale tam już ostatnie, kto swego odbieży.  
I ja toż uczynię, swój się koziec chwycę,  
A do szkoły pókim żyw, więcej się nie zwrócę.*

W dołączeniu do téj komedyi intermedy-  
jum, Klecha występuje i kończy je nawet.  
Jako ulubiona *figura* ówczesnego teatru, dla  
wzbudzenia w widzach śmiechu, na zakoń-  
czenie staje i przemawia :

*«Ja nie pójdę z tobą,  
Zostanę tu na placu z swą piękną osobą.  
Lecz ono ktoś z palcatem (\*) ku mnie widzę godzi,  
Orszak za nim niemaléj drużyny wychodzi.  
Odejdę ja, nie trzeba wierzyć téj drużynie,  
Wolę leżyć u mojej (\*\*) w puchowej pierzynie.*

Tak więc ucieka z teatru w pośród śmie-  
chu i oklasków.

Nie tykając *figur* z dyjalogów pobożnych,  
jakich mieliśmy obfitość, pełne świętych osób,

---

(\*) *Palcat*, rodzaj kija używanego przez stu-  
dentów.

(\*\*) *Moja*, znaczy żonę.

i aniołów: obok Klechy, Kantora, i Sołtysa, trzeba nam stawić więcej, które wydatniej w dyjalogach światowych spostrzegać się dają.

Owoż czarownice niepoślednią grają rolę.

W dyjalogu *Wita Korczewskiego* 1553 r. przyzwana baba przed pana, przyznaje się do czarów miłosnych, i że oślepiła kmiecia.

Do XVII wieku występowały czarownice na scenę: pisarze dyjalogów wszystkie ich oszustwa, zaklęcia, i zabobony, wystawiali z całą prawdą, i dosadnie. Wszakże ich usiłowanom, przesady wieków silne stawiały zapory, i pomimo wyszydzania i ukazywania śmieszności, palono przecież długo baby wiejskie, bo wierzono w czary, chociaż się z nich śmiała szlachta na teatrze.

Za czarownicami idą *djabły*. Niepospolite też odgrywali role, całe komedye dla nich samych poświęcano.

*Jan Borowski* pastor z Brodnicy, dla poprawy obyczajów, jak sam wyraża, napisał: «*Teatrum Diabolorum.*» (Gedani a. 1621) w trzech długich aktach. Tu widzimy szcze-

ście djabłów, i wkrótce upadek, zasadzki na dusze; w reszcie w dokładnym obrazie całe piekło, wszelkie potępieńców męki, z orszakiem straszdeł piekielnych.

Blizko na sto lat przed Borowskim, *Wieniawski* mieszczanin Krakowski: napisał komedię w 8 scenach pod napisem:

«*Cudowne wesele czyli Hymeneusz czarodziejski*» gdzie djabły i czarownica występują razem. Baba czarami uwodzi młodzieńca, że się w niej zakochał. W scenie IV jeden diabeł leży, dwóch go trzyma, a czarownica bije. W tém Alfeusz spuszcza się z góry, czarownica urywa mu nogi, i przyprawia do ramię, a ręce do kolan (\*). Biedny Alfeusz jeszcze śpiewa:

«*O Alfeuszu ubogi,  
Gdzie ty teraz masz nogi:  
Tam ręce gdzie kolana?  
A coż to za odmiana?»*

---

(\*) Mamy w tém ślad maszyneryi teatralnej.



A chóry djabłów, wtórują pieśniom.

W końcu zapust, w trzy dni ostatnie, w dni *szalone* nazwane, wystawiono wesołe dyjalogi, gdzie Bachus występował. Za Zygmunta III taki odegrano w Krakowie i w Warszawie dyjalog, pod napisem:

»*Mięsopust albo Tragi-Comoedia na dni mięsopustne, nowo dla stanów rozmaitych zabawy, podana.*» R. 1622 (in 4to).

W drugim akcie czyli *sprawie*, występuje Bachus z całą swoją drużyną, i tak przemawia do widzów:

«*Mądrze czyni (mém zdaniem) kto się z czasem*

*zgadza,*

*Wielka czasu potęga, wielka jego władza.*

*Czas nam wszystko przynosi, i z czasem odchodzi*

*Wszystko; przetoż zgadzać się z czasem wszy-*

*stkim godzi.*

*Niech czyni, co ma czynić, póki jest czas temu*

*Każdy: ja radzę zwłaszcza gdy ma czas po temu.*

*Przeto choć mam przed sobą, bardzo pilną drogę,*

*Prośby waszój tak słusznej odrzucić nie mogę.*

*Nawidzę tedy wasz zbór (\*) i wstąpię na chwilę,  
A użyczę wam zwyklęj nieco krotofilę.»*

Tu ogłasza rozkaz, żeby każdy swoje imię i nazwisko wymienił: a ile liter, tyle pełnych puharów ma wychylić. Oczywiście, że każdy wysadzał się na to, własną nazwę z jak największej liczby liter podawał, bo popijał za każdą

Dołączmy do tych osób *Pątników* i pielgrzymki, których roje przewijały się u nas, zostawując ślady swoje w żebrakach i dziadach wędrownych: żydów, psotnych *pacholików*, rozwiozłe żołdactwo, rozbójniczych *hajduków*, poważnych towarzyszków chorągwi, wąsatych rotmistrzów, doktorów Włochów i Niemców, naszych wieśniaków z rozmaitych okolic, a z własnym językiem i wymową, olejkarzy oszustów z Węgier; a będziemy mieli wyobrażenie, jak liczne i rozmaite charaktery i *figury* wchodziły na scenę, w starożytnym teatrze.

---

(\*) Zgromadzenie.

Co zasłużony i w literaturze i w dramatyce *Jan Nepomucen Kamiński* wyrzekł o teatrze, to muszę powtórzyć, gdy się rozpatruję w pomnikach starodawniej sceny naszój.

*«Wiek swój pokrzywdza zdaniem zardzewiałem,  
Kto częściej zabawy szuka w niej powodu:  
Silniej niż dusza rozmawia się z ciałem,  
Rozmawia scena, ze sercem narodu.  
Jeden tam węzeł dwie struny kojarzy,  
Co jedna czuje, druga ma na twarzy.»*





IV.

O Cyganach,

**GAWĘDA PANA GAWŁA**

z Pawłem Bartłomiejem

Z ROKU 1782.

POD JESIENNĄ PORĘ.

IX

© 1899

AMERICAN LAWYERS ASSOCIATION

1900

1900

1900

**G**óż tam na dworze, panie Bartłomieju? pytał stary Gawł Zaręba, swego przyjaciela, w téjże saméj wsi szlacheckiej zamieszkałego, co przyszedł go odwiedzić.

—Dészcz, flaga, a wiatr zimny, do kości przenika.

—Grzegorz! (zawołał gospodarz), rozpal ogień na kominie, jakoś chłodno w izbie. Prawdać, że nie szukać teraz ciepła, gdy krwi gorącej nie ma i lata nadgarbiły karku, i już to siedem krzyżaków na nim siedzi.

—Panie Gawle! (odrzekł Bartłomiéj), i mnieć nie czas na wąsy chorować, wszakże

jako pomnę, o dwa dni różnicy; jesteśma jak bliźnięta sobie, bo pod jednym urodzeni dachem.

Grzegorz napalił na kominie ognia suchym dębem, dorzuciwszy dla woni kilka gałęzi jałowcu: miłe ciepło ogarnęło izbę i rozweseliło starców.

—Prawda, panie Bartłomieju, ale w 15ście lat rozdzielić się musielim; jam dwadzieścia lat, tam na Litwie cudze wycierał kąty, Waszć przynajmniej przy swoim płocie, własne ociesywał kołki.

Właśnie weszła małżonka pana Gawła: Bartłomiej pozdrowił gospodynią domu.

—Owoż widzita, co mi zostało z mojej włóczęgi, dzięki niebu! przynajmniej mi osładzała i osładza życie: to wywozłem z Litwy, prawa od Lidy *Litwinka*. A co dziwnego, że dobrze na lat kilka, wywróżyła mi to, jedna stara cyganka. Prawią, że *do korony po rozum, do Litwy po pieniądze*. Jam na Litwie, nie wiele mienia w przyborze wy-



niósł, a z miłą radością wróciwszy na swoją grzędę, owo tu głowę ześniężoną położy.

—U nas, panie Gawle, to rzadko gdzie już zajrzeć Cyganów: a pomnę w młodych latach, byle las, wieś, już ci cygani, a kędy gospodarz, tam i niedźwiednik. Kiedy Waszeć, panie Gawle, opuścili nasze strony, w lat parę poszedłem do mego pana stryja, co mieszkał w *Bożęcinie*. Trzeba było bór przechodzić: pod wieczór idę, idę, aż dojrzałem ognisko. Strach mię wziął za boki nie mały, widząc bandę cyganów, a nasłuchałem się dosyć, jako dzieci kradną. Drzący niemal, gdy nie było czasu uciekać, przychodzę: cóż ujrzałem? Węże piekli na węglach, ale jako je przyprawiali? Oto, za głowy uwiązawszy u gałęzi drzewa, smagali różgami długo, dopóki jak włoski orzech, na końcu ogona jad się nie zebrał; to nożycami ucinali, a łeb obciąwszy, kładli na węgle i piekli ze solą. Częstowali i mnie tym *specyjałem*, alem podziękował, i jakoś niezatrzymany, zmykałem dobrze do Bożęcina.

—Co do mnie, i do mojej Małgosi, natrzyliśmy się cyganów do woli na Litwie. Tam, gdzie dworsko służywał, był cygan, co gdy pan z gośćmi usiadł do uczy, na rzecz podaną, z głowy tworzył zaraz wiersze litewskie i ruskie na zawołanie: miał się on dobrze, bo umiał zręcznie panom pochlebiać, a ci mu złotem sypali. Znałem cygana, co z synem jeździł po dworach, i wesołe dyjalogi wyprawiał. Kiedyśmy się pobrali z moją Małgosią, w pierwszym roku, przybył do nas, a życząc szczęścia, zamknął się w sieni.

Tam to udawał niedźwiedznika, który śpiewa, niedźwiedzia zmusza do tańca, i każe mu różne sztuki wyprawiać. Niedźwiedzisko ryczy, coraz się bardziej opiera, dostaje razy kijem: tym czasem, mały piesek ujada za wzięcie, szczeka, drapie się do drzwi, chce niby ujsć przed niedźwiedziem, a razem z nim słychać wrzeszczącego przeraźliwie z przestrachu żyda. Taką sztukę to wyprawiać umiał, iż Wasze byś przysiągł, że tam są

niedźwiedź, cygan, żyd i piesek; a tam nad dwóch onych cyganów, nie było żywie Bóg prawda, nikogo więcej (a).

Chodziło ich przecież wielu, i z żywemi niedźwiedziami, które czasem puszczali na psy, kiedy jaki szlacheć dobrze za niedźwiedzia zapłacił, a psy chciał wprawić.

—Co mi Waszeć prawisz, to mi przypomina sztuczkę pana Starosty Kaniowskiego, a czego mój brat cioteczny, był świadkiem. Jakiś szlacheć, wyćwiczony w palestrze, co wytarł nie mało progów w Trybunałach Lubelskim i w Piotrkowie, skąd to ona przypowieść: *»Piotrkowski świadek, za tyżkę barszczu,«* nazbiérawszy cyrografów od dłużników pana Starosty, przyjechał z nimi po odebranie pieniędzy. Pan Starosta, kazał mu dać wygodę, a dając rozkaz marszałkowi, podniósł średni palec u prawej ręki, już wiedział co się święci. Wziął więc szlachećca, i zaraz wsadził do więzy zamkowej. Nazajutrz pan przed gośćmi jał wychwalać, jak ma pięknego niedźwiedzia, i że dla ich zabawy,

każe go szczwać brytanami duńskimi. Wyszli wszyscy przed ganek. Już psy zażarte trzymali tylko za obróże, nie długo z bramy zamkowej, pokazuje się niedźwiedź: najprzód na czterech łapach, a później i na dwóch stanął. Nie był rosły, puszczo na niego psy ogromne. Piérwszy brytan jak uderzył piersiami, obalił do razu, aż tu on niedźwiedź, głosem ludzkim wrzeszczć począł: »*Jezus, Maryja, Józef!* kto w Boga wierzy, ratujcie.« Goście strętwieli, parę białychgłów omgłało, inne na kolana padły, nuż prosić za chudziną, który udawał niedźwiedzia: ledwie przebaczył. A wiesz Wasze, panie Gawle, kto był niedźwiedziem? to on palestrant, co cyrografy na pana Kaniowskiego pozbiérał. Byłyby go brytany zagryzły na śmierć, gdyby nie litościwy marszałek, który skoro odebrał rozkaz zaszycia szlachcica w skórę, obłożył go poduszkami, to rozmałą zbroją ciało pookrywał, a tak oprócz stłuczenia, ran nie wiele. Wszakóż swoje stracił papié-

ry i parę koni z bryczką, bo go pieszo wypędzono, za granicę dóbr Starosty (b).

—Znałem, panie Bartłomieju, tak krzepkiego szlachcica, co mógł zdusić niedźwiedzia, nie dałby się i brytanom pana Kaniowskiego. Był wójt, albo jak go zwano powszechnie, królik cygański, a zwał się Jakub Znamierowski. Moja Małgosia widziała go nie raz, bo bywał w domu naszym. Ale moja dziewczeczko, jakoś na sucho, nie miło językowi, jest tam w piwnicy mały gąsiorek jeszcze z wesela, naszego *Hungaricum*. Kiedyż go wypić? jeśli nie z miłym przyjacielem, przy wieczornej gawędzie.

Grzegorz poprawił ognia na kominie, dołożył olszy, dębu, jałowcu, usiedli obaj starcy przy małym stoliku, a gdy wniosła pani Małgorzata gąsior zapleśniały; po wychyleniu sporych kielichów, których musiała po odrobinie gospodyni zakosztować, pan Gaweł zaczął.

—Był to dobry szlachcic, ogromnej *statury*, cerę miał tak śniadą, jak Cygan, a wąs

czarny, długi, spadał mu na piersi: ubierał się z cygańska, po staropolsku. Od młodu handlował końmi, poznał się bliżej z Cyganami, nauczył ich języka, znał obyczaje. Nie zbywało mu ani na dowcipie, ani na sile: coś *per fas, per nefas* nauczył się w jakimś klasztorze. Z początku handel końmi, szedł mu nie źle, później wszystko stracił, i na takie ubóstwo przyszedł, że mu jeden tylko koń został. Była w owe czasy horda Cyganów na Litwie, zwana *Złotą-hordą*, jedna z najbogatszych: z tej Cygani ukradli mu ostatniego konia. Znamiérowski dociekłszy złodziejów, przybiéra k'sobie dwóch odważnych Cyganów silnej ręki, i idzie na wyśledzenie drogiéj zaguby. Po długich wędrówkach *per pedes apostolorum*, znajduje złotą horde, obozującą we wsi jednéj w lasach położonéj, na granicy Lidzkiego i Trockiego powiatu. Natychmiast zbrojną ręką uderza na całą bandę, z kilkuset głów złożoną. Gwałtowny napad, z razu rozbraja Cyganów, lecz za obejrzeniem się, że więcéj nad trzech przeciwni-

ków nie mają, powstaje rozruch i opór silny się podwaja: w on czas Znamierowski, dobyć musiał całej odwagi, zręczności i siły. Za całą broń, mając potężny bizun, naciągających okropnie smaga, rozbija, i do ucieczki zmusza: dwaj Cygani, których przybrał za giermków, dzielnie mu dopomagają. Możesz sobie *imaginować*, panie Bartłomieju, że koniec końców, pokonywa całą horde, przełożonych i starszych wiąże powrozami do drzew i parkanów, których smaga bez litości, cała mu się horda poddaje, i ślepe posłuszeństwo zaprzysięga. Zwołani z innych hord Cygani, przyznają mu zaszczyt bohatera, i jednozgodnie na królika podnoszą, wraz z żoną jego. Otrzymał znak władzy swojej zwany *Czupny*, trzcinę grubą i ozdobną, a otrzymawszy przywilej od Króla Jegomości Stanisława Augusta, zbogacony darami zawojowanej hordy, począł rządzić swoim ludem; żyje owo i teraz, jakom słyshał nie dawno (c).

Pomawiano często, panie Bartłomieju, o roz-

boje Cyganów: wrzekomo, lubo należeli do kradzieży, nie łupieżyli dworów, i morderstwem rąk nie kalali, lubo się i na Litwie i na Rusi, częste rozboje zdarzały.

— Wasza prawda, panie Gawle, zawsze przecież złe się jako szydło w worze nie zatai nigdy. Jest Opatrzność Boża, która czuwa nad nami: dobrym nagradza złych karze. Powiem też Waści, o rozbójnictwie naszego sąsiada.

Jego miłość, pan Hołubek, potomek onego sławnego rycerza, co zginął pod Byczyną, mieszkał w sąsiedztwie naszym. Właśnie rok dobiegał, jako się postanowił, wszedłszy w związek małżeński z Jejmością panną Cześnikówną: była to hoża, gładka, wzrostu wyniosłego pani. Świętej pamięci, mój rodzic, miał mowę okrągłemi słowy, dziękując wimieniu pana Hołubka, rodzicom panny. Na tém to weselu, tak sobie podchmielił, że musiano go polewać zimną wodą, i krwi nie mało upuścić, zaczem się go do życia wróci-



ło. Miły Boże! w rok potém mój rodzic nad obojgiem prawil *oracyją* pogrzebową.

Był dwór na uboczy ode wsi, kędy mieszkał pan Hołubek, miał dworskich nie mało, ale wszyscy mieścili się po oddalonych oficynach. Kiedy szli na spoczynek, zamykali drzwi wszystkie, a pan Hołubek miał broni nad łóżem nie mało, i parę pistoletów, świeżo podsypywał na wieczór. Woźnica i hajduk z tejże wsi rodem, których to panisko uwolniło od biędy, a ubrawszy i wyuczyszszy, do dworu przyjęto, poduszczeni od złęgo, wiedząc o pieniądzech, klejnotach, i srebrze bogatém; postanowili państwo zabić, i od razu zostać bogaczami. Jakoś, po Wielkanocnych świętach, gdy pacholka wysłał pan daleko z listem, a ten sypiał w sieni i nie było jak tylko cztery służebnie w garderobie, postanowili przyspieszyć morderstwo. Dwie służebnice, w których się kochali, namówili snadnie, że téj nocy nie spały w garderobie: spoiłi więc je, i zostawili w swojej izbie bez pamięci leżące, w której mieszkali społy. Nie

było więc we dworze nikogo, prócz państwa śpiących, małej dziewczynki, i młodej Magdusi, nie dawno od nas wziętej ze wsi.

Woźnica Jan z hajdukiem Michałem, wyszli cicho ze swęj izby, zostawiwszy w niej kochanki zmorzone trunkiem i rozpustą; jeden z siekierą, drugi z nożem myśliwskim. Łatwie weszli do dworu, bo dziewczęta które spoiły, otworem drzwi zostawiły. Prędko skończyli z małą dziewczyną i Magdusią, jednę gardło poderznięli, drugieć podwójnem uderzeniem siekiery, zamknęli oczy na wieki! Zbroczeni posoką duszyczek niewinnych, cichaczem wkradli się do sypialni pana: paliła się tam świeca, ale oboje małżonkowie spali już dobrze. Woźnica na widok surowego oblicza pana, upadł na duchu, ale silny i rozżarty krwią wylaną hajduk, pochyliwszy się, jako *Tatar chyłkiem borem, czarnym szlakiem*, z siekierą skradał się powoli. W onę chwilę Anioł stróż otworzył oczy pana Hołubka, ujrzał zabójcę, porywa za pistolet: było za późno, nim zdołał kurek pociągnąć, odbiera

cios śmiertelny i jednym krzykiem za uciekającą duszą, zbudził swoją małżonkę.

O! mój Boże! jakże jej serce z bólu zadrzało, gdy ujrzała we krwi małżonka, patrząc, jak zabójca z tą samą siekierą i jej cios gotuje. Zrywa się, i jednym skokiem mija hajduka, odrzuca daleko na ścianę woźnicę Michała, i wbiega na wielką komnatę, skąd okna szły do ogrodu. Ale zawiodła ją nadzieja, zabójcy przezorni, zamknęli okiennicę i podparli ze dworu drągami. Zrozpaczą dobijała się do nich, i do drzwi, ale wszystko warowne znalazła. Otwiera komin, i w radości, że ujdzie rąk zabójców, mierzy jego wysokość, gdy nagle uczuła że ją w połę schwyceno, i komnata światłem zajaśniała. Hajduk ją schwytał, a woźnica przyświecał, stojąc jako zaporą we drzwiach komnaty. Nieszczęśliwa pani, dobywa sił ostatnich, wrywa się zabójcy, który właśnie sięgał za pas po siekierę, i jak dzika sarna, jednym podskokiem, wskoczyła na wielką szafę. Zduśli się mordercy, przejął im mróz kości,

patrząc jak zdziechałym, obłąkanym i iskrzącym wzrokiem, spojrzęła na nich. Usiadłszy na wierzchu szafy, uśmiechnęła się radośnie, nieszczęśliwa! już pomięszany miała rozum. Gdy w największym zostawali kłopotcie zbójce, jak ją dostać, sama nagle zeskoczyła, rzuciła się na hajduka, który dobrze wymierzonym ciosem, pozbawił ją żywota. Wtedy poczuł boleść, i gdy upadła, szarpnęła mu rękę, podniosłszy ją do świecy, ujrzał, że mu odgryzła mały palec lewej ręki.

Mordercy odetchnęli swobodnie, co żywo dobrali się do skarbów, a zabrawszy wszystko co mogli, w poblizkim zakopali lesie, a sami wrócili do izby, aby pozorów nawet nie zostawili na sobie. Nie długo bawiące u nich dziewczęta zbudzone, widząc że pośwituje zorza, wybiegły do dworu: za ledwie próg przestąpiły, przy rozłtwartej okiennicy, ujrzawszy trupy dziewcząt, poczęły w niebogłose wrzeszczyć. Zbiega dwór cały, przybiegają si sami zabójcy, i wspólnie ze wszyst-

kiemi, mieszając ze szczeremi łzy bazyliškowe, wylewali.

Rozbiegła się wieść zaraz po okolicy całej, mój rodzic sędzia i przyjaciel zamordowanych pierwszy przybył, wzięwszy mię z sobą już wyrostka. O! do grobowej deski nie zapomnę tego, com ujrział.

Jeszcze pani była urodna, chociaż ją szpeciła krew' z rany zadanej.

Mój Boże! jakże ich to wszyscy żalowali: mój rodzic kazał uprzętnąć trupy, przygotować wspaniały pogrzeb, cała okolica zjechała na oddanie tej posługi chrześcijańskiej, zamordowanemu państwu.

Rodzic mój, rozkazał wszystkim dworskim z owego dworu, stanąć rzędem, i gdy ksiądz proboszcz, przy katafalku odmówiwszy modlitwę, począł mowę i w niej wspomniał, że Bóg wykryje morderców, aby ich sprawiedliwość ziemską ukarała, patrzył uważnie na wszystkich: hajduk zbladł, zadrżał woźnica. Rodzic nie rzekłszy słowa, polecił, aby proboszcz z pochowaniem zwłok zatrzymać

się raczył, bo jeszcze raz, trupy obejrzyć musi. Jakoż w ustach pani, znaleziono pól palca zabójcy. Wtedy w tej samej komnacie, wniesiono stół wielki, postawiono *krucyfiks*, zasiadł mój rodzic, zasiedli i inni sędziowie, przyzwano wszystkich dworskich.

Gdy zaczęto ciągnąć *indagacyje* z hajduka, niespokojny chował lewą rękę, to pod stół, to po za siebie. Zwróciło to rodzica mego uwagę.

—Cóż ci to w rękę? zapytał nie chcący.

—Skaleczyłem sobie palec, odrzekł pomięszany hajduk.

—Rozwiąż no zawinięcie, bom pewny, że kawałka palca brakuje.

Zbladł jak chusta, odwinął rękę: porwał ją rodzic, a podniosłszy w górę, wykrzyknął z boleścią i z wściekłym gniewem: »*Oto morderca, naszych przyjaciół!*

Zuchwały hajduk, drżał jak listek osicyzny, woźnica padł na kolana: wyznali wszystko.

Męczono ich okropnie, ale czyż te męczar-

nie wróciły żywot zamordowanych? Palono im ręce, łamano kości! Tak Bóg natchnąwszy mego rodzica, dozwolił wykryć zbrodniarzy. Przed śmiercią, ukazali miejsce gdzie zachowali skarby, znaleziono je nietknięte, i oddano rodzinie zabitego państwa (d).

— Smutną prawiliście powieść, panie Bartłomieju, o cyganach przecie nie podobnego nie zasłyszałeś, lubo ich pełno bywało po wsiach, lasach i drogach ubocznych. Kradli, to prawda i zręcznie, a stare baby wróżyły. Pamiętasz Wasze, Małgosiu, jako nam, a raczej Waszeci, wywróżyła cyganka w pierwszym roku pobrania naszego, że będziesz miała :

*Synka, Marcinka,  
Z czarnemi oczami,  
Z białemi włosami.*

I tak się zjściło. Było to pacholę żwawe, zdrowe Bóg wychował: nie doczekałim pociechy, zginął jak i bracia jego....

Małgorzata na wspomnienie wróżki, w za-

płomieniu staruszka, spuściła oczy, a słysząc o stracie dziecięcia, łzami się zalała.

Pan Bartłomiej, nie mógł patrzeć na spłakanych przyjaciół swoich, rzekł przeto :

—Już późna nocy doba, słyszę pienie kura, trzeba wracać do chałupy. Bywajta zdrowi, niech was Bóg ma w swojej świętej opiece.

Poprawił pasa, nacisnął czapkę, i wyszedł rozrzewniony, z dworu spojrzął przez okno : pan Gaweł z małżonką, zanosili się od płaczu. Odstąpił co prędzej, odmawiając modlitwę, wrócił do domu, a rzucając się na łoże twarde, otarł oczy i wasy łzami zwilżone.





— 202 —

PRZYPISY.

---

(a) Rzadko już teraz zobaczysz Cygana, a niedźwiedzia, chyba w menażeryi: gdy dawniej Cygan i niedźwiedź, byli nieodstępni sobie towarzysze, i prawie zawsze odwiedzali miata nasze, i dwory szlachty.

Kiedy rzucę pamięcią w młode swoje lata, kiedy przypomnę, jakie to puszcze i lasy zapamiętam w swojej ziemi, a gdzie teraz lub zboże zło-ci kłosem, albo liche stoją bory przerzedzone i wycięte: nigdy sobie bez Cyganów i niedźwiedzi, naszych lasów wystawić nie umiem. Gromady te Cyganów, prawda brudne, niechłujne, przecież według mnie, zdobyły knieje, bo dodawały życia, i jak wiek dziecinny nabawiały trwogą, tak bawily oczy. Nież to powieści nie brąży do-tąd o Cyganach, o wykradaniu przez nich dzie-ci, o rozbojach i kradzieżach tego ludu, co nie-mal sobie przyswoił Polskę i Litwę! Z jakąż ra-dością, po dworach czeladź i słudzy, dawali znać panu, o przybyciu Cyganów z niedźwiedziem i

małą: jak ciekawie na ulicach saméj Warszawy, zbiegały się tłumy, kiedy przybyli! Stare Cyganki wróżyły, gdy niedźwiędź przy piszczałce i bębenku podskakiwał, a Cygani kupezyli ślusarskim lub kowalskim wyrobem. Miałeś z nich bowiem dobrych ślusarzy, kowali, konowalów, i wybornych złodziejów, na konie i drobiazgi. Żaden targ, ani jarmark, bez nich się nie obszedł, wiedzieli i bez kalendarza o nich, w którym dniu i w jakim przypadają mieście: tam to albowiem, otwierało się dla nich zyskowne żniwo. W języku naszym, do wielu przysłów i przypowieści dali powód, o czem na właściwem miejscu powiem.

W Węgrzech, prócz zwykłych jak i u nas dawniej zatrudnień Cyganów, wielu z nich oddaje się muzyce. Najsławniejsi wirtuozi węgierscy, zazwyczaj dawniej, byli Cyganami. W roku 1827, Cygan *Cisari* w Peszcie, odznaczał się jako skrzypek, a dawniej Cygani *Hiripi*, *Sugar*, *Karma*, *Michali*, i panna *Czinka*, również byli sławni. Wyjąwszy fortepiano, Cygan gra prawie na każdym instrumencie, a szczególniej na skrzypcach, z wyrazem, pełnością, i czystością, jakie ledwo najpierwsi artyści posiadają, a do tego, po większej części, bez żadnej nauki. Gra ich do tańca, obudza radość. Częścią tworzą sami swoje

tańce, często też słysząc je raz od kogo, na zawsze spamiętają.

W roku 1829, w czasie mojej bytności w Węgrzech w komitacie *Neusohl*, poznałem młodego Cygana, który wybornie grał na wijolonezelli; skłonny do smutku i tęsknoty, wychodził pod wieczór, a blakając się po górach nad drogą, przygrywał rzewne melodyje. Trzeba go było słyszeć, aby opisać czucie, i smętne tony, któremi wdziął się do serca każdego, które zachwycało odgłos jego żalobnej muzyki!

Na Wołoszczyźnie, Cygani są do usług dworskich i teraz używani.

(b) Szlachcica tego, co musiał udawać niedźwiedzia, będąc zaszyty w skórę, ja sam znalazłem osobiście. Mały, szczupły, czupurny, nosił się po polsku i szczególnego sposobu używał do życia. Doskonale znając heraldykę, chodził w Warszawie po domach zajezdnych, i do pokrewieństwa szlachty się przyznawał. Wymowny, obrotny, tak umiał ująć sobie, odurzyć każdego, że chętnie mu nie raz i znacznego nie odmówiono wsparcia. Z ust tego samego szlachcica, słyszałem, gdy opowiadał «swoje nieszczęście» jak nazywał u pana Kaniowskiego, gdy go szeczowano brytanami.

(c) Ciekawą wielec biografiją, znajdzie czytelnik w wyborném dziełku szanownego T. Narbuta «*O Cyganach.*»

(d) Podobne morderstwo miało miejsce w Galicyi, przed kilkunastą laty.

V.

# WYSOKI ZAMEK.

OBRAZ 1594 R.

z Kroniki Miasta Lwowa.



## I.

**N**a rynku Lwowskim, przed jedną z okazalszych kamienic z żelaznym gankiem, przy którym zawieszono złote winne grono, zwisało skądś wina zamożny: stało na schodkach kamiennych młode dziewczę, strojnie i bogato przybrane. W oczach czarnych, jaśniejących, malowały się: szczerłość, niewinność i żywe namiętności. Skłonieniem głowy i miłym uśmiechem, witała przechodzących znajomych; lecz nie stała teraz dla pokazania się na rynku, ale oczekiwała z utęsknieniem ojca: bo godzina oznaczona powrotu,

już dawno uderzyła, na wysokiej wieży ratusza. Ile razy po bruku, od strony bramy Halickiej, usłyszała turkot, odwracała z radością głowę, i dłonią zasłaniając oczy przed promieniem słońca, wypatrywała, czy to nie kolebka pana Ojca. Minęła godzina, a czarnobrewa Pelagija stała na schodkach, wzdychając smutnie, ile razy turkot ją zawiódł: na reszcie, usłyszała głos ze sklepu wołającej matki: »Pelasiu! Pelasiu!« i dziewczę z pospiechem wróciło do ciemnego sklepu.

W godzinę potem, wóz ładowny stanął przy samych schodkach kamiennych: zeskakuje zeń młodzieniec i śmiało wchodzi. Nie było w sklepie pani Jurowej, (jak nazywano po mężu matkę Pelagii), ale zostało same dziewczątko, które na widok cudzoziemca, i do tego urodnego, upiekło raka wyżej oczu, a dając znak, aby spoczął na ławie, skórą dzikiego wieprza obitej, wybiegło po matkę.

Młodzieniec przybyły, równie się zmieształ widokiem Pelagii, zachmurzył oblicze, zmarszczył czoło i przyłożył rękę do serca, jak-



by tam, czy ból jaki, czy wzruszenie uczuł. Usiadł na ławie i patrzył obojętnie w głąb ciemnego sklepu, gdzie beczki wina, stały porządnie ustawione, a w szafach gąsiory i butelki.

Wkrótce przybyła pani Jurowa, w towarzystwie córki, powitała uprzejmie przybyłego cudzoziemca, i zaczęła mu zadawać pytania, najprzód po polsku, później po rusku, ale młodzieniec kręcąc głową, dał poznać, że nie rozumie żadnego z tych języków. Była tém wielce zmartwiona niewiasta, przecież widząc strudzonego, poleciła córce, mieć o podróznym staranie, a sama się na chwilę oddaliła ze sklepu.

Pelagija nalała puhar cynowy wina węgierskiego, i podała młodzieńcowi. Przyjmując podany jedną, drugą ręką uchwycił jej dłoń białą, i oczy iskrzące zatopił w obliczu dziewczęcia. Żywy rumieniec okrył jej lica, a nie mogąc ręki swojej wyrwać, spuściła oczy ku ziemi. Kiedy po chwili spojrziała, młody podróżny, już się od niej od-

sunął, wypuścił jej dłoń białą z drżących ręk, ale oczy świeciły mu jak dwie lampy, i ciągle utkwione na jej oblicze.

Nagle turkot powozu usłyszeli zarazem. Pelagija z wykrzykiem radości wybiega, i na kamiennych schodkach, ściska osiwiałego ojca, a podróżny po ukłonie, wyjmuje pismo, i oddaje panu Jurowi.

Starzec przeczytawszy z uwagą, zaczął rozmowę po łacinie z przybyłym, a żona i córka dowiedziały się wprędce, że młodzieniec ten jest Włoch rodem, bogaty, nazywa się *Michelini*, i przywiózł wyborne wina z wyspy Kreta.

Prokop, parobek pana Jura, poczciwy kmicz z Pokucia, opowiadał tegoż dnia w gospodzie swoim towarzyszom, że przybył jakiś *Memec*, młody i gładki, a przybył z takiego miejsca, że tam nie ma innych zwierząt jeno same kreta, i dla tego ta ziemia nazywa się Kreta.

---

## III.

Na wysokim zamku, co górował po nad miastem, był burgrabią Białoskurski. Człek podżyły i stateczny, a cnoty niepodejrzanęj. Poważna siwizna, ubieliła mu głowę, wąsy i długą brodę. Miał dwunastu synów, wszystko wyrostki dojrzałe: bo najmłodszy dwadzieścia lat kończył.

Matka, podeszła niewiasta, kochała wszystkich synów zarówno, a jej serdeczne przywiązanie, wyznaczało się szczególnie, że żadnego prośbie nic nie odmówiła: nawet kiedy zbłądził, zasłużył na chłostę który, ukrywała przed surowym ojcem, błędy nie małe synów. Starzec, pochylony wiekiem, zajęty obowiązkami służby zamkowej, przy słabym wzroku, dostrzegał przecie niekiedy, że synowie rzadko w domu siedzą: matka jednak, na zapytanie męża, zaraz ich wy-

mawiała, tłumacząc, że poszli albo do kościoła, albo za sprawunkiem do miasta z jej polecenia. Tak upływały lata. Białoskurski żył w tém błogiem omamieniu, że synów spłodził cnotliwych: a gdyby wiedział, co tajne było i pocziwój matce, zapłakałby piotłunowemi łzami, i rzucił klątwę na bezbożne głowy.

Nie raz matka czuwając w noc długą, żeby odemknąć furtę zamkową hulającym synom, zdrzymnęła się, a przecież usłyszała zawsze uderzenie rękojeścią szabli w furtę, i co zdążyła, biegła staruszka z kluczem, psykając jeno, żeby śpiącego nie zbudzono ojca.

Nazajutrz, przybięrała postać niestrudzonej bezsennością. Ale starość potrzebuje wygody: coraz ta zaślepiona matka, dłużej czuwając, słabła na zdrowiu, nie śmiejąc nigdy zapytać żadnego, co robili? skąd wracają?

W dzień niedzielny, już dwunasta po północy na zegarze uderzyła, gdy staruszka z przerażeniem usłyszała, nie tylko silne

uderzenia w furtę, ale nawet głosy, jakby drżące z bojaźni: »Matko! otwieraj prędzej!« Zaledwie zdążyła otworzyć, wpadło pomieszanych dwunastu synów z dobytymi szablami, i zaraz furtę zamknawszy, podparli żelaznym drągiem, nakazując matce, żeby nie otwierała nikomu, chociażby jak najmocniej wybijano.

Biedna niewiasta! pierwszy raz w życiu poznała, że i jej synowie mogą być winni. Pięciu dźwigało duże tłómoki, a każdy niemal był we krwi zbroczony. Przeżegnała się z przestraczem wracając do izby, gdy synowie biegli z pośpiechem, ukryć zdobycz w tajnikach zamku. Jeszcze nie zgasiła lampki, gdy usłyszała liczne głosy, ażeby otworzono furtę zamkową. Stara uklękła przed świętym obrazem i modliła się szczerze, aby wszystko złe, Bóg oddalić raczył. Ale głosy wołały coraz liczniejsze. Wkrótce zabłysła wielka światłość, a uderzenia kilku toporów, zachwiały w posadzie mocno okowaną furtę. Zbudzony ze snu starzec, porywa na barki

węgierski kozuch, i dobywszy karabeli, z latarnią chce wychodzić, lecz ujrawszy żonę klęczącą przed obrazem: »A co Wasze tak późno porabia? gdzie synowie?«

Zadrżała na to zapytanie i umilkła: a Białoskurski, słysząc coraz rosnącą wrzawę, wychodzi na podwórze, zapytuje czego chcą, i czego o tak późnej dobie wybijają do zamku?

— »Otwórz burgrabio! otwórz! albo sami wysadzim i bramę i furtę!«

— »Na rany Chrystusowe!« krzyknął z gniewem starzec, »jeżeli się który odważy, to mu łeb odetnę, jak głowę kapusty.«

— »Nas tu więcej, nie bojemy się ciebie! otwieraj stary, bo twoi synowie, złodzieje i rozbójnicy!«

— »Tak, złodzieje! zbójcy! zawołało kilkadziesiąt głosów.

Burgrabia onemiał, na tak ciężkie zarzuty swemu imieniowi, i swojej krwi zadane. Chciał co odrzec, ale głos utracił, zadrżał,

i upadł na wilgotną murawę, bez przytomności.

Tym czasem za podwojonemi razy, furtę wyłamano, i do 60 zbrojnych przedmieszczan Lwowa, wtoczyło się do zamku. Z okropnym wrzaskiem, wpadli do mieszkania starców, zabrali wszystkie klucze, poczęli przy zapalonych łuczycach, przeglądać cały zamek. Burgrabia przyszedłszy do siebie, zawlókł się do łoża, i upadł nań zalany łzami, a biedna niewiasta, klęcząc noc całą, prosiła nieba za synów, bo w jej oczach, byli niewinnemi! Hukliwa wrzawa coraz ucichała: nade dniem mieszczanie opuścili zamek, nie znalazłszy ani synów burgrabiego, ani przemocą zabranych i pokradzionych rzeczy.

Nazajutrz kilku obywateli stanęło przed starcem, i wyliczając mu kradzieże i rabunki synów, żądali u zgrzybiałego ojca wynagrodzenia za krzywdy, i surowego ukarania rozpustnych synów. Nieszczęśliwa matka! w rozpaczycy załamując ręce, przeklinała życie własne, że doczekała się takiej hańby, a

starzec złamawszy szablę z rodzinnym herbem, plunął na nią z pogardą, i drzewo genealogiczne, wiszące w pierwszej izbie podarłszy, zdeptał nogami i wyszedł z zamku. Osłabione kroki powlókł do miasta, lecz za ledwie zbliżył się pod ratusz, głosy: »*Idzie ojciec złodziejów i zbójców,*« zakrwawiły mu serce. Spojrzał z pogardą na motłoch wrzeszczący, i w rozpacz, silniejszym krokiem wszedł do sali, gdzie stan rycerski już był zgromadzony.

Dwóch konsulów miasta: Paweł Jelonek i Stanisław Gąsiorowski, słuchali oskarżeń licznych na synów Białoskurskiego, gdzie dowodzono ich rabunki i kradzieże. Wszyscy ze zgrozą, nie nie wątpiąc o zbrodniach dwunastu synów, wołali: »Złodzieje! zbójcy! zabić! zabić!«

Konsul Jelonek powstał z krzesła, i wniósł w gronie rycerskim, aby ojca zgrzybiałego, od sprawowania urzędu burgrabiego oddać, a zamek, teraz łotrów jaskinią, pocziw szemu oddać w zarządy.



Starzec nie pomyślał nigdy o téj hańbie do wczorajszej nocy; teraz, słysząc swoje imię spotwarzone, siwiznę zhańbioną, cześć odjętą, wystąpił na środek. Spojrzał obłąkanym wzrokiem, chciał się bronić, ale upadł na środku komnaty. Litościwi przybiegli podźwignąć nieszczęsnego ojca, ale pierwszy zobaczywszy twarz zsiniałą i nabrzmiałą, porwał za rękę, i wykrzyknął: *»nie żyje!«* Na tragach wyniesiono burgrabiego ciało do wysokiego zamku, a głosy: *»Ojciec zbójców i złodziejów,«* obity się jeszcze o mury i baszty dawnego grodu, gdzie w tajnikach ukryci młodzi zbrodniarze, oszukali czujność przedmieszczan!

---

### III.

Miesiąc upłynął od tej doby, kiedy razem we Lwowie rozmawiano, o przybyłym Włochu pięknym Michelini, i o śmierci starego burgrabiego. Konsulowie miasta, litując się nad stanem biędnej wdowy Białoskurskiej, zostawili jej dawne pomieszkanie, z warunkiem, że żadnego z synów nie przechowa. Zapłakana i stroskana matka przyrzekła, a jednakże następnej nocy, otworzyła furtę zamku synom, co zaniechawszy przedmieść Lwowa, w dalsze strony na wyprawy chodzili.

Ciało zmarłego burgrabi, leżało na prostym tapczanie, okryte białym prześciéradłem; baba szpitalna, i dziad z katedry, siedzieli przy nim, a nieszczęśliwa wdowa, wpuściwszy synów do zamku, usiadła na dębowej ławie, i zczerwieniałe oczy od płaczu, zwró-

ciła na bladą twarz zmarłego męża. Dwunastu synów weszło na ów czas do komnaty, i wszyscy wieńcem uklękli w około ciała zmarłego ojca; wszyscy jednóm byli uczuciem przejęci, żalu do ludzi, co niby przyprawili o śmierć ojca: a nie pomnieli, że sami są sprawcami, zgonu cnotliwego starca. Tak teraz odychali jednóm uczuciem; jak jedno uczucie zapalało ich, co noc niemal do rozbojów i kradzieży.

Matka i wdowa zapomniawszy o zbrodniach swego potomstwa, z boleści przechodziła do radości, gdy odwróciwszy oczy od trupa męża, spojrzała na urodę swoich synów. A było czego zazdrościć: topolowej postaci, czerstwego lica, dorodni, mogli być chlubą nie jednej rodziny, podporą nie jednego ojca, i nie jednej matki. Nazajutrz po pogrzebie ojca, nocną dobą, zebrali się razem w Bartatowskim lesie: bo ci, do których powzięli urazę, sami wpaść mają w ich ręce.

Dwaj konsulowie miasta, którzy w gronie rycerskim, na Lwowskim ratuszu, słuchali

skarg na synów burgrabiego, jechali konno wązką drożyną. Noc była niewidna, a w gęstym lesie, zaledwie można dojrzyć krętą drogę. Nagle ujrzeli się oskoczeni, i nim za rękojeście ujęli szabli, już zsadzeni z koni, leżeli skrępowani na ziemi. Jeremi syn najstarszy, przystąpiwszy do Pawła Jelonka:

— «Zbrodniarzu!» zawołał wściekle, «przyczyno śmierci ojca, gotuj się na śmierć, bo jużem ci porachował godziny żywota, ostatnia wybije zaraz.»

Konsul nie stracił odwagi, a towarzysz jego począł wymową łagodzić zaciekłych napastników, gdy usłyszano tentent koni. Jeremi przyłożył do ziemi doświadczone ucho, i porachował, że trzydziestu zbliża się jeźdźców, a są zbyt blisko; dał hasło braciom i w mgnieniu oka, rozpierzchli się po lesie. Zaraz przybyli towarzysze pancerni, uwolnili więźców obu konsulów, i razem ruszyli drogą do Lwowa. Wkrótce długi poświst rozlegał się po lesie, a dwunastu braci połączonych razem, pośpieszali także drogą do Lwo-

wa. Błyskały gdzie niegdzie światła w oknach drewnianych domów na przedmieściu, ale minęli je prędko, nie zajrzawszy do żadnego domu, gdzie dawniej dowolnie plondrowali: dzisiejszy zamach był ważniejszy i lepszą obiecujący zdobycz. W rynku jest bowiem kamienica z żelaznym gankiem, przy nim złote winne grono, do sklepu prowadzą kamienne schody, a w sklepie tym mieszka pan Juro, co w alkowie ma kufer niepusty. Tam ich myśl wyprzedza kroki: przecież przed chwilą, chcieli się mścić na konsulach, za potwarz własnego imienia!

Cichość zaległa całe miasto, pogaszono już we wszystkich domach światło; rzadko gdzie na trzecim piętrze lub w poddaszu, przy lampie i szklanej bani, co blask jej powiększała, pracował rzemieślnik w noc późną, i wyspiéwywał godzinki. Przed jednym z takich domów, zatrzymało się milczące grono dwunastu braci: a zaraz śpiew na poddaszu umilkł, i wprędce stanął przed nimi młody pracownik, z fartuchem skórzanym.

Po kilku słowach, nie poszli wprost na rynek, ale ku bramie Halickiej obrócili kroki.

Nie daleko drogi wjazdowej stał domek drewniany, a przez zamknięte okiennice, dojrzyć można było, że jeszcze wewnątrz czuwano.

— «Trzeba się zatrzymać» rzekł przewodnik z fartuchem skórzanym: «widać że nie śpi, a chłop to krzepak, może wrzawy narobić.»

— «Głupiś» odrzekł Jeremi, «już ja z najmłodszym bratem poradzimy temu, że zamknie gębę na zawsze. Franciszku!» zawołał z cicha, «chodź za mną.»

I stanął przy nim młodzian, szczególnie ulubieniec zmarłego ojca. Gdy otoczyli domek wokoło, Jeremi z Franciszkiem drzwi z zawias wyparłszy, weszli do sieni, a stąd do izby nie zamkniętej wcale, w której kupiec podróżny spoczywał, i mała pobłyskiwała lampa.

Jeremi z szlifowaną szablą stanął przy łożu, śmiało spojrzął, i napotkał wzrok kupca; lecz te oczy krwią zaszłe, wysadzone na

wiérzch, grozę w nim wzbudziły. Koszula rozdarta nie zakrywała piersi, wymęczonych ciężkim oddechem, spotniałych, na które wystąpiły szerokie czerwone plamy. Jeremi popatrzał chwilę, a chowając szablę do pochwy: «tu jej nie potrzeba, on się nie ruszy,» wyrzekł.

Zawoławszy na podwórzu stojących, zaczęli zabiierać drogie futra: soboli, tumaków, białych lisów, pasy złoto-lite i adamaszki. Kupiec z obumarłym wzrokiem leżał nieruchomy; wkrótce wyprzątnęli całą izbę, i gdy połowa śpiesznie rzuciła się do *Wysockiego-Zamku*, by w kryjówkach przechować bogatą zdobycz, Jeremi z Franciszkiem i pięciu jeszcze braćmi, zwrócił się nazad do rynku.

—«Chłodno mi» wyrzekł Franciszek, «te oczy przekłętego kupca! nie zapomnę ich długo! Ale co mu było?»

—«Jakaś choroba» odpowiedział Jeremi.

«Lecz nie długo skończy, nie będzie się męczył.»

«Spocznijmy trochę; zaduch tej izby przycisnął mi piersi.»

— «I ja toż samo czuję, choć wolno idziem, pot okrył ciało, a ręce drżą jakby w zimnicy» (\*).

Zatrzymali się więc w zakątku, Franciszek osłabiony, mimowolnie przykląkł: podparł go silniejszy Jeremi, a jednak drżał cały, i pot zimny ocierał.

— «No, bracie! wstańmy, mamy wiele do roboty, spoczniemy sobie do woli, na Wysokim-Zamku.»

Zebrał siły klęczący młodzieniec, zerwał się nagle, i sporym krokiem ruszyli ku domowi Jura. Za pomocą surowcowej drabinki, mur wysoki przeleźli, i stanęli na małym dziedzińcu wewnątrz. Wielki brytan, spuszczonej z łańcucha, szczeknął zajadle; ale wkrótce zamilkł cięży szablą Jeremiego. Łano otworzyli drzwi domu, wprędce wyważyli choć okute sklepu, a coraz czując się

---

(\*) Febra, zimnica.



słabsi, odżywili zeschłe usta smaczném winem, co go z Krety przywiózł młody Michelini.

Jeszcze trzeba było jedne tylko drzwi wysadzić do alkowy, a łup bogaty, cel ich trudów, łatwo pochwyca. Franciszek, którego bladość powiększała kryta latarka, zatrzymał się nieco przed drzwiami alkowy, i rzekł do brata z cicha: «A jak się zbudzą?»

Jeremi rozgrzany winem, z uśmiechem odrzekł:

—«Zaśpiewamy im *requiescant in pace!* Albo to raz pierwszy? No! dalej, na przód.»

#### IV.

Miesiąc upłynął, jak Pelagija, oczekując przybycia ojca, ujrzała dorodnego Włocha, i dziwnych wzruszeń doznała. Dzień po dzień Michelini był nieodstępnym towarzyszem, a choć nie mógł słowami rozmawiać, zrozumieli się łącznie i wprędce nucił z dziewczęciem piosneczkę w on czas powszechną: *«Śmierć nie rozłączy, co miłość złączy.»*

Młoda Pelagija śmiała się z wymowy Włocha, a Michelini rozkochany, u nóg starego Jura błagał o jej rękę, ofiarując siebie i cały majątek. Kronikarz miasta Lwowa, Zimorowicz, mówi: *«Ze sprzedawszy wino rodzicom Pelagii, siebie samego panience w dodatku oddał.»*

I z tego dodatku rada była młoda dziewczyna, bo również pokochała Włocha.

Dzień ślubu już naznaczono, a pani Jurowa z cyprysowych kufrów dobywała ślubne swoje szaty, z tak tęgiej materyi, że je ustawiła po izbie, jak dębowe stołki. Miały one ubrać jej córkę, po trzydziestu latach błogosławnego odpoczynku pod kluczem, przewietrzane dwa razy do roku, dla ochrony od molów.

Pelagija marząc o szczęściu, usnęła twar- do; ale miasto lubych marzeń, których było pełne jej serce, widziała starego burgrabiego (a znała go dobrze), jak z rozwianym siwym włosem, przebiega lotem sokoła po ulicach Lwowa.

Michelini spać nie mógł: dopełniwszy najgorętszych życzeń, z niepokojem oczekiwał świtu, który zwiastował zbliżoną porę ślubu. Przewracał się na łożu, przeklinając noc zbyt długą, chociaż w istocie była krótką, jak na początku miesiąca Sierpnia.

Nagle zerwał się, bo usłyszał szczeknienie zajadłe brytana: lecz gdy stróż czujny zamilkł, położył się spokojnie, i mniej zważał

na szmer cichy, zbliżający się coraz, który prze-  
rywał głośniejszy łoskot, jakby drzwi siłą  
rozwiéranych. Cały w zadumie dnia jutrzej-  
szego, po północy usnął i marzył o szczęściu  
swojem.

Tymczasem pięciu braci, i przewodnik ze  
skórzanym fartuchem, stanęli pod Wysokim  
Zamkiem: nie stukali do furty, ale przez  
wyłom tajemny w murach, poprzedniej wy-  
kowany nocy, weszli łatwo, w lochu zam-  
kowym złożyli zdobycz nie małą, a sami  
zmordowani upadli.

Matka ich wdowa, nazwyczajona do oczekiwania występnych synów, trzymając klucz od furty w ręku, czuwała w noc późną, nadstawiając ucha, czy nie usłyszy przybyłych, i zwracała oczy, jak dawniej na łożo męża swojego, w obawie aby go nie zbudzono. Starzec przecie już w inném spoczywał łożu, a czarna ziemia zasypała mu oczy, by nie patrzył na własne spodłone potomstwo.

Kiedy świtać zaczęło, stara przespawszy się nieco, poszła do kryjówki znajomej sy-

nów: znalazła z podziwem drzwi otwarte i trzech synów śpiących. Zbliży się do nich, gdy widzi przestraszona, że nie sen ich ujął! Oczy krwią zaszła, wytrzeszczyli okropnie, a chrapaniem jeno objawili męczarnie: wszystkie żyły krwią nabiegły.

Stara rozrywa koszulę, chce piersi nacierać, gdy ujrzała wielkie czerwone plamy.

«Boże! wykrzyknęła upadając, to powietrze!»

---

## V.

Piąta uderzyła na zegarze ratuszowym, już i słońko weszło, gdy Prokop parobek pana Jura, wyszedł na podwórze. Pierwsze co zobaczył, był zabity brytan, łeb odcięty, na skórze się jeno utrzymywał: zdziwiony i przestraszony, dał znać panu. Juro domyśl-

niejszy jak parobek, pobiegł co rychlej do alkowy, lecz zobaczywszy nie tknięty kufer, uspokojony żałować począł czujnego brytana, który życiem przypłacił wierności, bo złodzieje, zapewnie jego czujnością ustraszeni, nie śmieli posunąć się dalej.

Parobek zamiatając dziedziniec, wraca znowu do pana, i pokazuje zdjętą z muru surowcową drabinkę. Juro co rychlej otwiera drzwi z alkowy do sklepu, za nim od dawna ubrany Michelini idzie, i zaraz matka z gładką Pelagiją, cisną się ciekawie.

Choć silnie gospodarz domu pełną drzwi okute, coś zawadzało z drugiej strony. Michelini pomaga, roztwierają wreszcie, lecz obaj cofają się z przestachem. Pani Jurowa z krzykiem ucieka, a śmielsza Pelagija, przytuliła się do zaręczzonego kochanka. Ale ledwie zajrzała do sklepu, drżąca zakrywa oczy.

Pod drzwiami leżał najbliżej Jeremi, biała piana okrywała mu sine usta. Podarte odzienie i koszula, okazywały większą część ciała nagą. Dalej siedział, a raczej klęczał opar-

ty o beczkę wina młody Franciszek, choć oczy stały kołem, nie był tak straszny, bo zastarzałej zbrodni rysy, nie szpeciły szlachetnego z urodzenia oblicza: krócej się męczył, bo od godziny wyzionął ducha. Jeremi jeszcze rzucał ciałem, a zaraźliwy oddech, zgnilizną napełniał sklep! cały.

Pelagija zachwyła czystym oddechem, oddech zbrodniarza, i padła zemglona: wyniósł ją na ręku Michelini. Wprędce wieść się rozlata po mieście o złapanych złodziejach u Jura, i tłumy zebrały się na ulicy wokoło domu.

Ale sklepu nie odmykano; wyniesiono obu dwu na mały dziedziniec, gdzie wkrótce i Jeremi skonał.

\* \* \*

Wolnym krokiem, z Wysokiego - Zamku, schodziła wdowa burgrabiego, obwiniona białą płachtą; jak widmo grobowe przeszła wokoło ratusza, a stanąwszy nie daleko tłumowi zebranemu przed domem Jura, przeraźliwie wykrzyknęła «*To powietrze!*» A w tej

chwili lud przestraszony, z drżeniem na wszystkie się strony rozleciał.

Jedno słowo, jak błyskawica, obiegło wszystkie domy we Lwowie, klasztory, przedmieścia, i wsie okoliczne, a słowo to raziło jak piorun. Z wrzawą i krzykiem, z płaczem i drżeniem, to roztwierano drzwi i okna domów, to zamykano szczelnie. Wszystkie rozwarto kościoły, a lud w trwodze, u stopni ołtarza szukał ocalenia.

Konsulowie miasta kazali uderzyć we wszystkie dzwony, i wytoczyć działa ze zbrojowni, ażeby nagłym poruszeniem powietrze oczyścić. Huk dział mieszał się z odgłosem dzwonów; gdy pobożni, święconymi ziołami kadzili izby i z Loretańskimi dzwonekami obiegali domy. Zapalono stosy drew suchych na rynku, a processyje kapłanów, wolnym krokiem z chorągwiami i krzyżem, obchodziły w około miasto i wszystkie ulice. Wyniesiono obraz świętej Rozalii, jako patronki od morowej zarazy, a hymn na jej cześć, zaśpiewały wszystkie usta.



W pośród téj wrzawy i trwogi powszechnej, stara Wysokiego-Zamku, wolnym przechodziła krokiem, wołając drżącym i zmienionym głosem: «*To powietrze!*» Widok niewiasty rozpędza tłumy. *Powietrze! powietrze!* wołają zewsząd, i wystraszoną ręką wskazują na starą: a ona nie słysząc wrzasku, usiadła na kamieniu przed ratuszem, gdzie winowajców tracono, i pogrobowym głosem zanuciła początek znanéj pieśni, pieśni trwogi!

*Kto się w opiekę odda Panu swemu,  
A całym sercem szczerze ufa Jemu,  
Śmieie rzec może: «Mam obrońcę Boga,  
Nie przyjdzie na mnie żadna straszna trwoga.»*

\* \* \*

*Ciebie on z lowczych odzieży wyzuje,  
I w zaraźliwém powietrzu ratuje:  
W cieniu Swych skrzydeł zachowa cię wiecznie,  
Pod Jego pióry uleżysz bezpiecznie....*

Głos jej niknie, obwija białą płachtą głowę, i upada bezsilna na kamień, gdzie ślady krwi jeszcze widome: bo wczoraj zbro-

dniarza głowa, odcięta od kadłuba, taczala się po nim.

---

## VI.

Bartłomiej Zimorowicz, konsul później Lwowa, tak opisuje zgon czarno-brewiej Pelagii i jej kochanka. Własne jego przywodzimy słowa (\*).

«Powietrze do domu Pelagii wcisnęło się także, i na nieszczęście, pierwszą z domowników porwało! Do ogródka tedy na przedmieściu, on kwiatek jakby pługiem podcięty

---

(\*) Historia miasta Lwowa, królestw Galicyi i Lodomeryi stolicy, z opisaniem dokładnym okolic i potrójnego oblężenia, przez Bartłomieja Zimorowicza, Konsula niegdyś tegoż miasta, od najdawniejszych czasów aż do r. 1672, po łacinie napisana, przełożona pracą Marcina Piwockiego, Lwów 1835 r. str. 252.

zanoszą: rodzice za trupem żyjącym jeszcze z daleka idą. Sam Michelini wyprosiwszy sobie przystęp do łoża panny, który mu do tych czas był zabroniony, przy omgławającej ustawicznie siedział, w okładaniu plastrami usługiwał, łzy lub pot osuszał, w ostatnim skonie cieszył, umierającej oczy niestety! swoje niegdyś w miłości wodze, zawarł; ducha na koniec ostatniego, przychylnemi przyjął usta. To czyniąc, niczego więcéj nie żądał, jak rychłego skonu. Sam ciało łzami obmyte, w Cerkwi Błahowiszczenia złożył!»

«Śmiałym go zrobiła miłość, ale nie uwolniła od nieszczęścia, bo po dziewięciu dniach, tegoż samego co i Pelagija padł nieszczęścia ofiarą. Przy skonie jednak swoim o Pelagii nie zapominając, martwe swe ciało w przyległym kościołku Śgo Stanisława pochować, i dwa kamienie, miłości swéj świadków, na obudwu grobach, postawić kazał. Posłuszna téj woli rodzina, dwa równe kamienie z dwoma sercami laurem uwieńczonemi, wyrytemi na grobach, położyła, z dodanym wier-

szem Szymona Szymonowicza :

*«Śmierć nie rozdwaia,  
Co miłość spaja.»*

W rok później, pięciu braci Białoskurskich schwymano na rabunku : bo siedmiu padło wraz ze starą matką i tysiącami mieszkańców miasta Lwowa, od grasującej morowej zarazy, co od Sierpnia do Grudnia, wyludniała miasto i okolice, a dopiero z mrozami ustała. Pozostali Białoskurscy, marnie poginęli, jak wyraża przytoczony kronikarz : «po wszeteicznych domach i karczmach życie stracili, i krew' przelali» (\*).

Powietrze to długo trwało w pamięci mieszkańców Lwowa, a jeden z poetów ówczesnych, żywy nam obraz tej okropnej klęski zostawił, kończymy jego słowami :

*Wielka porażka, któż to zliczyć może?  
W ludu twym padła, wszędzie bojny Boże!  
Oprócz krwi kędy, miecz Twój niewidomy  
Spustoszył domy!*

---

(\*) Historyja miasta Lwowa str. 247.

*Nie pomogły nam twarde zamykania,  
Nie pomogły nam osobne mieszkania,  
W najtwardszym sklepie, gdzie Bozka moc wlaźła,  
Wszędzie znalazła.*

*Omierzyles nam właściwe mieszkania,  
Chroniliśmy się swego budowania:  
Pod kotarami w polu, acz nie miło,  
Mieszkanie było.*

*Żaloszne było na pola pojrzzenie,  
Na niepotrzebne patrząc oblężenie:  
Gdzie ludzi pełno pobitych, krom zwady,  
Legły gromady.*

*Już ani sąsiad, ani brat rodzony,  
Nic chciał cię przyjąć pod swoje zastony:  
Ciała bez dusze po walech (wałach) leżały,  
Przez czas nie mały.*

*Tam ptastwo polne trupy się karmiło,  
I co z żalością wspominać by było:  
Psów stada zawsze śledząc między niemi  
Pasą się jemi.*

*To potopowi klęska równą była,  
Co kiedyś ziemię wszystkę dżdżem przykryła.  
Tak teraz ludzi okwito śmierć zniosła,  
Kiedy się wniosła.*

**Już zapalczywość niechaj sroga stanie,  
Niech się ukoj Boże rozgniewanie:  
Bo pokarawszy, racz pocieszyc mały  
Lud pozostały (\*).**

---

(\*) Pieśń gockim drukiem z XVI wieku, osobno w pół arkusza drukowana, bez miejsca i roku.



## VI.

### Policzek pamięśki.

#### GAWĘDA MOJÉJ PRABABKI.





Byłam dawniej i młodą i gładką. Tateńko i mateńka mieszkali *taki tak* na wsi, na Litwie: a ja skończywszy *pensyje*, już w domu oczekiwałam, rychłoli Pan Bóg zesle jakowego *konkurenta*. Miałam rok dwudziesty, *ta* dobrze wszystko zapamiętać mogę: wielu było Litwinków, co bardziej dla wiana starali się o rękę; ale każdemu mój Tateńko dał od kosza.

W lato, może godzina jedénasta biwszy, na siwój klaczy z pacholikiem zajeżdża szlachcic z Mazowsza, i prosto przywiązawszy konie u kółka złotego przy słupie na dziedziń-

cu (a), wszedł do komnaty: *ta* zdjął czapkę, zawiesił na szabli, poprawił wylotów, i nisko a grzecznie nam się wszystkim uklonił. Mój tateńko przyjął go uprzejmie: *ta* kazał dać śniadanie i rozpoczął rozhovor.

Szlachcie począł o swoich rozprawiać interessach, ale coraz rzucał oczyma na mnie, głąskał czupryny i pokręcał wąsa. Tateńko zaprosił go na noc, co nie wzbraniając się, przyjął.

Na drugi dzień, kiedy rodzicowi mojemu cały stan substancyi swojej opisał, zarazem przytém oświadcza się o mnie, i prosi o rękę, zapewniając, że skoro otrzyma *deklaracyje* rodziców, ukaże i klejnot szlachectwa,

---

(a) Było zwyczajem, że na środku podwórza, stał słup wkopany, a przy nim trzy kółka: złote, srebrne i żelazne; złote dla panów, srebrne dla szlachty i dworzan przeznaczone, żelazne mieszczanom i kmieciom. Kto się pomylił, często odbierał napomnienie słowne, a częściej korbaczem rzemiennym.

z genealogiczném drzewem, i majątek jaki posiada.

Mój tateńko i mateńka, zdziwieni takiém zuchwalstwem onój chudzinki, poczęli śmiać się na boku, i ułożywszy że zadrwią z *ślepego Mazura*, przyrzekli mu solennie rękę panny Barbary. *Ta* i ja się śmiałam serdecznie; a szlachetka gwałtem prosił, by mu termin oznaczyli.

Jakoż, oznaczyli za trzy miesiące.

Mazur *ta* nie długo się bawił, wsiadł na siwą kobyłkę, pacholiczek za nim, i ruszył z kopyta.

Także po śmiechu tateńko się pomiarkował, jak źle uczynił, że chociaż takiej chudzince dał przyrzeczenie, a dotrzymać go nie myślał. Już zbliżał się i termin, wysłano mię do serdecznych somsiadów, o trzy mile, obawiając się, by zuchwały *koroniarczyk* nie nadjechał.

Co sobie wrózano, *ta* zjściło się do odrobinki. Na dzień przeznaczony, on chudzinka przyjeżdża, ale nie na kobyłce siwój, *ta*

śliczną kolaską z wyłaczanemi gałkami, a na łańcuszkach (b), za nim kilkanaście rumaków podwodnych, a kilkadziesiąt kolas pełnych koroniarzy i koroniarek. Wszak nie zajechał do dworu ale do karczmy, i począł wypytywać się, czy jest panna Barbara w domu.

Zaledwie z gospody znać dano rodzicom o jego przyjeździe, z tak wielką kalwakatą, a tateńko i mateńka wystraszeni, nie wiedzieli co czynić; zajechał do dworu i z gęstą i śmiałą miną, wszedł do komnaty.

— »Kłaniam Waszeci!« rzekł do tateńki, muskając czuprynę podgoloną. »Przybyłem na oznaczony termin, bo u nas *verbum nobile*, słowo szlacheckie, każdy święcie szanuje: spodziewam się, że i Waszec na to pamiętny; bo inaczej, na Śgo Stanisława!« zakrzyknął w gniewie, »gotów'em uszy poobcinać.«

---

(b) Łańcuszki te, zastępowały dzisiejsze re-sory.

*Ta.* Po tych słowach zaczął kańczugiem machać, i dobył serpentyny do połowy z pochew.

— »Gdzie jest moja Basia? « zarzekł surowo tateńko.

Mój tateńko *taki tak*, nie wiedział co odrzeknąć; mateńka po chwili odrzekła, że jest w sąsiedztwie, ale już po nią posłano. Jakoż wnet podstarościego *po mnie wystawszy*.

Szlachcie tym czasem ze swatami i družbami, a wszystko było zuchwałe ślepe Mazury, pił wódkę i zajadał śniadanie! a potem skłonił się grzecznie i oświadczył, że przybędzie po obiedzie, złożyć swoją *submissyą*, uderzyć czołem tateńkowi i mateńce: i mojej, jak już nazwał, pannie Barbarze.

Ja ni o czém nie wiedząc, zobaczyłam z ogrodu podstarościego naszego, co sadił na gniadym pojezdku. Cały potem zlany, *ta* zeskoczywszy z siodła, oddał list mateńki: przestraszona poczęłam czytać.

»Sercem najukochańsza Basieczku!«

Czegośmy się obawiali, *ta* zjściło się do kropelki. Zuchwały od Mazurów konkurent z sutą kalwakatą przybył, i jeszcze dziesiąta na zegarze nie *biwszy*, jak stanął u nas na dworze, i twojój się ręki dopomina. Zacięty *ślepy Mazur*, nie chce ni o czém słuchać, mając przyrzeczenie nasze: potrzeba Basieczku zaraz przyjechać, i wyraźnie zuchwalcowi odmówić.«

Przeczytawszy pismo mateńki, *taki tak*, wsiadłam do kolasy, i we trzy godziny, już byłam w domu. Tateńko kazał mi się wystroić, a ja poszłam do mego panińskiego pokoiku. Już czekały panny służebne, i jedna z nich Zosia, najdawniejsza w służbie, poczęła się dziwić nad wystawną kalwakatą, pana Bartłomieja Chorążego.

—»Mój Boże! ktoby się spodział! żeby to był ten sam, co tu przyjechał na siwój kobyłę, z jednym pacholikiem. A wszak ci to zajechał do gospody, jakby kniaź jaki

albo Wojewoda. Tyle kolas! a w każdej i białych głów nie mało, a jak to postrojone! A *ślepe Mazury*, jak ich stary nasz Jegomość nazywa, postroili się, że od kamieni drogich, szabli nie widać, a złoto aż kapie.»

Nic nie odrzekłam, bo prawdę mówiła. W tém dano znać, że Pan Chorąży już przyjechał, oczekuje z drużbami na mnie. Ubrana czém prędzój i wysznurowana, *ta* wychodzę do komnaty bawialnej cała drżąca, i dygnęłam pokornie. Rzucę okiem, i dojrzałam Pana Bartłomieja Chorążego. Był dorodny, choć nie młody; stał z uszanowaniem. Żal mi go było; ale mateńka stojąc przy mnie, rzekła z cicha:

—«No! dalej Basiu! mów.»

Nabrałam odwagi i siły. *Ja* dygnawszy, rzekłam poważnie, jak mnie Mateńka nauczyła.

«Kłaniam, Waszeci! i dziękuję za jego afekt ku mnie skierowany; ale z tego nic nie będzie.»

—I już chciałam się zawracać, gdy mo-

cny policzek obalił mię na ziemię, *ta* padłam bez duszy, i tylko krzyk słyszałam.

Jak mi potem Mateńka mówiła, było tak.

Pan Bartłomiej Chorąży, odebrawszy ode mnie taką odpowiedź, uniesiony passyją, dał mi policzek ognisty, a gdy upadła, obróciwszy się do swoich :

«Przyjaciele!» zawoła, «czy dozwolicie, aby tak z Waszego Chorążego brata drwiono? Dalej za mną! A ty!» krzyknął porwawszy tateńkę za bary: «dalej *djable z Polesia!* chodź spróbuj się ze ślepym *Mazurem*, jak nazywasz, a zobaczysz okowidnie, że Mazur choć ślepy, poobcina ci uszy.»

I zaraz druźbowie jego krzycząc poczęli: «Na szablach go roznieść, w sztuki posiekać, porąbać!»

Na on czas mateńka padła na kolana przed panem Chorążym, przyrzekając, że wyda córkę najchętniej, że to nie ich wina, i że wszystko do ślubu gotowe.

Jakby wodę na ogień, *taki tuk* słowa mateńki skutek miały na pana Bartłomieja. Scho-



wał szablę do pochwy, uciszyli się družbowie, a ja oczy otwierając, ujrzałam pana Chorążego przy łożu mojem, i jako mnie całował po ręku, nazywając swoją kochaną Basiączką.

Nazajutrz w Kaplicy ślub wzięliśmy, otrzymawszy błogosławieństwo rodziców: a pan Chorąży z radości, całował w kolana Mateńkę i Tateńka.

Przy uczcie, Mazury pili z trzewików naszych, a w miesiąc do dworu męża wyjechaliśmy z Mateńką.

Żyłam z nim lat 26. Był mężem jak najlepszym, *taki tak* spokojny, grzeczny, uległy; kochałam go szczerze, a afekt nasz pomnażał się potomstwem, pięciu synów, i czterech córek, które wszystkie na chwałę Boską w cnotach chrześcijańskich wychowałam.

Ile razy wspomnę *ta* swego kochanego Barteczka, zawsze gorzko płaczę; bo to był mąż i ojciec razem: a jednakże szczerym afektem gorzał, *ta*, do grobowej deski. Niech mu Bóg dobry da niebo, i zbawienie duszy. Amen.





## VII.

# WIDZENIE.

## GAWĘDA z KONCA XVIII WIEKU.

Wszystko się dziwnie plecie,  
Na tym tu biednym świecie:  
A koby chciał rozumem wszystkiego dochodzić:  
zginie, a nie będzie umiał w to ugodzić.

*Jan Kochanowski.*

117

VII

WISCONSIN  
GAYBOND & KONGA XVII WIERD

Wisconsin is a state of  
the United States  
A large part of the  
state is covered by  
forests and is a  
great source of  
timber.

— 280 —

«**Z**a mej pamięci, dziatki moje, (prawił dziadek pan Stanisław z Wierzbowa do wnuków swoich), nie było tyla mędrków co dzisiaj, więcej się modlili ludzie, i więcej wierzyli w cnda, a widzenie. Nie wstydzano się odmawiać na klęczkach codziennie rano i w wieczór paciérza, a przy stole modlitwy. Ojciec pilnie baczył, czy pobożnie odbywa się paciérz, a niechno zobaczył nieprzystojność jakową, wnet kańczug *boćkowski* (1) był w robocie. Bo dawniej, dziatki, ojciec i dorosłego karciał syna, nie zważał, że chłop pod wąsem. Książę pan stary Radziwiłł, syna swe-

go sławnego *Panie-Kochanku*, Miecznika orderowanego, za przewinienie, piędziesięciu plagami ukarał. W drodze pan zawsze śpiewał nabożne pieśni, a słudzy i czeladź powtarzali. Jeden pan z Kirakowskiej ziemi jechał, a śpiewał: *«Kto się w opiekę poda Panu swemu.»* Kucharz dla żartu zanucił: *«Prosię upiekę, podam panu swemu.»* Dosłyszał pan igraszkę: »*Stój!* zawołał! weźcie go! i hajducy rozciągnęli winowajcę. Sto plag tęgich przylepiono, a gdy ledwie dosiadł bryczki zbity kucharz, z całą potem skruchą, śpiewał pieśń nabożną. Jako modlono się szczerze, tak nie było mędrkowania, wiercono mocno w co ojcowie starzy wierzyli, i lepiej nam z tém było. Oj! tak, lepiej! bo w każdym utrapieniu, w każdej dolegliwości, człek miał pociechę i pomoc, w tym miłosiernym Bogu, którego imię, niech będzie pochwalone na wieki! Dzisiaj, drwią z piorunów, budują jakies tam żelazne pręty! Miły Boże! pewniejszy był Loretański dzwonek (2). A jak chmura czarna nadpłynęła, grożąc gradem i czém

gorszém, zaraz klecha z organistą nuż do dzwonicy, nuż serce rozbujane bić o ściany święconego dzwonu, a że dobyli głosu, co rozpędził chmury, i nawałnicę. O! święte czasy, gdzie czołem nie wstydno Bogu było uderzyć. Każdy téż przed ołtarze padał ze skruchą na kolana, ale gdzie indziej nie łatwo ugiął karku i kolan, stał wszędy by dąb, i ledwie czapki uchylał. A bywało w podróży, to śpiewa, stanie na nocleg, to modlitwa i krzyż pański, i nie raz zbawiało to duszę. Ja sam jakem był na Rusi, osma-gać kazałem dziewczkę nierobotną: o! długo pamiętała to, jój stara mać czarownica. Kiedym zapomniał o tém, w przejeździe sioła, wyszła stara, nuż prosić pokornie abym czarę miodku wychylił. W dobrej wierze, biorę szklankę, ale wedle swego zwyczaju, nimem do ust nagiął, przeżegnałem, aż tu brzdęk, i dno całe wyleciało, a baba ze strachem uciekła. Widzita dziatki, tam były czary, co nie mogły wytrzymać przed znakiem krzyża świętego. We śnie też Pan Bóg przysyła prze-

strogę, jako raz panu Wojewodzie, u którego dworsko służywał. Jeszczem był pacholęciem, kiedyśmy się wybrali w podróż do dóbr w Ukrainie. Jedziem i jedziem, jakoś siódmego dnia, wjechali'm w długą i gęstą puszcę. Już noc za pasem, a tu ani dachu, ażeśmy dzięki Bogu dojrzelili karczemkę lichą i brudną. Nie było przecież w czém wybierać, tém więcej, że zabięrało się na burzę, czarne chmury by która nad łóżem, całe okryły niebo. Żyd już spał, czy udawał, ale jak go hajduk jedną ręką wziął za brodę, a drugą za *boże poszycie* (3), wytrzęźwiał zaraz. Wypędziwszy bachorów, wyrzuciwszy śmiecie, rozpalono na kominie ognisko, wykadzono bursztynem izbę, a pan Wojewoda, miał legnąć do snu na świeżem sianie. Kucharz przyrządzał wieszczką, dworzanie gwarem napełniali małą stajnię, i alkierz przyboczny, skąd żyda wyrzucono. Ja małyć żaczek, uwijałem się rzeźwo, dojrzałem, że karczmarz żydka młodego wsadził na swego konia, i coś mu kładł na ucho w uboczu: przy-



szedłszy więc opowiedziałem panu. Ale Wojewoda ufny opiece Boskiej i liczbie dworzan i czeladzi zbrojnej, spokojnie zjadłszy wieczerzą zasnął: usnąłem i ja przy nogach pańskich, rzuciwszy parę więzi siana. O północy, przed pierwszym pieniem kurów, zerwał się pan Wojewoda, (a nie śpiąc wszystkom baczył), ukląkł, a pomodliwszy się nieco, znowu zasnął. Jam już oka nie zmrużył, jakiś strach dziwny wziął mię za boki. Kiedy kur pierwszy pieje, pan Wojewoda zrywa się znowu, pada krzyżem i woła: «Niech się stanie Twoja wola Panie, kiedy mi przestrożę w tém przesyłasz.» I zaraz kazał mi wstać, zbudzić ludzi jak najciszej, żeby się mieli co rychlej do broni, bo Hajdamaki, już są za pazuchą. I sam się co prędzej ubrał, kazał wrota zawarować, do izby przywołał sześciu dworskich ze strzelbami, sam podsypał *szturmak*, wysypawszy weń garść całą siekańców. Pacholik wysłany na zwiady, z dymnika ujrzał gromadę zbrojnych.

—Więc to prawda, (rzekł sam do siebie

Wojewoda), com we śnie słyszał i widział. «Święta Twoja wola Panie mój! niech się stanie.» Nie długo już jako na dłoni, dojrzelim gromadę i jezdnych i pieszych, a każdy zbrojny, to w samopał, to siekiere, szablę, i pistolety. Zdala na koniu siedzącego poznałem żydziaka, co go wysłał nasz karczmarz: z cicha on świstał, kasłał, widać dawał hasło, ale mu nie mógł odpowiedzieć zdrajca, bo leżał na bryce w pieluszkach z powrozu, z zakneblowaną gębą. Hajdamacy po krótkiej naradzie, sunęli z siekierami wrota stajenne wywalać. W on czas pan Wojewoda zmierzył szturmakiem, zabłysło, huknął wystrzał, wyleciały szyby z okna, a za nim płótem siekańce, które celu nie chybiły. Co padło, nie wiem: ale jęk był wielu, a coraz go więcej, gdy dworzanie raz po raz sypali ze strzelby. Jeden wziął żydziaka na oko, i tak dobrze, że ugodzon w samo czoło, spadł z konia martwy. Osłupieli na to Hajdamaki, poczęli uciekać, ale wkrótce w oddaleniu się zbrali. Co ujrzawszy pan Wojewoda, zawołał:

— «Teraz dalej zaprzęgać co rychłej, broń nabić, te psu-braty zapalą karczmę; (i dodał ciszej), wszystko prawda, com baczył we śnie.»

We dwa pacierze jużśmy na brykach siedzieli, a każdy ze strzelbą gotową: i kiedy rozłtarło wrota stajenne, już dach był cały w płomieniach. Ruszyli-m z kopyta mając żyda w trokach, a choć zmykali-m żywo, dosięgły nas kule hajdamackie. Kilku z czeladzi odniosło rany, pan Wojewoda miał dwa razy przestrzeloną czapkę: dzięki Bogu, nikt nie zabit. Kiedyśmy już przecie wybili się z puszczy, pan rzekł do mnie, bom w nogach u niego siedział:

— «Widzisz, mój Staśku, jaka Opatrzność Boża czuwa nad nami! Chociaj mówią: «*Sen mura, Pan Bóg wiara*» a przecież we śnie wszystko mi przepowiedział, świętej pamięci mój rodzic! Kiedym zasnął, stanęła przede mną jego postać sędziwa: «Synu! (rzekł do mnie), obudź się! Żyd sprowadza hajdamaków, już są nie daleko.» Stanąłem na nogi,

23\*

a nie wierząc widzeniu, po modlitwie usnąłem. W on czas, raz drugi stanął przede mną, i groźniej zawołał: «Synu mój! powstań! zwołaj ludzi, bo hajdamaki są nie daleko, i zaledwo masz czasu do obrony, a co rychlej dosiadaj, bo jak ich postrzelasz, zapalą domostwo! Wstań! słuchaj! i ufaj Boskiej Opatrzności.» O! zadrżało mi serce więcej wtedy, jużem nie usnął, a sam widziałeś, że wszystko prawda jako wyrzekł» (4).

\* \* \*

Na te słowa starca, wszedł syn jego Jędrzej, prowadząc z sobą pana Jacka, sąsiada z poblizkiej wioski, dawnego dworusa, a dziś rolnika na swojej grzędzie. Rad go ujrział starzec, i proszony, powtórzył co do słowa, o śnie Wojewody. Wtedy pan Jacek rzekł:

Wszystko to święta prawda, co Jegomość wnuczkom prawi, boć i w moim żywocie, nie raz doznałem przestrogi we śnie. Aleć nie raz i nie we śnie, a człek miał *widzenie!* ja sam raz w życiu, alem co się nasłuchał!

— Jakoż to było? zapyta starzec ciekawie.

Niechno Jegomość pozwoli wytchnąć sąsiadowi (rzekł syn z uszanowaniem), bo zziąbł nieco, a na wieczerzą przyszedł. Kurdulo! Kurdulo! (zawołał na żonę), niechno się pośpieszą z jadłem, bo czekamy.

\* \* \*

Skrzętna gospodyni, co rychle zastawiła wieczerzą sutą, złożoną z piérogów tatarczanych z serem, i jagłów ze słoniną. Napiwszy się podpiwku, Jacek otarł wąsy, a usiadłszy na ławie bliżej starca, począł prawić: dziatwa obsiadła wieńcem przy nogach dziadka, gospodarz domu pan Jędrzej, słuchając powieści, rozebraną strzelbę przeczyszczzał, a żona jego, przędła na kołowrotku.

### *Gawęda pana Jacka.*

Będzie temu z lat piędziesiąt, jakem służywał u pana Starosty, blisko Złotoryi: było to miasto dawniej nie małe, i w mury nie

ubogie, a nawet warownie: bo jakem sły-  
szał od swego pana, długo się tam bronił,  
jeden ksiązę z Piastów, co chciał króla Wę-  
grzyna z tronu zrzucić, ale mu się nie uda-  
ło, i w pojedynku, zrzucony z konia, pod-  
dać się musiał (5).

Pan Starosta mieszkał na zamczku swoim:  
było to murowane, stare, i nie małe domo-  
stwo. Jakaś zawierucha była w kraju, często  
napadano dwory; mój pan myśliwiec zawo-  
łany, coby i kulawego Twardowskiego z pie-  
kła pokonał, mniój dbał na to, bo miał i  
strzelby dostatkiem, i luda nie mało, a wszyst-  
ko strzelcy zawołani, bo u niego czy dwor-  
zanin, czy z czeladzi, musiał dobrze strze-  
lać: dla tego stajennych wszystkich, parob-  
ków, ogrodników, miał z *Kurpików*, co kulą  
zrzucali z drzewa ptaszki małe. Jakoś w ta-  
ką jako teraz grubęj jesieni dobę, miał du-  
żo Starosta gości u siebie: zacząwszy jeno  
co wieszczę, powstał, i mając pokazać go-  
ściom jakąś księgę, poszedł do swojej alko-  
wy, zdjął ze stołu, chciał wrócić, a krzy-

knął, i upadł na ziemię. Właśnie przechodząc, krzyk straszny usłyszałem pana: wbiegam, i widzę leżącego bez pamięci. Zawołałem pomocy, ledwie przyszedł do siebie, już nie mógł stać o swęj mocy, położyłem go w łożu.

Pan Starosta kazał mi spać w komnacie ale sen nie przychodził ani mnie, ani panu, rzekł więc około północy do mnie:

— „Jacku! zamknij drzwi na klucz dobrze, każ spuścić wszystkie psy, ich odgłos rozweseli taką cichotę u nas.“

Zrobiłem jak kazał, ale psy jakby im zakneblował pyski, żaden nie szczeknął. „Jacku (zawołał nie długo), zapal święconą gromnicę, zasun kotarę od łoża.“

Gorzała jasno gromnica, a za kotarę słysząc, że pan usnął i ja zdrzymnąłem. W godzinę, psy zawyły, a Starosta krzyknął, rzucił kotarę, wyłupił oczy, i wskazał w kąt drzwi: jam patrzył, alem nic nie widział, przeżegnawszy się wstałem, pan Starosta odetchnął i płakać począł. — „Jacku! mój

Jacku, (wyrzekł po chwili, a gdym przystąpił, ujął rękoma za szyję, głowę wsparł na ramieniu płacząc), czyż zawsze będę to widział?

— I cóż Jasne pana trapi? zapytałem nie śmiecie.

— Już to raz drugi, widzę swojej świętej pamięci matkę: pierwszy raz wystraszony omglałem, ale teraz patrzyłem oko w oko, ona mię błogosławiła, i założyła jedną kartę w księdze nabożnej, przynieś mi księgę.

Drżący przyniosłem, pan Starosta przewracał karty, jedna była świeżo założona, a była tam modlitwa »za umarłych.« (6)

Upadł Starosta na kolana, padłem i ja za nim, modląc się za duszę: już kury piałły, gdyśmy zasnęli. Rano wstawszy, dał na mszę świętą; odprawiono nabożeństwo w parafii i w Złotoryi, i więcej już nie miał pan Starosta żadnego widzenia.

\* \* \*

— A Waszcé sam coś widział? zapytał starze c.



Jacek się zmięsział: czerwień wybiła mu na lica, snąc ze wzruszenia, nie miłego wspomnienia, które utopił jak kamień w wodę, na dno przeszłości. Po chwili, odmówiwszy cichą modlitwę, rzekł :

Kiedy umarła pani Starościna, pogrzebano ją na smętarzu, na stypie było dużo gości, którzy i zanocowali, a to tak jakoś wypadło we trzy lata, po *widzeniu* Starosty. W dużej jadalnej izbie, nasłano siana, przykryto kobiercami, i wszyscy legli pokotem: ja, tuż komina strudzony, zasnąłem. Blisko północkska, budzę się, widzę śpiących wokoło, słyszę chrapiących, na kominku tłała jeszcze głównia. Przetarłem oczy, począłem mówić modlitwę poranną, bo mi się zdało, że już świta. Aż tu nagle, skrzyp drzwiami od sypialni państwa, i wychodzi zmarła pani, tak ubrana jako pochowana. O! mój Boże! jakem się nastraszył, co język nie opowie. Idzie, idzie, mija wszystkich, staje przede mną, i cichym ale wyraźnym mówi głosem :

—Jacku! biegniej do pana, ja w grobie żyję, ratuj ciało i duszę!

I znikła: zerwałem się równemi nogami, budzę wszystkich, biegnę do pana, opowiadam widzenie. Nikt uwierzyć nie chciał, ale wierzył sam pan Starosta. Co rychlej, biegniem na smętarz, rozświecono pomrok nocy, pozostałemi od pogrzebu pochodniami, aż w drodze spotykamy dziada, co biegł donieść, że słyhać jęk, w świeżym grobie pani. Zadrżał Starosta, załamał ręce wybladły, struchleli wszyscy. Przybiegamy, łopatami, rękoma grzebiem, a jęk coraz wyraźniejszy: już widzim wieko trumny, odważam toporem, o cudzie! pani żywa leżała na twarz, jęcząc słabo. Porywam w poły, wydźwigam z grobu, a owiniętą w futro, zanoszę do dworu. Ożyła, dzięki Bogu! medyk sprowadzony z miasta, ręczył za życie. Jakż to radość na całym dworze, boć to była dobra, i cnotliwa niewiasta, a kochana pani. Żyli z sobą jeszcze lat dziesięć, mieli i potomstwo, dwóch synów i trzy córki.

—Skryte są wyroki Twoje Panie! wyrzekł starzec nachylając głowy.

Z czegoż jej była niemoc taka, że ją pochowali? zapytał Jędrzej.

Zgryzota, boć każdy ma swego moła co go gryzie. Najstarsza córka, panna urodna, uciekła z jednym wojakiem. Pani płakała-dzień i noc, na reszcie uderzyła niemoc, omglenie, a wszyscy i sam medykc powiedział: »umarła,« to i pochowano.

Ale jakaż radość była, kiedy w tydzień po dobyciu z grobu pani, wróciła córka, z urodnym wojakiem jako małżonkowie, i rzucili się do nóg rodziców, prosząc o błogosławiństwo. Pan Starosta, co nigdy nie chciał na te śluby zezwolić, co gdy go pani prosiła o zezwolenie, powiedział przy mnie:

»Prędzěj się moja damasceńska karabela, zamieni w drewnianą szabelkę dziecinną, nim Kaśka moja, stanie na kobiercu z tym świszczypałą, pędzi-wichrem.« Teraz, na jedno słowo pani, wszystko darował. Tyś mi (mó-

wił), moja Jagulka zwrócona z grobu, twoje słowo przykazaniem.

A pani nie raz mi mówiła, bom odtąd był w domu jak przyjaciel, nie jak dworzaniin:

—Dobrze żem umarła, pan nie do poznania jest dla mnie dobry, przebaczył mojej Kasi.

A być! to prawe oczko swojej matuleńki.

\* \* \*

I powstał Jacek z ławy. »No, czas to ku domowi, jak wilkowi ku lasowi.« Jędrzej oczyszczoną strzelbę zawiesił na kołku, wygotowaną na jutrzejsze łowy: żona przestała prząść, starzec z dziećmi drzémać począł. Gospodarz zapalił łuczywo, zaświecił w sieni Jackowi, który śpiwając pieśń nabożną, poszedł drogą wysadzaną lipami do swego domostwa.



## PRZYPISY.

---

(1) *Boćków*, miasteczko dziedziczne Potockich, sławne fabryką batów i bizunów, uwiecznionych przez Krasieckiego.

(2) Loretańskich dzwonekóv mnóstwo sprowadzono z Rzymu, które lud i szlachta rozkupywali checiwie. W czasie burzy i piorunów, wybię-rano młode i niewinne dziewczę, lub małego chłopca, który dzwoniąc, obiegał wkoło domostwo: przez ten czas, kadzono w izbach poświęconemi ziołami. Chroniło to domostwo od ognia piorunowego.

(3) «*Boże poszycie*» wyrażenie naszych mazowieckich kmieci: oznacza włosy na głowie, czuprynę.

(4) Tadeusz Czacki miał sen podobny, który się zjścił: że szczegół ten nie jest znany, przytoczyć go tu muszę.

Ojciec Tadeusza, przejeżdżając do dóbr swoich oddalonych, stanął w jedném miasteczku, gdzie spotkał ubogiego szlachcica, dawnego znajomego,

który go prosił o zasiłek pieniężny, bo właśnie zgorzał zupełnie, co mu groziło nędzą. Litościwy Czacki, nie mając z sobą tyle pieniędzy, bierze od znajomego Żyda 500 czerwonych złotych, bez żadnego rewersu, bo w kilka dni miał zwrócić, i daje szlachcicowi. Tymczasem, w tych kilku dniach umiera, a Żyd nie mając rewersu, nie śmiał się u syna upominać. W kilka czasów, Tadeusz we śnie ujrzał swego ojca, który stanawszy przed nim, zaklinał go, ażeby dług zaciągnięty wypłacił. Biorąc to za marzenie, zapomniał o tem. W kilka dni, we śnie staje postać surowsza ojca zmarłego, i groźnie dopomina się, o wypłacenie należności, że przez to nie ma pokoju duszy, wymieniając dokładnie wszystkie okoliczności, dla czego dług zaciągnął, od kogo, jak się Żyd nazywa. Przerażony Tadeusz porywa się, i zapisuje dla pamięci nazwisko Żyda, i miasteczka: a równo ze dniem posyła, ażeby stanął dłużnik. Żyd opowiedział wszystkie szczegóły, a szlachcic który dostał wsparcie, wszystko potwierdził, gdyż to było w jego obecności! Kiedy zapłacił dług należny, téj saméj nocy we śnie zobaczył ojca, który mu podziękował, że dopełnił jego prośby, i zniknął. Już go więcéj, i w marzeniu sennym nie widział.

Szczegóły tego zdarzenia, mam od domownika ś. p. Tadeusza Czackiego.

(5) Napomknienie o Złotoryi, jest historyczne. Bronił się w niej długo Władysław Biały książę Gnińkowski, wnuk Kazimiérza Wielkiego, który chciał strącić z tronu Ludwika króla Węgierskiego. Naciśniony ze wszystkich stron, zażądał pojedynku, ażeby nim rozstrzygnąć na jedną ze stron walezących, zwycięztwo. Stał do walki Jan z Sokolowa. Książę biały wyjechał na koniu zbrojny: rozpoczęła się bójka, na które wojsko królewskie, i oblężeni równie zajęci patrzali, oczekując, której stronie pojedynek da zwycięztwo. Jan z Sokolowa zwyciężył Władysława białego, odarł zbroję wedle praw rycerskich: zwyciężony kraj opuścił, i umarł w Awinionie, gdzie do tąd jest jeszcze jego nagrobek.

(6) Dominik Magnuszewski, znany z genijalnych utworów, jedna ze świetnych gwiazd literatury naszej, miał także widzenie. Straciwszy matkę, (Maryją z Borakowskich), w bardzo młodym wieku, w kilkanaście lat, rano obudzony ze snu, kiedy w drugim pokoju, już służący chodzili, ujrzał w jednym rogu sypialni stojącą postać swojej matki. Stała z wlepionemi oczyma w książkę pobożną. Ochłouąwszy z przestachu, zrywa się,

a postać zmarłej, zagiąwszy ręką jedną kartę w książce, znika. Przybiega, porywa książkę i widzi zagiętą stronicę na modlitwie «za umarłych.»

Zdarzenie to mam od niego samego.

---

Gawęda ninijsza, spisana wiernie z podań jakie słyzałem, maluje wyobrażenia pobożnych ojców naszych, które są odblaskiem wiernym swego wieku.



## VIII.

# SIEROTA.

## OBRAZEK Z PIESNI LUDU.



**G**odne uwagi i uwielbienia, jak lud polski i ruski, rozrzewniony stanem siórot, czując smutne położenie, stara się je wspierać, nie próżnemi słowy, ale radą i pomocą, a bacząc ile nie raz cierpieć musi, opuszczone bez ojca i matki dziecię, zachował w przysłowiach, téjksiędze własnej filozofii, moralności, i doświadczenia długiego, że:

*Siórotka cięższa od kamienia.*

\* \* \*

*U siórotki krótka noc.*

Bo czyż tego biędne siérot, nie doświadcza-  
ją na świcie?

W starych podaniach i powieściach ludu  
naszego, w żywych barwach często znaleźć  
można, wymalowany stan siérot, jéj nędzę  
i cierpienia, szarżanie od złéj macochy, lub  
ojczyrna: ale zawsze Bóg dobry je pociesza,  
znajdują pokój, doznają szczęścia prawdzi-  
wego. Klechdy te, są prawdziwym balsa-  
mem, dla serc strapionych siérot, żywią  
w nich błogą nadzieję, zachęcają do cnoty  
i wytrwania. W pieśniach ludu są osobne  
siérotom poświęcone dumy. Nie masz nic  
tkliwszego, jak słyszeć pieśń smętną družek  
ruskich (w Galicyi), w której przypominają  
pannie młodej stan siéroczy, i budzą pamięć  
zmarłego ojca i matki.

\* \* \*

»Wyjdź Hanulu młoda, podziw się w oko-  
ło, czy nie stoi twój ojciec, u którego proga?

SIÉROTA.

—Oj! znam ja, znam, że nie mam ojca!

poszlę wronę w cudzą stronę, po swoją rodzinę; poszlę kukułkę w surową ziemię, po ojca swego.

\* \* \*

A wrona leci, wieści przynosi: »będzie tu rodzina.« Kukułka leci, wieści przynosi, »nie będzie tu twój ojciec.«

GŁOS (z grobu).

Surowej ziemi ciężkie podwoje, chodź je otworzyć: ani w okienku jasnego słońca, by się na ciebie podziwić.

SIÉROTA.

Już mój ojciec, mój sokolik, przed miłym Bogiem stoi, wiernie się do Boga modli. Spuść mnie, o Boże! z nieba na ziemkę, niech że ja się podziwię na swoje dzieciątko.

—Ty! błaha duszo! ciebie tam nie potrzeba, ma ono tam družki wierne i usłużne, ony jej wieniec uwiją, na posagu posadzą, ubrane jak paniątko, posadzą jak siórotkę (a).

I matka siórotki.

---

(a) Pieśń z Przemyślskiego w dzień ślubu śpiewana.

Stoi przed Bogiem, na krzyż ręce złoży,  
i Boga prosi.

— Spuść mnie, Boże! nad sioło (wieś) chmu-  
rą, a w sioło drobnym deszczem, a w okno  
jasnym słońcem, niechże ja się podziwię, czy  
krasno dziecię ubrane (a).

W ziemi przemyskiej w dzień ślubu się-  
rocie śpiewają.

»Wyjdź Hanulu wyjdź, czy nie masz ty  
krzywdy?

— Choć ja krzywdę cierpię, ja wam nie  
powiadam: gdyby matka to wiedziała, toby  
z żalu umierała.

---

(a) Z nad-Stryja i Łomnicy. Przytaczam tu  
oryginał we właściwym narzeczu, bo trudno wy-  
razisto spolszczyć.

*Spusty mene Boże,  
Nad selo chmaron:  
A w selo dribnym dożdżem,  
Jasném sońcem, okońcem:  
Najże ja si podywiu,  
Czy krasno dytia ubrana.*

(Pieśni zbiór: *Wacława z Oleska*).

GŁOS (z grobu).

Do nas kukułka przylatała, w okienko  
szczebiotała, że ty masz krzywdę, a nam nie  
powiadasz.

\* \* \*

Znać Hanuleńku, znać, że ojca nie masz,  
podwórce twoje nicumiecione, sianożęć nie  
skoszona, rodzina nie sproszona.

Jest zwyczaj starodawny, że gdy ubiorą  
do ślubu pannę młodą, ta, zaczynając od  
ojca i matki, kłania się całej rodzinie po  
szczególnie, każdemu krewniakowi osobno:  
wtedy drużki przyspięwiają nad Prutem się-  
rocie:

*Komuż ty sia kłaniajesz,  
Koty bałka i maty ne majesz?  
Pokloniu sia czużomu,  
Bude my sia zdawaty szo swomu.*

A nad Bugiem w osadach naszego Po-  
dlasia:

—Ej! komu ty się młoda Hanulu kłaniasz,  
gdy w swoim domu rodzzonego ojca nie masz?

—Oj! jestże u mnie rodziny nie mało, będą się kłaniać, bo mi za ojca stanęli.

—Oj! nie staną, młoda Hanulu, nie staną. Już twój ojciec, na białe nóżki nie wstanie. I w Przemyskiem:

—Chylicie się wrota, oddaje pokłon sierota, ani ojcu, ni matczce, jeno swojej rodzinie, bo swego ojca nie ma, cudzemu bije pokłon.

Po ślubie, państwa młodych matka, zwykle przyjmuje na progu chaty, z chlebem i wódką: nie ma jej sierota, przypominają tak wielką stratę drużki, w naszym Podlasiu.

*Znaty sierotu znaty,  
Szczo ne wychodyt maty!  
Ne wychodyt, ne witaje,  
Jak sia ditiatko maje,  
Ne pytuje!*

Siedzącej za stołem, jeżeli pozbawiona ojca, śpiewają na Pokuciu:

W lesie na jaworze, siedziały dwa anioły, a siedząc rozmawiały:



—Polećmy, polećmy bracie! polećmy do  
tęj sierotki, siędziem i posłuchajmy, jak się-  
rotka płacze, jak ręce łamie, że ojca nie ma.

W okolicach Brzeżan, w tej chwili śpię-  
wają, jak biednej sierocie drży serce, że  
swego ojca nie ma.

W najdawniejszych pomnikach poczty sła-  
wiańskiej, którą nam uchował rękopism Kralo-  
dowski, znajduję tkliwą pieśń sieroty: (\*)

*Ach! wy lasy, ómawe lasy,*

*Miletyńskie lasy (\*\*),*

*Czemuż się liściem śmiejecie,*

*W zimie, i lecie?*

*Chee sercu wzdychać, zabronić*

*Oczom łez ronić:*

*Jak tu nie płakać sierocie,*

*W takiej tęsknocie?*

---

(\*) Kralodworsky rukopis. W. Hanky 1829  
w Praze.

(\*\*) Miletyńskie lasy. Miletyn miéjsee i zamek  
w Bydzowskim obwodzie w Czechach, niegdy do  
dziedzictwa książąt należące.

*Gdzieś ojcze, gdzieś ojcze miły?*

*W głębi mogiły.*

*Gdzieś matko! wołam z żałobą,*

*Trawka nad tobą.*

*Bracia i siostry wymarli*

*Kochanka wydarli (\*).*

W dumkach sierot, których wiele w poezji ludu znaleźć można, odmalowany jest z całą rzewnością i mocą, stan opuszczonej biędzy:

*Ja syrota, blukaju sia, ne maju rodyny!*

*Bidna-ż moja hołowońka, myni na czużyni!*

*Woliw bym sia ne rodyty, taj toho ne znaty,*

*Jak mia tiażko w nieszczastiu porodyla maty!*

*Piszow bym ja nieszczasływy, pid swoi worota,*

*Muszu hirko zaplakaty, ja bidna syrota!*

*Łetiw orel po nad more, pirenko ronywszy,*

*A któż tebe pryholubyt syroto najmilszy?*

*Oj! jak tiażko temu piru, na moru pływaty,*

*Jeszcze tiaższe na czużyni myni prywykaty.*

*Bodaj taja czużynońka, wik zdorowa bula,*

*A szczo mene syrotońku k'sobi pryhornula!*

---

(\*) Przekład Lucyjana Siemieńskiego.

*Oj! syroty, syrotyńky, kołyż wam harazd bude?  
Szczo was krewni ne nawydiat, i'szcze sudiat lude.*

\* \* \*

«Wyjdzie siérotka z chaty, spojrzysz zadumany, ludzie sieją, orzą, nie ma co swego zorać, i zasiać. Robi i robi, aż ręce ustają, przyjdzie do chaty, nikt doń nie przemówi. Niechaj się ziemia rozstąpi i zabierze siérotkę, niżby ją na sobie dla nędzy nosiła.»

\* \* \*

W mazowieckiej piosnce, znajduję siérotki, prostą i naiwną odpowiedź:

— *Czarna chmureczka na niebie,  
Puść mię dziewczyno do siebie.*

— *«Jakże ja cię puścić mom,  
Kej ja sirota, a tyś pon.»*

---

Z pieśni rusi Galicyjskiej dostrzegam widome, że kukułkę, owego ptaka żałoby, uważano za drugą wierną siérotki. Kukułka na jej zawołanie, leci w głąb' surowej ziemi, by

rozbudzić zmarłego ojca i matkę, opowiada im utrapienia sierot ile cierpią od krewnych, i ludzi sprawiedliwych: przynosi nawzajem od rodziców wiadomość, pocieszając opuszczone dziecię.



## IX.

# POWIETRZE.

## OBRAZ.

Kiedy zaraza Litwę ma uderzyć,  
Jój przyjście wieszczą odgadnie żrzenica:  
Bo jeśli słuszna Wajdelotom wierzyć,  
Nie raz, na pustych smętarzach i błoniach,  
Staje widomie morowa dziewica,  
W hiełznie z wiankiem ognistym na skroniach.  
Czołem przenosi Białowieskie drzewa  
A w rękę chustką skrwawioną powiewa.  
Strażnicy zamków oczy pod hełm kryją:  
A psy wieśniaków zarywszy pysk w ziemi,  
Kopią, śmierć wietrza, i okropnie wyją.  
Dziewica stąpa kroki złowieszczemi,  
Na sioła, zamki, i bogate miasta,  
A ile razy krwawą chustką skinie,  
Tyle pałaców zmienia się w pustynie;  
Gdzie nogą stąpi, świeży grób wyrasta.

Adam M.



Powietrze, pomor straszliwy, od wieków Ruś i Polskę niszczył, w każdym niemal stuleciu, powtarzając swoje klęski, i to nie po raz. Kraków, Warszawa, Poznań, Lwów, miasta ruskie: Wilno i cała Litwa ze Żmudzią, doznawały okropnych ciosów. Nie raz wymierały nie tylko sioła wiejskie, ale i miasta całe. Nie dziw przeto, że starożytne podania o *powietrze* i *dżumie*, dotąd są przechowane, bo klęski zgubne, odnawiały je w pamięci ludu (a).

Ruś, wyobraża morowe powietrze, w postaci niewiasty: gdy spotka którego z ludzi,

każe się nosić, od sioła do sioła: kto ją weźmie na plecy, temu nic nie szkodzi. Słyszałem na *Pokuciu* nad *Prutem* powieść, że szlachetny kmieć ruski jeden, umyślił własnem życiem ochronić współbraci: spotkał niewiastę zarazy, wziął ją na barki własne, uchwycił silnie rękoma, ażeby mu nie uciekła, i rzucił się w głębizną rzeki. Sam utonął, ale lekka niewiasta, nie zanurzyła się nawet: wszelako przestraszona tą odwagą, poszła w góry, dawszy pokój mieszkańcom doliny.

Ruś tamieczna, trzy gatunki ziół uważa jako pomocne od morowej zarazy: *Toja*, *Odolan* i *Bydrycz* (b). Stąd przypowieści w czasie powietrza:

«*Żeby ne Toja, i ne Odolan,  
Toby chodyło (zaraza) jak pan.*»

\* \* \*

«*Jak budesz maty Bydrycz,  
To ty ne zrobyl (powietrze) nycz.*»

U Serbów, jak nas naucza Wuk Kara-



dzicz (c), zupełnie toż samo istnieje podanie: nazywają tam niewiastę zarazy *Kuga*.

«Wyobrażają sobie Serby (*mówi*), morowe powietrze, jako niewiastę w białych szatach, idącą przez wioski. Jeżeli zdybie na drodze człowieka, każe mu się na mićsce, gdzie zechce zanieść, i siada mu na karku: człowiek ją obnosi bez wszelkiej dla siebie szkody. Mówią o *zarazach*, że ony mają za morzem swoją krainę i na rozkaz Boga wychodzą, i oznaczoną liczbę umarzają. Morowe powietrze w takiej postaci, zagląda do chaty: jeżeli garki i łyżki nie były pomyte, wtedy je zatrzuwała »

W Sławonii, lud równie wyobraża sobie powietrze, jako złą kobietę, i mniema, iż za morzem znajduje się kraj «*niewiast morowych.*» «Pan Bóg nasz (*mówią*), pilnie uważa, gdzie największe panują grzechy, i wysła tam, niewiastę morową, z rozkazem sprzątnienia oznaczonej części ludzi. Powietrze w przybranęj postaci wybiera się w drogę, i każe ludziom nieść się na plecach z mićj-

sca na miejsce, wszędzie mór roznosząc. Ma jednak być tak lekka, że jej nosiciel żadnego nie czuje ciężaru.» Nazywają podobnie jak u Serbów *Kuga*, i nie jedną sztukę ryby, zabierze zsuszarni przez drogę: mówią zatem, że kuga ukradła ryby.

W Polsce, słyszałem opowiadających starych ludzi, że powietrze w postaci niewiasty, w białe szaty przybranój, na wysokim wozie o dwóch kołach, objeżdżała wiejskie osady, i ulice miasta. Gdy przed dom który przybyła, pukając zapytywała:

«*Co robicie?*»

Kiedy odpowiedziano :

«*Nic nie robimy,*

*Tylko Boga chwalimy!*»

ponurym dodawała głosem: «*Chwalcież go na wieki*» i w tym domu zaraza nie panowała. Gdy wieczorem gdzie przybyła, a na zapytanie: «*Czy śpicie?*» odpowiedziano «*śpiemy*» wtedy rzekła: «*Spijcież na wieki*» i całe wymarło domostwo.

Na Litwie, podobne istnieją wyobrażenia. Powietrze jako *morowa dziewczica*, w białych szatach, olbrzymiego wzrostu, trzymając w ręku skrwawioną chustę, gdzie nią powieje, tam wszystko wymiera. Starożytne litewskie podanie mówi (d):

»We wsi, zjawiała się morowa dziewczica, i wedle zwyczaju, przeze drzwi lub okno, wsuwając rękę i powiewając czerwoną chustką, rozsięwała śmierć po domach. Mieszkańcy zamykali się w warownie, ale głód i inne potrzeby, wkrótce zmusiły do zaniedbania takowych środków ostrożności: wszyscy więc czekali śmierci. Pewien szlachcic, lubo dostatecznie opatrzony w żywność, i mogący najdłużej wytrzymać to dziwne oblężenie, postanowił jednak poświęcić się dla dobra bliźnich: wziął szablę *Zygmuntowską*, na której było imię *Jezus*, imię *Maryja*, i tak uzbrojony, otworzył okno domu. Szlachcic jednym zamachem uciął strasydłu rękę, i chustkę zdobył: umarł wprawdzie, i cała jego rodzina wymarła, ale odtąd nigdy we

wsi nie znano morowego powietrza. Chustka owa, miała być zachowana w kościele jakiegoś miasteczka.«

Na Podolu, morowa niewiasta siedząc na wysokim wozie, otoczona gromadą mar i wieǳmów, objeżdżała ziemię. Taki orszak zwano *Homen* (e). Za zbliżeniem koguty chrypły, psy nie szczekały, gdy poczuły morową niewiastę, leccącą z całą czeredą swoją.

Za ochronicielkę zbawienną od morowców zarazy, była w Polsce święta Rozalija, patronka Sycylijska, której część relikwii złożona w kościele Śtęj Barbary w Krakowie spoczywa. Do nięj lud i szlachta nieszczęściem obarczeni, wznosili swoje modły. Pieśń którą umieszczam, w prostocie swojej maluje wymownie, całą okropność tęj klęski.

*Rozalija pustelnico!*

*Chrystusa oblubienico:*

*Do ciebie się uciekamy,*

*Ratunku twego żądamy.*

*Ratowałaś Sycyliją,*

*Ratuj także Poloniją,*

Od powietrza morowego,  
I przypadku gwałtownego.  
Oto powietrze morduje,  
Nie jeden w zdrowiu szwankuje:  
Pozéra śmierć nieużyta,  
I słowa się nie dopyta.  
Miasteczka, wsi zakowują,  
Drzewem i strażą wartują:  
„Nie przystępuj! wara tobie!  
Niebezpieczno o téj dobie.”  
Palą domostwa, strzelają,  
Zarażonych wyłączają:  
W polach, w budach ich zabawa,  
Niewczas, zimno, szczupła strawa.  
Jeden się drugiego chroni,  
Daleko od niego stroni.  
Nawet, kochany przyjaciel,  
W takim razie nieprzyjaciel.  
Chodzą po zapłociu krzyczą,  
A prawie co z gardła ryczą.  
— „Wynieś! podaj! sztukę chleba,  
Będziesz miał zapłatę z nieba.”

*Strachem wielkim zatrwożeni,  
Głodem i nędzą ściśnieni:  
Jako bydło umiérają,  
W polach, w lasach się tułają;  
Snadź i pogrzebu nie mają,  
Ciała zwierze pożerają.  
Alboli téż osękami,  
Ciągną w dół, także żerdziami (f).  
Jakie serce przyjaciółów,  
Pobożnych obywatelów!  
Patrzą na takie szarpanie  
Ciała, członków rozrywanie!  
A choć ciało na to przyjdzie,  
O duszę strach wieczny idzie:  
Bo bez świętych Sakramentów,  
Schodzi wiele tych momentów;  
Spowiedzi, napominania,  
Ktoby czynił rozwiązania,  
Na onę drogę daleką:  
Nie ma, ktoby zegnał ręką!  
Ani świecy, ni passyi,  
Ani żadnej aspersioni!*

*Chryste Jezu! racz być z niemi,  
By nie byli potępieni.  
Przyczyna Panny Maryi,  
Także świętej Rozalii  
Niech nas od powietrza broni,  
Od gniewu twego zastoni.  
Amen! z płaczem rzeczmy wszyscy!  
Pomarli sąsiedzi bliscy:  
Aby się w niebo dostali,  
Z Bogiem wiecznie królowali.*

Amen (g).

Posępna nuta tej pieśni, w pośród pomoru i słosu trupów, silne wrażenie na umysłach czyniła. Był to głos drżący wybladłych duchów, z wzniesionemi oczyma w niebo, skąd tylko ratunku i pociechy oczekiwano. Skurczeni bólem, głodem, i trwogą, czarnemi usty, z cierpiącą piersią, i omglałego serca, dobywali tonu żałoby, do odśpiewania tej pieśni pogrobnej. Był to hymn jedyny, co uczył tysiące nagłą śmiercią upadłych, a dla żyjących, wróżył śmierć rychłą.

Mały wizerunek *moru*, mogę stawić z roku 1622. Wtedy *Paweł Zapartowic* professor akademii krakowskiej, miał na wychowaniu ucznia *Kowynickiego*, do którego się jak ojciec przywiązał, ukochawszy wielce pojętne do nauk pacholę. Właśnie w Krakowie wybuchło powietrze. *Zapartowic* razem z innymi chciał uciekać, ale wychowanek zamierzył czekać na list matki i zasiłek pieniężny. Nauczyciel skłonił się do jego prośby: tym czasem padały liczne ofiary morowej zarazy. Reźnięto kordon zdrowia, owoż co sam mówi *Zapartowic* (h).

*Ktokolwiek szedł zdrów, nie zdrów, jak do psa  
strzelono,*

*A z wozem mijać było, by nie spostrzeżono:*

*Węc kiedyby gdzie jeszcze, woza dostać było,  
Choć się już dwojakiemi pieniędzmi płaciło.*

Mieszkali na *Prądniku* wtedy, gdy gospodarz domostwa krewniaczkę przybyłą z *Kazimiérza*, przyjął na mieszkanie: od niej zaraziło się pacholę, *Zapartowica* «*skarb i klejnot wielki.*»



*Do Boga się udałem, czyniąc posty, śluby,  
Prosząc, żeby nas wyrwał sam od takiej zguby.  
Oddawał się Abagar (wychowanca imię) w opiekę  
najsświętszej  
Pannie, u której w Gidlach słuchał świętej mszy.  
Już ja i Częstochowską z nim nawiedzić myślę,  
Jacka i Stanisława, mam w swoim umyśle,  
Inszych z temi patronów zacnego Krakowa,  
Prosząc ich o przyczynę, że nas Bóg zachowa.*

Tak tydzień w trwodze przebyli.

*W tem musi być że dziecko, dla samej potrzeby  
Wyszło, a nieopatrznie, nie wziąwszy do gęby  
Jakięjkolwiek przerwy, których kilka było,  
Medyków, cerulików, alchymistów dzieło:  
Już to Philosophorum, olejku z bursztynu,  
Już dryjakiwie, pigulek...  
Była i kwaśna wódka, jeśliby co w drodze  
Przypadło dla napoju, (jak straszili srodze  
Że po gospodach nigdziej nie dostanie piwa.)  
Tę z wodą mieszać miała, moja dusza żywa.*

Ukazała się choroba od bólu głowy. Zapartowic dał pacholęciu proszek od prałatów otrzymany do zrzucenia: polepszyło się, ostatniej nocy, grzankami obwinał mu pulsa, ale o północy uderzyła słabość na dziecię, pa-

trzy i widzi krosty czerwone przy sercu, jak by jagieł posypał. Na krzyk Zapartowica, gospodyni przybiega z gorzałką i wódką lewandową: smarowali mu serce, gdy dziecko skonało. Nie mógł ciała w trumnie pochować, więc uwinąwszy w prześcieradło i kobierzec, w dół złożył, pełen żalu i rozpacz. Inie mało pocziwy nauczyciel okazał przywiązania, bo były

*«Insze matki,*

*Co uciekały przed swemi choć własnemi dziatki.»*

Liczne dzieła wychodziły, które obejmowały przepisy ratowania zapowietrzonych. Marcin Urzędów sławny Medyk, rutę zaleca, jako osobliwe przeciw moru lekarstwo, a którego sam skutecznie używał (i). Książdz Marcin Pleban z Klecka 1605: wyjaśnia użycie ruty.

«Ruty rószczkę zetrzć ją w palcach z trochą soli, a przytem orzech abo dwa Włoski dobrze oczyszczony, lekarstwo doświadczone. Śmierci się nie bać, nie frasować, bo lękliwego rychlój się powietrze imie. Pana

Boga w ten czas chwalić, a wesołym być.»  
(Obrona przeciw morowemu powietrzu.  
W Poznaniu 1605 in 4to).

Piotr Umiastowski (*Nauka o morowém powietrzu w Krakowie 1591r.*), zaleca przeciw powietrzu: *Aquavite* po łyżce rano, ziele czar po rusku zwane, jako i aloes, który Ruśniacy zowią *Czarną Heleną*. Wedle tegoż pisarza, ognie po powietrzu latające, przez lud zwane *gwiazdami padającemi* i słupy ogniaste, zapowiadały wczesnie morową zarazę.

Dawniejszym od tych rad lekarskich, był zwyczaj za uchronę uważany we wszystkich niemal pokoleniach sławiańskich, topienia śmierci, dla zabezpieczenia się od morowej zarazy.

Bałwan utkany ze słomy, ze starożytną nazwą bogini sławiańskiej Marzanny (Morena), w nadchodzącą wiosnę ciągniono do rzeki i topiono, przy odgłosie wesołych pieśni, w tej nadziei; że gdy raz już śmierć utopią, więcj ona przez klęski, zarazy, szkodzić nie będzie.

O tym obrzędzie w Polsce, wspomina Długosz i Miechowita. Maciej Strykowski, widział go za swoich czasów w Wielkopolsce i Szląsku (k). M. Bielski (l) obszerniej opisuje. «Za méj też jeszcze pamięci, był ten obyczaj po wsiach, iż na *białą-Niedzielę* po poście (m), topili bałwan jeden, ubrawszy snop konopi albo słomy, w odzienie człowieka, który wszystka wieś prowadziła, gdzie najbliżej było jakie jezioro, albo kałuża: tamże zebrawszy z niego odzienie, wrzucili do wody śpiewając żałobliwie :

*Śmierć się wije po płotu,  
Szukający kłopotu»* i t. d.

«Potém co najprędzej do domu ed tego miejsca bieżeli, a który abo która się na ten czas powaliła, abo powalił, wróżbę tę mieli, iż tego roku umrze.»

Sławianie pod panowaniem Niemców, wy-nosili podobnego bałwana ze wsi, który śmierć wyobrażał, palili go lub wrzucali w rzekę; śpiewając pieśni na pochwałę lata (n). W Czechach śpiewają przy takowém obrzędzie:

*„Już niesiemy śmierć ze wsi,  
Nowe lato, do wsi.  
Witaj lato lube,  
Witaj zboże zielone!”*

Po utopieniu zaś nuca.

*Smrt plyne po wodzie,  
Nowe léto k'nam gede (o).*

---

*(Śmierć płynie po wodzie,  
Nowe lato ku nam jedzie).*

W Bolesławskim kraju wesołość ośpiwują, że wyniesiono śmierć ze wsi.

*Smrt nesem ze wsi,  
Nowe léto do wsi:  
Bud'te pani weseli.*

Sławianie Wenedyjscy, dawni mieszkańcy Lipska, zostawili nam pamięć tego obrzędu. Dawid Peifer opisuje, że tłuszcza nierządnych kobiet, miała zwyczaj pierwszych dni wiel-

kiego postu, zachowywać stary obyczaj. Jedna z nich niosła na długiej tyce, postać nie zgrabnego ze słomy mężczyzny: całe siostr lubieżnych grono za nią jakby za wodzem idąc parami, nuciły na śmierć pieśni nieskładne, wszelkie rozkosze malujące. Przyszedłszy do rzeki *Pardy*, topiły bałwana. Ten to obchód, miał zasłaniać miasto od morowej zarazy.

(*A. Naruszewicz T. 1*).

Takowy zwyczaj ciągle się zachowuje dotąd u ludu, lubo coraz rzadszy. Rusini naszego Podlasia, przechowali go jeszcze: na dwóch kółkach bałwana ze słomy obwożą, poczem gdzie w kałuży lub stawie topią, a gdzie brak wody, palą z głośnym przekleństwem: »*Czort tebe zabery.*« Taki obrzęd w obwodzie Białkim sam widziałem 1826 i 1829 r. toż samo znalazłem w niektórych okolicach Lubelskiego, Mazowsza i Krakowskiego.

Tyle wieków upłynęło, a przecież i w na-

szym czasie, wody Wisły, Narwi i Bugu, połykają bałwany śmierci, i są świadkami starożytnego obrzędu, który od tak straszliwej klęski, jaką była *morowa niewiasta*, miał lud nasz biedny ochronić!



## PRZYPISY.

---

(a) Ostatnią klęską tego rodzaju, była Cholera 1831 r. Ruś powtarzała o niej stare podania, wyobrażając sobie tę zarazę w postaci niewiasty, i stąd powstało nowe u ludu ruskiego przysłowie albo raczej przekleństwo, które slyszalem na Pokuciu i u Górali ruskich za Prutem: «*Szob tebe cholera ne minula;*» w Warszawie mówią i teraz «*Bodaj cię cholera tlukła.*»

(b) *Toja*, *Tojeść*, *Wilczy-jad*, (*Aconitum*). Ogrodnicy *Bernadynem* zowią, lud zaś polski *Czarnobyłem*. Własności tego ziela narkotyczne, uważa lud polski i ruski za lekarstwo na smutki. Wedle wyobraźni Ukraińców, z *toja* napój zrobiony rozwesela smutnego młodzieńca, i pomaga do zapomnienia dozbanych cierpień. W Polsce kalina przyłożona do zbolalego serca, uspakaja go zupełnie.

(c) Српски Рсеуник. Wien 1818.

(d) Przypisy do Waleuroda.



(e) Maurycy Gosławski, przypisy do poematu Podole.

(f) Nie tylko chowano, wlekąc żerdziami okutemi ciała zmarłych, ale żywność podawano na długich żerdziach, lub sami mieszkańcy zarażonego domu, ciągnęli ją okutemi osękami, bo domy gdzie się znaki pokazały zarazy, zamykano, okna zabijano, i wokoło ostawiano strażą. Zwałem starców, co zapamiętali ostatnie powietrze w Warszawie. Mieszkańcy ówczesni, całe opuścili miasto, i na polach koczowali. Z tego pomoru i dziesiąta część ludności nie powróciła, ci którzy zostali przy życiu, posiadli domy opustoszałe, i zostali ich dziedzicami.

(g) Kantyczki pieśni nabożnych.

(h) «Syn Piotr Abagarus Kowynicki jój Mości P. Helźbiety ze Średniego, jój Mości Paniój Kowynickiej Pisarzowej niegdy Ziemie Przemyskiej pisany y posłany od Pawła Zapartowica profesora Akademiój Krakowskiej, *praeceptora* jego żalowanego R. P. 1622 pod czas powietrza. W Krakowie w drukarniej Macieja Andrzejowczyka R. P. 1623.» (In 4to Sig. A 2 — D 2. kart nieliczbowanych 16). Druk cały łacińskimi ćcionkami.

(i) Herbarz w Krakowie 1595 folio.

(k) Kronika Ed. Warsz. 1756 str. 140.

(l) Kronika Ed. Warsz. 1764 str. 34. Bielski mylnie ten obrzęd tłumaczył, iż to była pamiątka zwaleni bałwanów i zaprowadzenia chrześcijaństwa.

(m) Była to Niedziela środopostna, zwana inaczej czarna, jako śmierci poświęcona. Lud dotąd w przysłowiu zachował jój pamięć: *«Wygląda, jak czarna Niedziela»* na człowieka lub ciemnej cery, albo-li też śmiertelnej bladości.

(n) Prawda Ruska J. B. Rakowiecki. T. I.

(o) Zbiór pieśni Czeskich. Fr. Czelałkowskiego T. I.

## X.

# STARY ZAMEK.

Stare zamczysko zostało po dziadach,  
Zamek, a stary, ma ciekawość bodzie:  
Często po starych lubię błądzić śladach,  
Często mię w mojej zatrzyma podróży;  
Stuletni starzec, lub stuletnie gruzy.

*Jadam z Zatora.*



Słońce było na zachodzie, gdy ujrzałem rozwaliny starego zamczyska: jedna potężna wieża, z połową herbownej bramy, stała niewzruszona jak olbrzym, zczerniała, mchem i trawą obrosła. Łatwo przebyłem niegdyś niedostępną fossę, i wdarłem się po zwałiskach, na obszerny dziedziniec.

Jakaż cisza! jakie milczenie! wiatr lekki słabo donosił odgłos śpiewu skowronka, co ulatał nad miedzą w poblizkiej roli. Sam środek zamku, jeszcze się krzepko trzyma, przez potłuczone okna i drzwi z zawias wyrwane, dojrzałem ozdobne malowidła, i przy-

kurzone złocenie na ścianach. Kiedy patrzałem na ten pomnik tylu wieków odarty, zniszczony, gdy po licznych herbach poznałem jak potężni dziedzice, te mury dzierżyli, a myśl wiodła rój wspomnień, po czytanych starych kronikach; usłyszałem zdziwiony po za sobą głębokie westchnienia, i ciche szep-tanie.

Duch że to jaki starego zamczyska, chce się oczom wędrownika ukazać? I z trwo-gą tajemną, spojrzełem po za siebie. Z po-chyloną siwą głową, trzymając różaniec w rę-ku, szedł zwolna starzec mruczając modlitwy: kiedy mnie spostrzegł, pełen podziwu pod-niósł głowy, a uchylając czapki, zapytał: po co przybyłem? i czém służyć może?

—Mój przyjacielu (odrzekłem), przysze-dłem zobaczyć zwaliska, tego wspaniałego zamku, gdzie potężna rodzina, tyle wieków panowała.

—Zwaliska! (zawołał starzec) tak! teraz zwaliska, a jednak tu młode lata spędziłem, i wtedy stał zamek cały, i nietknięty!

I głowa opadła mu na piersi, z których wydarł się jęk bolesny.

— Tak! tak! (wyrzekł po chwili), zamek ten świecił się złotem, jaśniał wesoły, i jać był wtedy wesoły, bo młody. Ale Waszmość Pan gdzie przenocujesz? słońko zachodzi, a widzę pieszo chodzicie sobie.

— *Qui non konias habet, piechotare debet!*

Starzec uśmiechnął się rozweselony, pomuskał czupryny, założył za pas różaniec, i zaprosił na swoją grzędę.

W pobliżu zamku, w *oficynie* na poły rozwalonej, sam narożnik stał nietknięty: tam zamieszkiwał starzec z żoną, dorosłym wnukiem, i wnuczką młodą. Ogród warzywny dochodził do fossy, gdzie dzika róża i berberys, jaśniały kwiatem i świeżym liściem. Wielka sień z dużymi oknami, prowadziła do pierwszej izby, stąd alkowa i obszerna komnata widziane, składały pomieszkowanie mego przewodnika. W dużej komnacie przy otwartém oknie, siedziała jego małżonka, staruszka więcej nachylona ku ziemi, wśród

licznych zmarszczek, przebijał się jeszcze czerstwy rumieniec. Siedziała w dużém staroświeckim krześle, ozdobioném rzeźbą i złoceniem, przędąc na kołowrótku.

—Przyprowadzam Waszeci gościa, zano-  
cuje tu u nas! (rzekł pan Siwik, bo takie  
miał nazwisko). A niewiasta skłoniła głowę,  
wskazała równie ogromne krzesło, i przędła  
dalej.

Zrzuciwszy tłómczek, spojrziałem cieka-  
wie po ścianach, gdzie snąć z zamku wzięte  
obrazy, dla uchrony od zniszczenia, zawie-  
szono.

—Patrzta Waszmość, to są wszyscy *ante-  
naci*, ostatniego naszego dziedzica.

Ten obraz pana Hetmana, co z buławą  
wisiał w zamku w osobnej komnacie, bo dzi-  
wne rzeczy o nim gadali. Kiedy za dawnych  
lat umarł pan Hetman, a był to pan bardzo  
sławny, jeden z towarzysów chorągwi Us-  
sarskich, wkradł się w noc, i na pamiątkę  
uciął pół wąsa. Nie wiedzianoby o tém wcale,  
ale rano ktoś idzie gdzie obraz wisiał, spoj-



rzy, w wizerunku pół wąsa nie ma, a twarz cała surowsza jak zwykle. Dają znać panu; pan patrzy, prawda! Wprędce wieść rozlata się o tém, aż doszła do uszu onego towarzysza. Przestraszony Ussarz, złożył wąsy gdzie należało, tam zaraz przyrosły, i patrz Waszmość! znów na obrazie pan Hetman z całemi wąsami (1).

Prawda! spojrziałem na wizerunek, nie brakło nic z wąsów, choćby ich w trumnie teraz naprózno szukał.

— Co tam gawędzisz z Waszecią, będzie dosyć czasu na to, ten panicz młody, pewnie się strudził, trzebaby czém posilić.

Wdzięcznie spojrziałem na staruszkę, bo chociaż arcy-ciekawa była historyja wąsów pana Hetmana, mój się żołądek, wcale nią nie pocieszył.

Już miesiąc wybił wysoko, gdy po sytniej wieszce, spoglądałem niecierpliwie, gdzie złożyć utrudzone ciało. Mój gospodarz wstał wtedy, aby mię przeprowadzić na nocny spoczynek. Poznałem też samę sień którą wcho-

dziłem, ale jakże zdziwiony zostałem, gdy wychodząc z oficyny, rzekł do mnie:

—*Prześpięwa* się razem w zamku, w sypialnej komnacie naszego pana, ja tam często zachodzę.

Szliśmy więc po gruzach, dołach, pod cieniem gęstych lip, aż wreszcie stanęliśmy u wielkich podwoi. Starzec jakby przed wniknięciem do miejsca świętego, przeżegnał się, pomodlił, a zdjęwszy czapkę z uszanowaniem, po cichém drzwi otworzeniu, wszedł pierwszy. Zimny chłód mię owiał, zdjąłem i ja czapkę, naśladując swego przewodnika, i równie cicho wsunąłem się do komnaty: mniemałem w on czas, że w istocie ktoś spać musi.

Spojrzałem! Okno wielkie, gotyckie, z różno-barwnymi w ołowiu szybami, oświecało dostatecznie tę sypialnię. Po ścianach, z dawnego wspaniałego obicia, wisiały kawały jeno jak płachty zbrudzone, w których za ledwie po dokładném przyjrzeniu rozpoznać można, że był to kiedyś bardzo bogaty ada-

maszek. Nie było pieca, blisko okna, komin marmurowy, dwa łóżka żelazne, składały sprzęt cały, na nich gościnny starzec przygotował posłanie dla mnie i dla siebie. Świeże siano z koniczyną; roznosiło woń miłą.

—Owoż, Mościwy panie (rzekł Siwik), tu się prześpięwa: nieco chłodno i ciemno, trochę rozpalęm na kominku.

I skrzesał ognia, a w marmurowym kominie, zajaśniał z suchej brzeziny płomień czysty, i oświecił naszą sypialnię. Starzec święconą wodą, którą przyniósł z sobą, pokropił nasze łoża i drzwi na klucz zamknięte; po czém ukląkł, a dobywszy szkaplerz, z wlepionemi w niego oczyma, zaśpiewał drżącym głosem pieśń nabożną, z której ułamek dobrze pamiętam:

*Przed zejściem wieczornéj zorze,*

*Prosim, dobrotliwy Boże!*

*Uczyn' i dziś łaskę z nami,*

*Racz mieć zwykłą straż nad nami:*

*Nocne sny, nocne pokusy,*

*Niech nie przeszkadzają duszy (2).*

*Tom IV.*

28

Gdy pobożnie całował swój szkaplerz, westchnąłem szczerze, i z bojaźnią spojrzałem po ścianach. Ta odwieczna komnata, wielka, z ogromném oknem, te obicia poszarpane, ten obrzęd niemy starca w kropieniu wodą, a w reszcie i sam śpiew pobożny, co go echo w pobliskich odbijało salach: budziło wszystko w duszy jakiś uszanowanie, bojaźń, wspomnienia; rozrzewniało. Ta myśl, którą w śpiewie usłyszałem, aby Bóg się opiekował nad nami, roiła inne myśli straszne: Jużem z pod oberwanego adamaszku widział blade duchy, a z drugiej strony zbójckie oblicza z zakrwawionym nożem. Ale gdym spojrzał, na sędziwą twarz starca, ufność i spokój wypędzały zaraz z głowy urojone widziadła!

Powstał starzec i odetchnąłem swobodnie, gdy on wskazując ręką na obszerny dziedzi-  
niec: «Bywały tu, bywały piękne widowi-  
ska! Kiedym był pacholęciem, małym żacz-  
kiem, i gniazda jeszcze wróbli wykręcałem  
u swego pana ojca, co święto niemal przy-  
biegałem do tego zamku, i cały dzień nie-

mal przesiadziałem w oknie u strażnika wię-  
ży zamkowej, i zegaru. Po sutych obiadach,  
jakby garścią maku cisnął, wysypywała się  
zewsząd dziarska młodzież, dzielne junaki na  
bachmatach i *turskich* (\*) koniach. Owo, było  
się czemu podziwiać. Żywie Bóg! prawda, ser-  
ce rosło we mnie, i chciałem nie raz dosia-  
dać konia, tak jako owi panowie. Teraz w tym  
zamku, ucichła wrzawa, spokój zaległ te mu-  
ry, jak po morowej zarazie, a bywało da-  
wniej, od świtu do późnej nocy, wrzawa,  
ochotne krzyki, rozlegały się daleko.»

«Teraz już noc! (mówił dalej starzec, sto-  
jąc w oknie zadumany). Noc już! a taka ci-  
sza grobowa. Dawniej o tej samej dobie,  
inaczej tu bywało. Uczta się jeszcze nie skoń-  
czyła, nie potrzeba było miesiąca jasnego,  
bo światło z okien przebijało najmocniejszą  
pomrokę nocy. Brzmiała nadworna kapela,  
a stary węgrzyn beczkami się rozlewał. Wte-  
dy to trzeba wiedzieć Waszeci, i chudy pa-

---

(\*) Tureckich.

chołek, nie raz zakosztował smacznych kąsków, poznawał świat i ludzi, żył wesoło i błogo.»

I w zadumie stał starzec z wlepionemi w okno oczyma, księżyc jasny z czarnej chmury zajaśniał widnie: na twarzy pooranej zmarszczkami ujrzałem smutek rozlany: ruszał ustami, marszczył czoło, to jakby zbierając wspomnienia, to jakby prowadził z kim cichy rozmowę: nagle podniósł rękę nad oczy, niby to chciał osłonić oczy od światła księżyca, i wskazał ręką na przyległe komnaty.

— Gdy się pan Wojewoda miał żenić, dziewczka jego, ze swemi rodzonemi w podróży, jakby nie chcący wstąpili. Byłoć co widzieć. Pan Wojewoda kazał usługiwać samym dziewczętom, a za każdym daniem, za zdjęciem każdego obrusa, winnych występowały szaciech. Najprzód z polska, potem z turecka, potem z czerkieska, a potem z francuzka, z tyrolska, i Bóg wie, nie w jakich tam zamorskich strojach (3). W torcie na ostatek, był ukryty karzełek, ten wyskoczył do gładkiej

panny, przed nią tańczył, i grał na małych skrzypicach; a kiedy pan Wojewoda zobaczył, że tak się jej karlik podobał, podarował to żyjątko, i zabrała je z sobą.

—Mój przyjacielu (*odrzekłem*), wspominacie mi same zabawy, czyż tu nigdy nie było smutku i żałoby?

Siwik westchnął boleśnie, i opuścił na piersi głowę.

—Byłyć i nie małe, a Bóg nie wszystkim dozwolił je przeżyć, wszakżesz każde zwiastowała tu *kędzierzawa!*

—Cóż to za kędzierzawa? zapytałem ciekawie.

Starzec z bojaźnią spojrzął w około, uchwycił mnie za rękę silnie, i z cicha drżącym z bojaźni głosem, wyrzekł:

—Nie wywołuj wilka z lasa! Jest to duch odwieczny, co zjawieniem swoim zwiastuje śmierć i klęski. Kto go zobaczył, taki nie długo płakać musi.

I z cicha na palcach z kropidłem znaczącym święconą wodą, obszedł komnatę w oko-

ło, pokropił, a wyjąwszy szkaplerz, modlił się długo, na reszcie trzymając go ciągle w ręku, zaczął:

— Trzeba wiedzieć Waszeci, że każdy dom u nas większy, miał takiego ducha, którego pokazanie zawsze złe zwiastowało. Kiedy morowe powietrze wpadło do Warszawy, pan nasz świętej pamięci Wojewoda, na miesiąc wprzód powiedział: »W stolicy coś złego będzie,« bo *kędzierzawa* na wiosnę, ukazała mu się, i długą ręką wskazała na miasto. O! było dużo strachu i płaczu. Pieńiądze z workami leżały po ulicach, a nikt ich nie podniósł, bo tam była w nich zaraza: nie mało trupem padło. *Kędzierzawa* panna rzadko się zjawiała, ale każdy ją z rodziny Wojewody widzieć musiał. Kiedy babka zmarłego pana szła do ślubu, *kędzierzawa* ukazała się przy łożnicy, i we dwa miesiące, jej pan mąż zginął w potrzebie z Tatarami. Żyje ona i teraz, a mieszka tu na wieży, ja....

W tém lekki łoskot usłyszeliśmy nad so-



ba, starzec krzyknąwszy: *»Wszelki duch Pana Boga chwali!«* zakrył drżącemi rękoma oczy, a ja z przestraczem patrzyłem w okóło, ale nie dojrzyć nie mogłem, z wieży jeno głos puhacza odczwał się żałośnie.

—Mój przyjacielu! (ochłonałszy nieco z pierwszego wrażenia, rzekłem do Siwika), nie nie widzę. *Kędzierzawej* nie ma, sowę słyszę jeno.

—Zawsze to zła wróżba, bo *gdy sowa na dachu kwili, umrzeć komuś po chwili.*« Mnieć to kwili mój panie, i lepiej, bo czas żeby panowie moi, wezwali starego sługę do siebie. Niechaj im światłość wiekuista świeci. Amen. (4)

I jakby zmęczony, upadł na łożę, powoli gasł ogień kominka, już Siwik chrapał gdym zasnął, marząc o zamku, i dziejach przeszłości.

---

## WIDZENIE.

*(Rozwaliny dawnego zamku, w niektórych komnatach jakie czas oszczędził, wiszą antenatów obrazy z genealogicznem drzewem. Ściany świecą złoceniem pod kurzawą, wiszą zdarte drogie obicia Wędrownik zaglądając przez wybite okna:)*

Owoż jeszcze pozostał jeden pomnik, którego czas nie zniszczył zupełnie, a więc śmiałą nogą, wstąpmy w te stare mury, może jakie pomniki przodków zostały.

*(Wchodząc do komnaty).*

Miły Boże! widzę wyraźne ślady niedawnej a zgasłej świetności! Witam was szanowne oblicza w tych wizerunkach przechowane, witam was, i pozdrawiam z serca!

GŁOWA (z obrazu).

Dziękuję za pozdrowienie, Waszćj miłości! Cóż to Wasze stoisz zdziwion, że usty zamarłemi, słowami, wyrzucam myśli głowy, co przed stu laty strupieszła, wała się gdzieś na stepie? Wstrzymajże swój podziw! wiek

dobiega jak tu zapomnieni rozmawiali-m z so-  
wą, a nietoperzem. Dziś Waszmości pozdro-  
wienie szczere, przyjacielskie, roztwarło mi  
i moim towarzyszom usta do podziękowania.

GŁOWA (*rotmistrza w hełmie poruszając busdyganem*).

Dziękuję Waszeci.

GŁOWA 1sza.

Miałem liczne potomstwo, wszyscy byli do-  
brzy, aż mój ostatni potomek! O! niegodziwiec,  
odpowiedział mi przed strasznym sądem Bo-  
ga! On to marnotrawnik, opustoszył to gnia-  
zdo swego rodu! A czy Waszmość uwierzysz,  
bezbożnym żydom sprzedał marmury wło-  
skie, któremi'm wyłożył podłogi swego zam-  
ku: z bogatych rękojeści kordów, szabli, i  
demeszek, wylupił złoto i drogie kamienie,  
a rozrzucił to wszystko w rozpuście i nierzą-  
dzie. Bóg go nasz skarał, umarł żebrakiem  
pod temi samemi murami, w łachmanach, a  
żaden z jego antenatów łzy nie uronił, był-  
by z ochotą kopnął nogą nieczyste zwłoki  
niecnego potomka.

GŁOWA (Rotmistrza).

Przyjmuję Waszę, tu mile siadaj z nami młody towarzyszu: słyszałeś Waszę jak do Zygmunta Augusta jedna z głów pułapu Zamku Krakowskiego, głośnemi słowy, skłoniła jego sądy na sprawiedliwszą stronę? Nie lękaj się nas, i spoczniej strudzeniu: w tej komnacie nie raz weselim się radzi, ale w on czas, żaden z nas nie wyjrzy z okna tego Zamku na sąsiednią okolicę, owszem resztą makatów zasłaniamy wszystkie wyględy<sup>(\*)</sup>, (*gwiżdząc w srebrną świstatkę*). Hej! dworzanie! zakryć nam świat i ludzi, będziemy ucztować, z młodym towarzyszem!



Wychodzi grono dworzan i czeladzi z poblizkich komnat, jedni zakrywają okna, drudzy wnoszą jarzące światło. Na chórkę nad wielkimi drzwiami, staje kapela: marszałek dworu unosząc łaskę w zgórę, grzmiącym woła głosem: «*Signor Pallavicini!*» zaczynają

---

(\*) Okna.

cie! państwo idą.» A z chórkę wychyliła się twarz blada i chuda z iskrzącemi oczyma Włocha: klasnął w obiedwie dłonie, i brzmi kapela. Ze wszystkich komnat wychodzi dostojne państwo, w świetnych ubiorach. Wędrownik uważał, że o ile wychodziło osób, o tyle wizerunków ubywało z obrazów: w końcu wszystkie ramy oprócz jednych, próżne zostały. Kiedy zasiedli długie stoły, suto zastawione: kanclerz siwizną okryty zawezwał wędrownika, aby pierwsze i najwyższe miejsce zajął. Gdy młodzieniec zasiadł nieśmiało, rzekł starzec:

—Prosiłem Waszmości, żebyś zasiadł na tém miejscu, które każdy z nas przez ciąg swego żywota po kolei zajmował: owoż stąd wszystko lepiej baczyć możecie. (*do Marszałka*) Czemuż nie baczę tu nadwornych błaznów naszych?

MARSZAŁEK.

Czekają rozkazania pańskiego.

KANCLERZ (*z gniewem*).

Od kiedyż to nastał obyczaj, aby ich przy-

zywać, a nie sami stają! Niech mi tu zaraz staną, jeśli nie chcą gniewu oburzyć na siebie.

*(Gąska stary siwizną okryty, i Stańczyk rzeźwiejszy, w ubiorze pstrym i szachowanym z różnych kawalków rozmaitej barwy, stają w rogu stołu. Pięwszy trzymał księgę pod pachą, drugi cepy zlociste).*

### STAŃCZYK.

Niech Wasza miłość raczy gniew swój pohamować, nie śpieszyli tu Wasze śnieszki, bo nie jesteście sami w swoim kole (wskazując wędrownika). Obecny mięsza nasze towarzystwo! Dowcip nasz już stępsiał, a nasze żarty, które tak wielką przed laty miały ważność, śmieszyły dwór pański, i wszystkie powiaty w dworzach szlachty; na cóż się zdadzą, jakiej będą ceny, przy tym (pokazując wędrownika), co we trzy wieki po nas, nie pojmuje, ani naszego żywota, ni języka, ani dworowania! W innych ci panowie smakują dowcipach, w innym żywocie.

### ROTMISTRZ.

Jako baczę, Stańczyk z błazna, kaznodzieja.

STAŃCZYK (*wstrząsając cepami*).

Stańczyk był nim i za swego żywota, a każdy żart jego był kazaniem skuteczném nie dla jednego. Powiedźcie Państwo, czy kiedy prawdę obwijał w bawełnę, czy śmiało nie prawił prawdy?

KANCLERZ.

Rozgawędziłeś się mój trefnisiu, powiedz nam lepiej, co za księgę twój towarzysz czyta?

GĄSKA.

Czytam i odczytuję swoje nagrobki, niech Bóg płaci panu *Janowi z Czarnolesia*, że pamięć mojej chudziny przechować raczył (5).

STAŃCZYK.

Mnieć nie raczył uczyć nagrobkiem, ale w kronikach będzie żyła pamięć Stańczyka (66). Już nie bawić nam teraz żartami, umarły ony wraz z dawnemi trefnisiami.

GŁOWA (*w ramach peruką okryta*).

Słyszę wasze rozmowy, widzę że się bawicie, ach! czemuż i ja nie siedzę z wami społem.

ROTMISTRZ.

*(groźnie podnosząc swój buzdycan).*

Ani mi się waż, pusta głowo, wychylić z ramy! Słyszane rzeczy! ten co się wyrzekł an-  
tenatów swoich, łeb nakrył umączoną pe-  
ruką, uciekał z obozu haniebnie, nie czuł  
stariej wiary, obyczajów i ubioru!

GŁOWA *(w peruce).*

A przecieżem waszej krwi, jednego her-  
bu, powinowaty wasz, Mości rotmistrzu.

ROTMISTRZ.

Milcz! dosyć masz na tém, że twój wize-  
runek kazi nasze w tej komnacie, i to znosim  
cierpliwie.

GŁOWA *(w peruce):*

Miły Boże! co za niesprawiedliwość, czyż  
to ja jeden tylko byłem tą wroną białą!  
Prawda, że byłem piéwszy.

ROTMISTRZ.

Głupia gawiedź za nowością się ubiega,  
nie bacząc co złe, lub dobre, wrzekomo kto  
piérwszy jad zepsucia wnosi, winnym jest.



KANCLERZ.

Niktże nie poprze sprawy żyjącego pokolenia?

WĘDROWNIK.

Tak jest, dostojni ojcowie! Nikt złej sprawy nie może bronić! Wszystko prawda święta co słyszę. Zdeptano Waszę pamięć i pomniki Wasze: a z moglił jeno i gruzów zamków a dworów, zaledwie ktoś dosłyszał westchnienie przeszłości!

KANCLERZ.

Nicze Waszeć nie wiesz o naszym rodzie?

ROTMISTRZ.

O naszych wyprawach, kiedyśmy płoszyli niewiernych księżyce i zmiatali im ze łbów turbany? O naszym żywocie doma i za domem?

WĘDROWNIK.

Niestety! nic albo bardzo mało.

ROTMISTRZ.

*(rzucając buzdycan o ziemię z żalem).*

Prze Boga miłego! coć się stało? Człek

co przyrosł do konia, co czuł co dnia i ranną i nocną rosę na swym pancerzu, bo żył bez dachu, nie szczędził wygód i krwi swojej, za jakąż nagrodą? Owo że kiedyś wspomną, i poczciwe imię potomstwu zostawi! Teraz zapomnieni wszyscy.

KANCLERZ.

Czy morowe powietrze po naszym zgonie całą krainę wyludniło? Czy był potop drugi? Nic że nie zostało po nas? Przecież w księgach drukowanych i pisanych dyjaryjuszach, w pieśniach które wszystko rycerstwo śpiewało, chwała nasza brzmiała.

WĘDROWNIK.

Morowa zaraza przyszła do nas od Sekwany: jako raz powiała, nie wygniotła ludzi, ale umorzyła w nich Wasze myśli, i zanedbania oddała pomniki, któreście zostawili. Ale mór ustaje powoli.

ROTMISTRZ.

Mój Hetman, błogosławionej pamięci, pan *Stanisław Żółkiewski*, co zginął pod Ceco-

rażę, w swoim dyjaryjusz, raczył mię wspomnieć.

WĘDROWNIK.

Więc już żyje twoje imię: wiedz, że w stariej stolicy wielkiego państwa, dyjaryjusz ten w druk podano, już go czytałem, i mam go z sobą, (ukazując księgę), patrzcie czy ten sam? (6).

ROTMISTRZ.

Na świętego patrona i przeczystą Pannę Maryją, na okładzinach to jego ręka! (całując napis ze łzami) tak, tak pisał, dawał mi to czytać.

WĘDROWNIK.

Wiele takich pomników dobyły z ukrycia, pracowite ręce mężów z nad Warty (7), z Grodu Gedymina (8), a tysiące imion w niepamięci zagrzebanych, tysiące nieznanych czynów, zmarłych-wstały!

*Głosy wszystkich.*

Alleluja! Alleluja.

WĘDROWNIK.

I gród Wawelu, nie milczącemi jeno mówi pomnikami, i w stolicy Warsza żyje mąż, co zagląda w Wasze domostwa XV i XVI wieku.

*Głosy wszystkich:*

Alleluja! Alleluja.

KANCLERZ.

Bądź więc pozdrowion z miłą wieścią, nasz gościu: pozdrawiamy cię tak szczerze, jakęś nasze wizerunki powitał. Marszałku! kaźcie podać puhary, wypijem zdrowie gościa, co jakby jaskółka z wiosną dla rolnika, dla nas przyniósł wróżbę, że nasze liście z drzewa sławy i chwały, rozwiną się na długo.

*(Powstają wszyscy, wznoszą puhary, kapela brzmi vivaty).*

A teraz w naszej kaplicy, dziękujmy Bogu za wieść zmartwychwstania naszej pamięci.

*(I powstali, roztwarto wielkie podwoje, a jarzącem światłem zajaśniała kaplica, oltarz wielki, i dwa inne poboczne, zabrzmiały organy, z zakrystyi wystąpił kapłan w białym ornacie do mszy świętej, i z chóru pieśń stara plynie).*

»Przez Twoje święte zmartwychwstanie!  
Boży synu, odpuścisz nam, nasze zgrzeszenie!  
Wierzemy, iż pan Chrystus zmartwychwstał,  
żywot nasz naprawił, śmierci wiecznej nas  
zbawił, swoją moc zjawił.«

GŁOS (z za okna kaplicy).

*Dzisiaj na wielkiem morzu obłąkany,  
Sto mil od brzegu, i sto mil przed brzegiem:  
Widziałem lotne w powietrzu bociany,  
Długim szeregiem.*

*Żem je znał kiedyś na polskim ugorze,  
Smutno mi Boże!*

GŁOS (jeden z chóru).

*Alleluja! Alleluja! Król niebieski k'nam za-  
witał,*

*Jako śliczny kwiat zakwitnął!*

*Alleluja!*

*Piekielne mocy zwojował,*

*Nieprzyjaciele podeptał;*

*Nad nędznemi się zmitował:*

*Alleluja!*

*Którzy w otchłaniach mieszkali,*

*Gdy Zbawiciela ujrzeli:*

*Z radością tam zawołali.*

*Alleluja (10).*

Jęknęły organy żałobnym głosem, znikła światłość i widma, a wędrownik ujrzał się w środku smętarza, w pobliżu zamku. Jeden Stańczyk stał przy nim, ze swemi cepami i wiejaczką.

—Patrzta Waszmość! co widzita w około mogiły i krzyża, wszystko to groby tych, co kiedyś władali w tym zamku. O! wielu brakuje, o ich kości na dzikim stepie kruk i orzeł wyostrzały dzioby, nie znalazło ich ciało w rodzinném grobowisku przytułku, a na zbroi i szablicy zakopanėj w ziemi, porasta trawa i oset. Miły Boże! (mówił ze smutkiem oparty o swoje cepy trefniś), jak wszystko niknie, ginie na świecie, alboli małeje. Kiedy czasem ukradkiem, wyjrzałem na świat i ludzi, jaki to ich wzrost maluczki, jaki to pomiot znędzniały. Dawniej za moich czasów, takie jak wasze *figury*, były

karlikami. Kiedy mąż dobry w polerownej zbroi, dosiadł bachmata, to musiałeś czapki przytrzymać, nim mu zajrzałeś w oczy. Teraz ja, chociażem nie rosły, na żyjątku Wasze spozieram z góry, by bocian na żaby. Ale miesiąc nie za długą dobę zapadnie, zorza poświętywać zacznie, więc ci na dobra-noc powiem słów kilka, zanies to swoim w darze, od trefnusia nadwornego:

*»Pomiernie, uczciwie,  
A kupką, a w zgodzie:  
Tak ubóstwo żywie, (\*)  
I świat nie dobodzie.«*

Wionął przed oczyma wędrownika wiejaczką, i..... zniknął.

\* \* \*

We dwa lata, gdym odwiedził ten sam zamek, już Siwik nie żył, i jego niewiasta,

---

(\*) Żyje.

żywej duszy nie ujrzałem: a gdzieśmy noc  
przepędzili razem, piorun zniszczył to skrzy-  
dło zamku, i smutne jeno zwaliska zostawił.

*Góra nad Narwią,*

*7 Września 1859 r.*





## P R Z Y P I S Y.

(1) Podobna wieść, krąży o wążach Jana III. Żak jakiś dostał kilka włosów, z włosów tego bohatera, ale gdy spać kilka nocy nie mógł, bo o każdej północy, widmo zmarłego króla, upominało się groźnie o swoją własność, musiał do grobu odnieść tę pamiątkę, którą sobie chciał zachować.

(2) Jakem się później przekonał, jest to złamek jednej pieśni Stanisława Grochowskiego, z czasów Zygmunta III.

(3) Z taką usługą, przyjmował u siebie pannę *Fleming*, późniejszą właścicielkę Pulaw, książę Radziwiłł *Panie-Rochanku*.

(4) O duchach czyli widmach, znaleźć można częste wzmianki w dziejach domowych. Gdy Jan z Tęczyna wybierał się na zaślubiny z Cecylią królewną Szwedzką, duch rodziny Tęczyńskich pokazał się jego ojcu i pogroził. (Przysł. Mar. T. II.) Stanisław August widywał dziewicę wbieli przed każdym wielkim wypadkiem, czy w życiu

jego, czy w narodzie. Miał ją widzieć w zamku Warszawskim dwa razy, a ostatni raz przed zgonem. (Z podania).

(5) We *«Fraszkach»* Jana Kochanowskiego, dwa są nagrobki *Gąsce*. Żył ten trefniś lat 80.

(66) O żartach Stańczyka masz w *«dziejach»* Ł. Górnickiego, i kronice M. Bielskiego.

(6) Paweł Muchanów pułkownik Gwardyi, w r. 1834 wydał *«Autentyczne świadectwa o wzajemnych stosunkach między Rossyją a Polską, szczególnież zaś za czasów Samozwańców w Rossyi.»*

W roku 1835 *«Rękopism Hetmana Żolkiewskiego.»* W obu dziełach tekst oryginału polski, tłumaczenie rosyjskie wydane w Moskwie. Facsimile z rękopismu Żolkiewskiego znajduje się na okładkach.

(7.8) Mamy tu na uwadze ogłoszone liczne rękopisma przez E. Hr. Raczyńskiego, jak o *medalach* niedawno wydane. Ważne i wielkie prace P. J. Łukasiewicza: *«O dyssydentach, o kościołach braci czeskich i Historyczny obraz miasta Poznania.»* W Wilnie przez P. Zakrzewskiego: *«Dyjaryjusz Maszkiewicza.»* T. Narbutta dzieje Litwy, sześć tomów, i wielkie dzieło godne naszego wieku *«Obraz historyczno-biblijograficzny Literatury Polskiej»* Adama Jochera.

(9) P. Wiszniewski autor *«Metody Bakona i Charaktery rozumów»* wydał *pomniki do dziejów i Literatury Polskiej* w 4 tomach: wygotował także *«Historyję Literatury Polskiej* w 6 tomach.

W Warszawie W. A. Maciejowski, po wydaniu *Pamiętników* już niemal wykończył żywot domowy, zwyczaję i obyczaję wraz z obrazem literatury w XV i XVI wieku.

Napomykając nieco o pracach historycznych w obecnej chwili, przepomnieć nie mogę zasłużonych w literaturze naszej mężów. Jest ich poczet nie mały: serce rośnie patrząc, jak jeszcze nigdy tyle ważnych prac nie podjęto, i tyle talentów nie zajaśniało razem.

Jak tu nie wspomnieć na czele: młodego, pełnego zapału J. J. *Kraszewskiego*, który dawszy się poznać z licznych powieści i poezyj; *«Historyję Wilna i Wędrówkami»* (oprócz mnóstwa artykułików we wszystkich niemal pismach peryjodycznych), ozdobił literaturę naszą. Komuż jest obce imie wielkiego krytyka, Michała Grabowskiego, którego dziełem *«Literatura i Krytyka»* słusznie się chlubić możemy?

M. Baliński wydał dwa tomy *«Historji M. Wilna»* i tom pierwszy ważnych «o królowej Barba-

rze pamiętników.» Feliks Żochowski, nie małe położył zasługi jako grammatyk.

W Galicyi Augustyn Bielowski, Dominik Magnuszewski, dwaj bracia Józef i Aleksander Hr. Borkowscy, utrzymują świetnie piśmiennictwo nasze. Toż w Wilnie Al. Groza, Pieńkiewicz, Szydłowski. Poznań chlubić się może najlepszym pismem: «*Tygodnik Literacki*» pod redakcją P. Wojkowskiego i A. Poplińskiego.

Jak wiele do tego grona policzyć można, a o których tu (nie z przepomnienia) nie namieniano, czas późniejszy okaże. Jeżeli kiedy, to teraz, słowa naszego z Czarnolesia poety, przytoczyć muszę, bo są w myśli, i w sercu naszych pisarzy.

*Służmy pocziwój sławie: a jako kto może,  
Ku powszechnemu dobru, niechaj dopomoże.*

K O N I E C .



MD. 728

## Spis przedmiotów.

### W TOMIE IV. ZAWARTYCH.

---

1. Łowiec. Gawęda z XVI wieku . . . . . 5
  2. Warszawa. Obraz od r. 1339, do r. 1656  
(z dwiema rycinami) . . . . . 123
  3. Znakomitsze figury w starożytnym tea-  
trze w Polsce. Obraz historyczny . . . 165
  4. O Cyganach. Gawęda pana Gawła z pa-  
nem Bartłomiejem z r. 1782, pod jesien-  
ną porę . . . . . 187
  5. Wysoki zamek. Obraz z r. 1594. Z kro-  
niki miasta Lwowa . . . . . 211
  6. Policzek paniński. Gawęda mojej pra-  
babki . . . . . 245
  7. Widzenie. Gawęda z końca VIII wieku 257
  8. Sięrota. Obrazek z pieśni ludu . . . 279
  9. Powietrze. Obraz . . . . . 291
  10. Stary Zamek . . . . . 313
-

13. Kościół Świętej Klary (Klarysek), gdzie dziś Bernardynki.
14. Zamek Królewski.
15. Kościół Księży Augustyjanów.
16. Kościół Świętego Jana (Katedra).
17. Kościół i Collegium Jezuitów, (gdzie dziś Pijarzy).
18. Pałac księcia Karola Ferdynanda.
19. Gnojowa góra.
20. Ratusz na Starém Mieście.
21. Wieża Marszałkowska (Więzienie).
22. Kościół z klasztorem OO. Dominikanów.
23. Kościół Sgo Jerzego (dziś fabryka P. Evans).
24. Kościół Sgo Benona obrządkiem niemieckim.
25. Kościół Panny Maryi.
26. Wieża nad Wisłą.
27. Przedmieścia spustoszone.
28. Kanał przez czas zniszczony.



MD. 728



*Widok Warszawy  
w roku 1656 za czasów Jana Kazimierza.*



MD. 728



I.474

t.IV

"V"

BIBLIOTEKA GŁÓWNA  
Politechniki Warszawskiej

ND.0728



400000000150964